

113

NA DALEKI WSCHÓD
KARTKI Z PODRÓŻY

P.
1396.

3-
Wacław Sieroszewski

NA DALEKI WSCHÓD

KARTKI Z PODRÓŻY

PRZEZ SYBERYĘ I MANDŻURYĘ DO JAPONII.
PIĄTA WYSTAWA POWSZECHNA W JAPONII.
DWIE WYCIECZKI. KAWAŁEK JAPONII.
POLOWANIE NA WIELORYBY. TAKU-TIEN-
TSIN. PEKIN. SZANG-HAJ.

84735

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904



259871

Дозволено Цензурою,
Варшава, 28 Февраля 1904 г.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125065

Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

W/242/07.



NA PROGU.

Przez drzwi otwarte widzę daleko przed sobą si-
no-żółtą dal oceanu, łączącą się z nieba błękitem.
Blżej na brzegu kołyszą się ciemne zarysy wy-
smukłych cudzoziemskich drzew. Fale szemrzą
łagodnie, rzucając na żółte piachy czuby perło-
wych pian. Ciepłe powiewy niosą zapach przy-
grzanych słońcem porostów...

O dusze, utrudzone w deptakach codziennego
życia, jakże chętnie zabrałbym was z sobą!...

Pomknęlibyśmy w przesłonecznione przestwo-
rza, podawszy wichrom pierś, zmiętą w ciasnocie...

Rozpostarlibyśmy zmartwiałe w bezczynności
skrzydła na całą ich długość...

Dopóty czerpalibyśmy w zwiedle płuca ożyw-
czych eterów z innych wolnych sfer, aż znowu po-
czulibyśmy w każdym swem tętnie radość bytu
i żądzę czynu...

Kartki z podróży.

Nie myśląc o jutrze, wypoczywalibyśmy na statkach, ślizgających się bez troski po kryształowych odmętach...

Brnęlibyśmy po piachach gorących, zrzuciwszy twarde, miejskie obuwie...

Zajrzelibyśmy do puszczy, do dzikich ostępów, gdzie kryją się dziwaczne twory, gdzie kwitną nieznane kwiaty...

Wśród ludów obcych, w świątyniach cudzych nauczyłibyśmy się szanować siebie samych i zobaczylibyśmy, że krew i łzy wszędzie mają ten sam blask i kolor...

Błądzilibyśmy wśród ruin, wśród pałaców i lepierek, uzbrojeni jedynie w życzliwość i współczucie, aż syci wrażeń, usłyszelibyśmy znowu ten cichy, wielogłosy jęk, którego echo zabraliśmy z sobą, zamknięte w sercu, jak kropla rosy w kielichu powoju...

Naówczas wrócilibyśmy lepsi i silniejsi, aby znowu podstawić wygojone barki pod ciężar istnienia, co musi być wciąż wtaczany do góry, gdyż inaczej zgniótłby wszystkich, okaleczył istoty droższe nam nad życie...

O dusze utrudzone! Odchodzę z myślą o was i z myślą o was będę całą potęgą zmysłów chłonał wrażenia świata, aby z czasem opowiedzieć wam cicho, com widział...

ZAMIAST WSTĘPU.

Zamiast wstępu.

— Proszę o bilet miejsca w pośpiesznym pociągu syberyjskim.

— Czy pan zamawiał?

— Telegrafowałem dwa dni temu.

Błada, niedokrwista kasyerka długo i ospale przewraca w stosie papierów.

— Depesza gdzieś się zapodziała. Ach, jest!... Przepraszam. Którą klasą pan jedzie?

Podaję bilet wolnego przejazdu, wydany mi na całą drogę przez główny Zarząd dróg i komunikacji.

— Za tym biletem... pan pociągiem syberyjskim... nie może jechać!—cedzi kasyerka.

— Jakto?! Pani nie spostrzegła pewnie, że jest zaopatrzony stemplem, dającym prawo przejazdu i pośpiesznymi i kuryerskimi pociągami.

— Owszem, spostrzegłam. Lecz to nie to.. otrzymaliśmy okólnik... co do ekspresu.

— A więc chodzą do Syberyi inne jeszcze pociągowe pociągi?

Kasyerka trzęsie głową.

— Cóż zatem znaczy ta sprzeczność?... Co to za okólnik i gdzie się o nim dowiedzieć można?... Przypuszczam, że go pani źle tłumaczy. Mam prawo tłumaczyć go na swoją korzyść. Gdybym był wiedział o nim, prosiłbym o przyłożenie i waszej, syberyjskiej pieczętki. Sądzę, że zarząd nie odmówiłby mi. Zależy mi wielce na pośpiechu... Muszę jechać tym pociągiem.

— Niech pan weźmie drugi bilet... za pieniądze.

— Wolne żarty. Nie mam zamiaru. Wysłał mnie Instytucja naukowa rządowa i z tego jedynie powodu korzystam z wolnego przejazdu...

— W takim razie... niech się pan zwróci do naczelnika stacji... lub naczelnika ruchu. Bez ich pozwolenia nie wydam panu biletu na miejsce i nie ostempluję kuponu na przejazd. Mamy wyrażną instrukcję!

Naczelnika stacji niema i nie wiadomo gdzie się podział. Zamiast go szukać, biorę dorożkę i każe wieźć się do Zarządu kolei Moskiewsko-Kurskiej.

Mroźna, nasycona lodowymi igłami wichura dmie prosto w oczy. Złoto-czerwono-zielono-błę-

kitno-szare miasto blade majaczy wśród kłębow zamieci. Zimno mię na wyłot przejmuje, gdyż nie wziąłem futra, pewny, iż z wygodą podróżować będę cały czas w ciepłym pociągu. Wchodzę od frontu do ogromnego koszarowego budynku, stojącego pogardliwie bokiem do głównej ulicy. Wewnątrz roi się tłum urzędników. Setki futer, płaszczów, paltotów wiszą na szaragach. Z przedsionka w głąb po szerokich, wygodnych schodach prowadzi drzwi kilkoro. Puszczają mnie przez „te mniejsze“. Naczelnika ruchu niema. Powinien przyjechać... za godzinę. Czekam dwie godziny w poczekalni, pełnej znużonych i zdenerwowanych interesantów; naczelnika wciąż niema. Mam tylko pięć godzin czasu, a muszę być jeszcze w Muzeum antropologicznym, gdzie zostawiłem przyrządy.

Wreszcie woźny wzywa mię. Wchodzę do eleganckiego gabinetu. Gruby jegomość za zielonym stołem łaskawie kiwa mi głową.

Wyłuszczam mu swoją sprawę.

— To nie moja rzecz. Niech pan się uda do naczelnika zarządu.

Naczelnika niema, przyjmuje mnie jego pomocnik.

— Nie na to poradzić nie mogę. Istotnie, odebraliśmy niedawno okólnik...

— Ale cóż winna publiczność, że nie o nim

nie wie? Nie ogłoszono go... W przepisach kolejowych go niema.

W odpowiedzi odbieram ruch ramion.

— Przypuszczam, że zły bilet dostałem przez omyłkę. Bardzo się śpieszę. Sekretarz ministra komunikacji upewnił mię, że za tym biletem mogę jechać i kuryerskimi pociągami.

— Oni tam... w Petersburgu zawsze... Już mamy drugi taki wypadek.

— Doprawdy, to omyłka. Nie przypuszczam, aby władze, tak ze mną uprzejme, chciały mi stawiać niespodziewane przeszkody. Niech mi pan w tej mojej przygodzie pomoże.

— Przedstawię sprawę naczelnikowi zarządu, lecz nie wiem... — brzmiała niechętna odpowiedź.

Przestrzenie w Moskwie ogromne. Na szczęście dorożkarze mają dobre konie. Wracam po załatwieniu interesów przemarzły do kości, ale pełen otuchy. Naczelnik przyjmuje mię jednak już nie w gabinecie, lecz na korytarzu. Zły znak! Ogląda uważnie mój skromny ubiór podróży.

— Więc to pana wysyła Akademia umiejętności?

— Tak.

— Do Japonii?

— Do Japonii.

Broda łaskawie porusza się zlekka.

— Nie dla pana uczynić nie możemy.

— Wszak nie proszę o łaskę; chodzi jedynie o poprawienie omyłki.

— To wcale nie omyłka. Petersburg tak zawsze... Postanawia, nie pytawszy się nikogo o nic, a później... mamy kłopoty... Oni gotowi są wyrzucić Moskwę ze wszystkiego...

Historyczna niechęć Moskwy do Petersburga, wmieszana do mojej błahej sprawy, rozweseliła mię trochę.

— Widzę, że dla pana to jedynie zabawne wydarzenie, tymczasem ja spóźnię się wszędzie i popłaczę cały plan podróży.

— Niech pan telegrafuje na swój koszt do ministra komunikacji.

— Ale w każdym razie tym pociągiem już nie pojedę?...

— O nie! zaczeka pan trzy dni.

Krótki rachunek przekonywa mię, że nawet w razie powodzenia stracę czas i pieniądze. Postanawiam wyjechać najbliższym pociągiem, odsunąć się jak najrychlej i jak najdalej...

Odehodząc, dziękuję za życzliwość.

Przyjmują szczyptę mej ironii za dobrą monetę.

ZAGRZEBANI W ŚNIEGU.

Zagrzebani w śniegu.

Znalazłem się sam nie tylko w przedziale, ale i w całym wagonie. Zdaje się, że pierwszą klasą nikt tu nie jeździ. Konduktor obejrzał bilet i gdzieś się podział. Pociąg monotonnie zadudnił po przemarzłych podkładach i szynach. Brzęczały szyby, zgrzytały kiedy niekiedy hamulce, podzwaniały łańcuchy, pociąg gwizdał, stawał, znowu ruszał, jęczały dzwonki, migały światła stacyjne... ale wszystko to były dźwięki zewnętrzne, nie naruszające zupełnie osamotnienia mojego wagonu. Czuję się niby w szklanej trumnie, w rzęsiście oświetlonem, wydłużonem pudle, wleczonem przez „żelaznego smoka“.

Chodzę po wązkim korytarzyku, zaglądam do pustych przedziałów, gdzie błyszczą martwo lustra i złocone brzozy, wodzę wzrokiem po pustych siatkach, po firankach trzęsących się od ruchu pociągu. Jest coś tajemniczego we wszystkim, co

jest związane z podróżą, tym symbolem życia, gdyż nawet ci, którzy siedzą na miejscu, wciąż przecież dokądś dążą i szukają czegoś i nigdy nie są pewni jutra.

Ile złoconej nędzy, występku, rozpacz, ile tęczowych marzeń i nadziei, ile ambicyi, wyrachowania, lub bolesnej na wszystko obojętności, przewiozły te wygodne chwilowe więzienia?...

Ogarnął mię letarg podróżniczy, a następnie senność. Wołam na posługacza, aby mi przygotował posłanie, lecz ani znaleźć go, ani dowołać się nie mogę. Wówczas przypominam sobie rady przyjaciół: „Wystrzegaj się jeździć samotnie w przedziale pierwszej klasy“. Nadomiar przypominam sobie, że istotnie czytałem niedawno w gazetach o bandzie kolejowych opryszków, operujących gdzieś w tych miejscowościach. Rad nierad otwieram kuferek i wydaję rewolwer, a klamkę drzwi przywiązuję mocno do jakiegoś haczyka. Słyszałem później w nocy, jak się ktoś dobijał; pewnie konduktor albo kontroler, ale nie otworzyłem. Trudno: uprzejmość moja nie mogła przewyciężyć wstrętu do zimnej podłogi.

Sznurek okazał się dobrym wynalazkiem, zwykłe zamknięcie na klamkę wcale nie zabezpiecza. W moich oczach jakiś jegomość, chcąc się dostać do zamkniętego przedziału, wyjął z kieszeni

zwykłe, płaskie szczypce i zamek otworzył. W nowych syberyjskich wagonach są już wszędzie łańcuszki i chociaż rzezimieszkowie przecinają je z łatwością, ale bądź co bądź jest to przeszkoda... W starych wagonach śpiący pasażer jest zupełnie na łasce służby kolejowej i złodziei... Wciąż na liniach wschodnich i syberyjskich słychać skargi na kradzieże. Zdarzają się nawet morderstwa.

Ale samotność ma w podróży wiele też uroku. Zamiast więc szukać uciążliwego towarzystwa, nauczyłem się barykadować drzwi. Używałem do tego stolika, który doskonale mieścił się we framudze i naciskał na klamkę.

Obudziłem się nazajutrz o wschodzie słońca. Wokoło rozścielała się bezkresna, zaśniewiona równina. Tu i owdzie, niby blade obłoczki, szarzały gaje i smugi brzeźniaku; nad nimi, na zachodzie, wisiał na szafirowem niebie blady sierp młodego księżyca. Pociąg, ciężko dysząc, leciał ku słońcu, które wielkie i czerwone, to wychylało się, to nikało w kłębach różowego dymu lokomotywy. Biegliśmy pod wiatr, więc dym owijał nas wciąż niby welon. I dzień następny i noc pociąg leciał przez zaśniewione stopy. W dali majaczyły tu i owdzie wioski szare, niskie, przytulone do ziemi, jak stada zziębłych kuropatw. Liczne wiatraki świadczyły o żyzności ziemi, lecz... pomimo wiatru skrzydła ich

tkwiły nieruchomo w błękitach. Może nie miały co mleć w tym roku, a może wiatr był dla nich za silny.

Istotnie wiatr, w miarę posuwania się pociągu na wschód, wzmaczał się, nabierał cech wichury.

W Samarze za radą generała, który znał dobrze te okolice, zrobiłem zapas żywności.

— Może się panu uda szczęśliwie... przeskoczyć przez nasz Złatoust, ale... zawsze lepiej mieć coś z sobą!

Na stacyi dużo gadano o wypadku, który zdarzył się niedawno (28 lutego) na Uralskiej przełęczy. Pociąg spadł z nasypu i według sprawozdań gazet było 50 rannych i kilku zabitych.

Droga między Syzranem a Złatoustem uważana jest za najgorszą i najniebezpieczniejszą w całej Rosyi. Ciągłe zdarzają się rozmaite wypadki.

Podróźni przygotowywali się do przebycia tej części drogi, jak do jakiej wojennej wyprawy.

Miałem już w wagonie współtowarzyszów. Wprawdzie generał wysiadł w Samarze, ale natomiast damski przedział zajęła jakaś dystygowana Angielka.

We dnie wiatr przycichł, i pędziliśmy wesoło wśród słonecznych kryształowych błękitów, podziwiając zasypy śniegu, namięcione przez niedawną zawieję. Tydzień temu wstrzymała ona na

dwa dni w tem miejscu cały ruch pociągów. Zupełny bezruch powietrza budził w nas nadzieję, że się nam uda przemknąć szczęśliwie przez fatalne miejsce. Mróz skrzył się smugami brylantów na pooranych przez wichurę śniegach. Zbielałe od sadzi drzewa stały spokojnie w swym muślinowym ubiorze. Lecz palacz z naszego wagonu, spytany o pogodę, pokręcił głową:

— Kto ją odgadnie... pogodę?... Ona przebiegła... czasem się jeno przyczai...

Z pewnym niepokojem spoglądałem na skamieniałe stopy, i chwilami wydawało mi się, że rysy ich już drgają.

Jeszcze nie drgały naówczas, ale pod wieczór lekkie podmuchy zaczęły mieść śnieg pod koła. Grajcarki białej kurzawy wlatywały z czubów wydm, lecz opadały natychmiast leniwo. Step budził się. Wiatr się zmienił, gonił teraz za nami i jak gdyby igrał: chwycił dym lokomotywy, kotłował go po polach, zwiewał w bok lub obrzucał nas tumanami iskrzącej się w słońcu kurzawy.

Zorza wieczorna zagasła w purpurowych chmurach.

Nazajutrz obudził mnie niezwykle bieg naszego pociągu. Szarpał, trząsł się i stukał kołami, jak gdyby miał szczerą chęć wykoleić się wkrótce. Wiatr gwizdał zuchwale i rzucał coraz gęstsze



obłoki śniegu na uciekające wagony. Na jednej ze stacyi dodano nam drugą lokomotywę. Niewiele to pomogło: pociąg utykał coraz widoczniej. Nareszcie wstrząsnął się, stanął i zaczął przeraźliwie gwizdać. Wyjrzałem z wagonu: okolica tonęła w mlecznej, ryczącej wichurze. Pociąg szarpnął jeszcze kilka razy, poczem znieruchomiał na długo. Wewnątrz i zewnątrz niego rozległy się trwożne głosy, w kłębach śnieżycy zaczerniały cienie ludzi. Ubrałem się i ruszyłem na wywiady. Zaniepokojona Angielka wyglądała przez okno. Wichura w mgnieniu oka przejęła mój jesienny paltot, zaczęła ziębić mię i szczypać. Zaciekawiony, brnąłem jednak przez zasy py ku przedniej lokomotywie. Tam ruszała się gromadka ludzi. Byli to robotnicy kolejowi.

Mało jednak pracowali; oparci na łopatach lub zasłaniając się niemi jak wachlarzami od wiatru, utyskiwali na zimno, wichurę i... drogowego technika. Urzędnik ze znaczkami na czapce coś głośno rozkazywał, ale nie bardzo go słuchano. Wiatr chwytął rozkazy i unosił w stronę przeciwną: trudno było go przekrzyczeć a łatwo nań spędzić, że się nie słyszało. Lokomotywa co czas jakiś gwizdała, z tyłu odpowiadała jej towarzysząca, poczem maszyna zaczynała ciężko oddychać, jak człowiek skupiający siły, jej tłok, korby i koła ru-

szały się z początku wolno, poczem coraz szybciej i szybciej.

Daremne wysiłki: jej tułów wielki zakopcony, zaśnieżony, nie posuwał się na krok, wiatr tymczasem potężniał, mrok zapadał, choć w istocie był przecie poranek. Leciał on nie z nieba, jak zwykle, lecz z ziemi i był jakiś mętno biały, martwy, przerażający. Nieduża z początku zaspą przed lokomotywą wkrótce sięgnęła jej do osi. Robotnicy, choć wzięli się szczerze do łopat, nie zdążyli odrzucać śniegu. Wiatr chwytął go i ciskał napowrót. A była go w powietrzu taka obfitość, że najbliższe przedmioty przeświecały przezeń słabo, jak przez mleczne szkło.

Naczelnik pociągu kazał podzielić pociąg na kilka części, w nadziei, że mu się uda go przeprowadzić przez zaspę częściowo, po kilka wagonów.

Z wielkim mozolem przeciągnięto wagon pocztowy, następne próby poszły jeszcze oporniej. Wagony zasypane były aż po stopnie. Rozwiała się nadzieja odkopania ich, można je było jedynie przeciągnąć przez zasy. Lokomotywy jęczały od wysiłku, lecz praca okazała się nad ich siły. Mroźny wiatr zwiewał ciepło i osłabiał je, lecący ze wsząd śnieg zalepiał otwory, wypełniał szpary i przeloty, topniał, chłodził kocioł i spływał na dół, gdzie znowu zamarzał, tworząc duże sople

lodowe, rosnące jak stalaktyty i stalagmity między ziemią a członkami stalowych olbrzymów. Wkrótce gęsta i mocna sieć nici lodowych łączyła maszynę z ziemią. Trzeba ją było wciąż obijać i niszczyć, a ona wciąż powstawała na nowo. Kłęby dymu, pary, chrapliwe świsty, przejmujące chrapanie maszyny, brzęk szarpanych łańcuchów, łoskot uderzanych buforów, sprawiały wrażenie strasznej agonii wlepionego w śniegi pociągu. Ponad tem wszystkim unosiło się wściekle wycie rozwydrzonej zamieci. Do tumanów lecącego z dołu śniegu dołączyły się obłoki padającego z góry. Świat cały znikł w białej chmurze i długi nasz pociąg ginał w nim, jak mała kruszyna.

Przejmujące zimno zmusiło mię schronić się do wagonu. O tak! była to zamieć, nie ustępująca bynajmniej „purgom“ oceanu Lodowatego! Wśród podróżnych wszczął się popłoch. Służba kolejowa traciła głowę. Jeszcze raz z wielkim wysiłkiem spróbowano przewlec jeden wagon z podróżnymi, lecz po kilku stajaniach wagon wykoleił się i zamknął ostatecznie drogę.

Wtedy odczepiono tylną lokomotywę i posłano ją napowrót na stację po pomoc.

— Czy aby dojdzie?—szepłali konduktorowie. Zbliżał się wieczór.

W pociągu zawrzało. Głodni podróżni poczęli się burzyć.

— Naczelnik!... Gdzie naczelnik pociągu?! — wołali, snując się po wagonach.

— Uciekł na lokomotywie na stację!

— Ależ nie! Siedzi w służbowym wagonie i zapija herbatę!

— Pójdźmy do niego. Nic w ustach nie miałem od rana.

— Co to będzie, gdy zabraknie opału? Zmarzniemy!

Gdy procesja wzburzonych podróżników wtoczyła się do służbowego wagonu, naczelnik pociągu, młody inżynier, bardzo się zmieszał.

— Cóżem ja winien?—tłómaczył się.

— Co nas to obchodzi! Chcemy jeść i nie chcemy zmarznąć. Dlaczego było mało ludzi na drodze? Dlaczego ich dotychczas niema? Pan chciał rzucić nas i uciec... Pan zapija herbatę, kiedy nasze żony i dzieci... nie mogą doprosić się łyka wody gorącej...

— Posłałem na stację po pociąg ratunkowy.

— Czy pan zaręczy, że dojedzie?

Inżynier ruszył ramionami.

— Tego nikt nie wie i przewidzieć nie może. Kazałem przygotować wody gorącej, lecz niech panowie oszczędzają opału, gdyż mało go mamy.

— A co? a co? Zmarzniemy! zamrożą nas żywcem! Co ci kolejarze sobie myślały?

Inżynier w milczeniu wycierał pot z czoła.

— I w podobny sposób krzywdzą ludzi, którzy zapłacili swoje pieniądze! — srożył się cięty trochę jegomość w lisiem futrze.

— Panowie, niechby nas wszystkich przeprowadzili do jednego wagonu dla zaoszczędzenia opału—proponował inny w bobrowej czapce.

— Zwaryowałeś pan? cały pociąg do jednego wagonu?

— Więc do dwóch.

— A kobiety?... Przecież spać trzeba.

— Będzie cieplej.

— Pociąg ratunkowy przywiezie żywność i opał — znów spróbował uspokoić wzburzonych inżynier.

— Nie zawracaj pan głowy! żaden pociąg w taką zamieć nie dojdzie!...

Na chwilę głosy ucichły, jak gdyby dla wysłuchania odpowiedzi burzy. A burza wyła, huczała, gwizdała, przewalała potoki śniegu ponad wagonami, przewiewała je między kołami, zatykając coraz szczelniej wolne otwory i przedziały. Oddech jej lodowy sięgał nawet głębi wagonów i kołysał blade płomienie świec i lamp.

— W każdym razie proszę... drzewa i świec oszczędzać...

— Panie, jadę z żoną i nie myślę siedzieć w ciemnościach. Kupiłem trzy bilety, aby mieć oddzielny przedział. Teraz słyszę o jakimś projekcie pomieszania wszystkich klas—gadał gruby jegomość w lisiem futrze.

— Pan myśli, że to żarty. My tu panu przysłemy nasze kobiety. Niech pan z niemi pogada!—groził inny.

Inżynier, który napozór popadł w zupełne odrętwienie, nagle ożył.

— Wszystko będzie! Niech się panowie uspokoją! Każę zapalić wszystkie lampy. A jeżeli nie starczy opału, to rozbierzemy budkę najbliższego droźnika.

Mężowie odeszli ułagodzeni. Jeden z nich tylko huczał dalej, niby bąk, puszczony w ruch zbyt silną ręką.

— Co panowie im wierzycie! Szelmy, łotry, wyzyskiwacze... Umyślnie wsadzili nas w zaspę... Dla nich to żniwo... gratka! Kto policzy kosztą odkopania? Kolej zapłaci, ile podadzą, a podadzą, co im się żywnie podoba! Ilu ludzi pracuje na linii? Może 300, a może 30?... Kto ich porachuje? Ile im zapłacono? Może dano im po pół rubla, a może i po dwa?... Znam ja te zasy dobrze, sam

byłem kolejarzem... Każda taka zamieć to złota żyła... Głupi chyba nie pociągnie... A że nam źle, co ich to obchodzi?... Co ich obchodzi! Rekiny, mówię panom... Ale ja nie dam się skrzywdzić!...

Ten rezolutnie przeniósł się z trzeciej klasy do pierwszej i został moim sąsiadem. Nie miałem czasu jednak słuchać jego gadania, gdyż musiałem śpieszyć na pomoc sąsiadce. Wyglądała na bardzo strapioną. Nic nie jadła i nie żądała nawet wody gorącej na herbatę. Ofiarowałem jej do rozporządzenia moją, zaopatrzoną jako tako w Samarze śpiżarnię, i wkrótce piliśmy wesoło wcale niezłą herbatę z wody śniegowej, na małym stolyczku, nawet nakrytym serwetą.

Właśnie opowiadała mi o niepokoju, jaki wywołać musiało jej opóźnienie, gdy rozległ się łoskot i wagon potoczył się, jak pijany. Imbryki z wodą gorącą spadły na siedzenie, pudełko z biszkoptami na ziemię, Angielkę odrzuciło w jeden kąt, a mnie w drugi. Uderzenie powtórzyło się jeszcze kilka razy, ale było już słabsze, poczem rozległ się gwar, który górował nawet nad rykiem zamieci. Angielka już przyszła do siebie: nie potrzebowałem jej ratować. Skoczyłem więc do swego przedziału, skąd rozległ się wielki trzask w czasie wstrząśnienia; obawiałem się o żelazne pudło z przyrządami i apteczką. Były tam prócz

tego naboje, eter, oraz inne wybuchające i łatwo zapalne substancje.

Widok, jaki ujrzałem, przeraził mnie: pudło leżało na ziemi, dnem do góry. Spadając, wywaliło drzwi i gdybym był wówczas w przedziale, niechybnieby mnie zabiło, ważyło bowiem przeszło sto kilo. Ale wewnątrz pudła panowała pocieszająca cisza. Nic nie syczało, nie śwędziło. Ostrożnie postawiłem je wiekiem do góry i otworzyłem. Dzięki szczelnemu upakowaniu, nawet szkiełko żadne nie pękło.

Odetchnąłem i pobiegłem dowiedzieć się, co znaczyl hałas. Okazało się, że przyszła lokomotywa, którą posyłano na stację. Przerzynając się przez zasy, nie umiarkowała biegu, wpadła na nas, połamała pierwszy na drodze wagon i wyrzuciła go z szyn. Zostaliśmy więc zakorkowani z dwóch stron przez wykolejone wagony. Zamieć śpiewała nad nami hymn zwycięski. Zasy u niektórych wagonów sięgały platformy.

Zapadała noc. Mleczny, ruchomy, lodowy wir mętniał wokół i czerniał. Czarne zarysy pociągu zlały się z ciemnością. Rząd oświetlonych okien wydawał się zadusznymi lampkami, palącemi się na opuszczonym grobowcu. Przybyła lokomotywa ciężko wydychała nagromadzoną parę. Krwa-wa łuna naftowych pochodni biła od połamane go pociągu daleko na smugi lecących chyżo, jakby

ścigających kogoś płateczków śniegu, na figury ludzi, kupujących się tam...

Krzyczeli i klęli.

Byli to robotnicy. Zbuntowali się i wypowiedzieli posłuszeństwo.

— Każdemu życie miłe! Nie będziemy dziś robić... Ciemno!... Zmarzliśmy... Nie pójdziemy!... — wołali.

— Odkopcie choć lokomotywę, żeby wróciła na stację.

— Nie! Niechaj stoi!... Każdemu miłe życie...

— Nie zapłacę wam za dziś ani grosza!

— Zawsze nas okpiwacie! Obiecujecie rubla, a dajecie pół!... Po śmierci niepotrzebne nam pieniądze. Chodźcie, chłopcy, niech maszyna stoi... Dosyć z nas nadrwili...

— Zaraz bierzcie się do lokomotywy. Inaczej nie puszcze was do wagonu i zmarzniecie w polu! — wołał inżynier, siłąc się przekrzyczeć i wiatr i ludzi.

— Ho, ho! Sam... chody... Wagon łamaj! odpowiedzieli mu robotnicy z porywami burzy.

Byli to przeważnie Tatarzy, Baszkirzy, Czere-misi. Wywijali łopatami, wydawali gardłowe dźwięki; ciemne, kanciaste ich twarze groźnie migały w krwawo zabarwionej pochodniami zamieci.

Wichura tak szalała, że nie mogłem doczekać się końca tej sceny; odzież moja zamieniła się w ciężki, nabity śniegiem pancerz, śnieg dostawał się już do żywego ciała. Schowałem się czemprędzej do wagonu, dowiedziałem się jednak, że robotnicy postawili na swoim i nie odkopali lokomotywy. Dopiero nazajutrz rano posłano ją po żywność i opał. Wróciła po kilku godzinach, razem z pociągiem ratunkowym. Zaspasy u naszego pociągu miejscami sięgały już okien. Długi, czarny, nieruchomy, wyglądał on w białych kłębach zamieci, jak smok zawiany w stepie. Dokoła, niby stada kawek, uwijały się tłumy robotników.

Pasażerowie po złe spędzonej nocy wylegli orzeźwić się świeżem powietrzem. Zamieć szalała po dawnemu, lecz zdawało się, że ruch, który zawrzał dokoła, osłabił jej potęgę. Gromady chłopów w zlodowaciałych kozuchach, w futrzanych, nabitych śniegiem czapach, z osędziałymi brodami i wąsami, istne wcielenie synów zimy, badały łopatami i drągami góry ubitych wiatrami zasp.

Saneczki, zaprzężone w nieduże, kosmate koniki, odwoziły na stronę rozbite grudy. W szan-cach zamieci tworzyły się duże wyłomy, lecz wiatr nie ustępował i z wężowym świstem wściekle dął w te właśnie szczeliny. Ludzie ryli wytrwale nory w śnieżnej kurzawie, uwijali się pod kołami pociąg-

gu, wśród zlodowaciałych hamuleców, oskrobując osie, koła i łańcuchy.

Po kilkunastu godzinach takiej pracy, zaspły zostały przebite; odkopany pociąg pod ochroną wciąż poruszających się łopat, stał w głębokim przekopie, jak w tunelu. Ale dwie lokomotywy jeszcze nie mogły go stamtąd wydobyć. Dopiero gdy przybył drugi ratunkowy pociąg, pociągnięto nas z jego pomocą napowrót na stację.

Podróżni, pełni radości, rzucili się do bufetu po żywność, gdyż ta odrobina, jakiej dostarczały ratunkowe pociągi, nie mogła nas zadowolić, i głód dawał się już we znaki. Zwłaszcza cierpiała klasa trzecia, ale klasa trzecia składała się z ludzi, którzy przyzwyczajeni byli cierpieć i milczeć. Jak dotychczas, protestował jedynie „stan trzeci“, klasa druga. Klasa pierwsza, składająca się z Angielki i ze mnie, siedziała cicho, gdyż prócz filozofii posiadała jeszcze spory zapas sucharów, chleba, biszkoptów, oraz innych przywilejów. Ale po przybyciu na stację nawet pierwsza klasa szemrać zaczęła w imię ludzkości.

Na stacyi nie nie przygotowano dla podróżnych, ani łyżki stawy gorącej. Wydawano jedynie, z miłą wielce łaskawą, za kwitkami, po kawałku czerstwego chleba, kielbasy starej i cuchnącej i równie starego sera. Herbatę i cukier sprzedawano za

grubą gotówkę, choć, jak się okazało, według przepisów kolejowych każdy podróżny miał prawo w trzeciej klasie na rubla strawnego, w drugiej klasie na dwa, a w pierwszej na trzy ruble dziennie. Nikt z nas jednak o tem prawie nie wiedział, i każdy płacił chętnie, byle coś dostać.

Urzednicy kolejowi uciekali od podróżnych, jak od morowej zarazy, i kryli się gdzieś po dziurach, że znaleźć ich było bardzo trudno. Nagabywani twierdzili, że to nie ich rzecz, że oni są „od ruchu“, wreszcie od kół, wagonów, biletów, i odsyłali głodnych do kogoś, kogo właśnie nie było.

Angielce, która energicznie na nich napadła, podano kotlet... Ja zaś wołałem na ustroniu przysłuchać się spokojnie naturalnemu biegowi rzeczy.

Niebezpieczeństwo już nie groziło nikomu, a obronę „praw człowieka“ wziął na siebie „stan trzeci“. Błądziłem wśród gromady wilgotnych, zziębłych cyklopów, którzy nas przed chwilą wyrwali z uścisków burzy. Gęsto wypełniali salę stacyjną, a para ich oddechów, zapach machorki, przalych kożuchów, niezmiennianych kilka dni onucz, czynił pobyt wśród nich dość przykrym. Znowu burzyli się. Żądali wódki, żądali większej liczby pustych wagonów, aby mogli się tam ogrzać, osuszyć i wypaść. Dano im wódki, lecz o wagony wynikł zatarg.

Druga klasa tymczasem wpisywała „protest“ do księgi zażaleń. Był to manifest bezwarunkowo godny końca XVIII-go stulecia. Dobrze, że choć z błahego powodu ludzie mogą czasem powtórzyć wielkie wyrazy! Podpisałem go chętnie, ale przed podpisem musiałem pokazać swój bilet kolejowy. Na tej małej, zasypanej śniegiem stacyjce wywołał on wrażenie nieoczekiwane. Żandarm, zwracając go, salutował mię z wielką paradą, a autorowie protestu nie taili swego zadowolenia. Słyszałem, jak szeptali: „Podróżnik wysyłany przez Akademię do Japonii w niewiadomym celu“.

— Biedaczysko! Zabiją go napewno, gdyż na wiosnę, ani chybił, wojna z Japończykami... Zbyt wiele już sobie pozwalają Japosie!...

— Kto wie jeszcze, czy dojedzie? Chunchuzi w Mandżuryi również nie żartują! Niedawno był taki wypadek...

Dalszy ciąg był istotnie okropny, ale na szczęście... fantastyczny. Oddawano mi honory, jak skazanemu na śmierć. Zresztą było dość wesoło.

Angielka, zjadłszy kotlet, bardzo się pokrzepiała. Okazała się miłą, ukształconą, dobrze wychowaną osobą. Godzinami gawędziliśmy o Tołstoju, Nitzschem, o współczesnych prądach społecznych i literackich. Była zagorzałą patryotką, choć urodziła się i wychowała w Rosyi. Dziwna rzecz: ci

Anglicy umieją w szlachetny sposób kochać i cenić swoją ojczyznę. Zdaje mi się, że pochodzi to z właściwego zrozumienia przez nich wogóle narodowości, jako czynnika niezbędnego do życia ludzkości. Zauważyłem, że oni szanują jedynie tych, którzy mają... ojczyznę. Jednocześnie wśród Anglików znalazłem największy procent „patryotów“ bez szowinizmu.

Nazajutrz sporządzono nareszcie sprowadzoną aż z Samary maszynę do rozrzucania zasp i mimo szalejącą dalej burzę ruszyliśmy naprzód.

„Gramofon“ — tak robotnicy przezywali „zaspówkę“ („zaspową“ maszynę)—szedł przed nami, popychany przez oddzielną lokomotywę. Byliśmy zczepieni z nią łańcuchami, ale mieliśmy dwie osobne lokomotywy. Posuwaliśmy się bardzo wolno, a jednak, gdyśmy wcieli się w pierwszą zaspę, uderzenie było tak gwałtowne, iż w pierwszej chwili pomyślałem o... początku końca. Moja towarzyszka zbladła, jak śmierć... Przykre uderzenia powtórzyły się i powtarzały wciąż od tej chwili co kilka sążni. Maszyna wrzynała się w zaspę, zatrzymywała, lokomotywa dawała kontrparę, pociąg był odrzucany na długość łańcuchów, a stalowe skrzydła wiatraka puszczane w ruch kruszyły i rozrzucały zaspę.

Robotnicy skrzętnie pomagali, kopiąc przed

maszyną wąskie przejście, które ona rozszerzała z łatwością.

Przedarłszy się przez jedną zaporę, ruszaliśmy wciąż wolno i ostrożnie do następnej. Znow uderzenie, nagle szarpnięcie w tył, pochylenie się, trzask, drżenie wagonów, co połączone z nadzwyczaj przykrem targaniem pociągu, czepiającego stopniami o boki wąskich przekopów, czyniło przejście przez zasypy ogromnie nieprzyjemnem. Za każdym sygnałowem gwizdnięciem twarze podróżnych nabierały wyrazu ludzi, oczekujących na wyrwanie zęba. Rzeczy zlatywały z półek, podłoga kołysała się, ściany wagonów, bufory i haki jęczały. Nikt nie był pewny, czy nie pękną, i czy straszne szydła pękniętych wiązań i rozszczepionych belek nie wysuną się nagle z ciemności, godząc w piersi skupionych trwożnie ludzi. Angielka, pomimo odwagi, bladła za każdym razem, jak płótno, i zamykała oczy. Nie mogłem jej pocieszyć, gdyż obecnie było to dla nas cierpienie nieuniknione... próbowałem dowiedzieć, że właściwie żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lecz... bez skutku.

Dzień cały jechaliśmy trzy mile, dzielące niebezpieczne stacye. Na wieczór obiecywano nam bufet i gorącą strawę, lecz mocnośmy się zawiedli. Wprawdzie dostaliśmy na stacyi trochę mięsa, ale zimnego i... po bardzo wysokich cenach. Protest

klasy drugiej nie pomógł. Sprytni kolejarze odrazu zgadli, że żaden z podróżnych nie zna zakresu swych praw, i bardzo zręcznie z tego korzystali; na trzecią klasę krzyczeli z góry, na drugą nie zważali, a mojej Angiele, gdy upomniała się o obiecaną zupę, grzecznie oświadczyli, że intendent pośle natychmiast do sąsiedniego miasteczka po wszystko, czego zażądata podróżni.

Uspokoila się i poprosiła o kilka jajek i pieczoną kurę. Intendent uklonił się bardzo elegancko. Były to jednak drwiny. Nikt nie dostał, i do miasteczka wcale nie posyłano, choć komunikacya z niem istniała, gdyż wielu podróżnych pojechało tam na noc. Widocznie intendent poprzestał na zapisaniu naszych życzeń na podanym kolei rachunku, a o spełnieniu ich zapomniał w wesołym gronie towarzyszy. Zajęli przedział obok mojej sąsiadki i tak hałasowali, że musiałem im zwrócić uwagę. Ale ponieważ nazajutrz droga poszła nam gładko, zasp więcej nie było i pociąg leciał chyżo po wyłożonych słońcem, malowniczych stokach Uralu, więc z łatwością zapomnieliśmy o drobnych niegodziwościach ludzkich i nawet... o wrażeniach ciała, przeciąganych przez drutownicę.

Wielki gościniec syberyjski.

Wielki gościniec syberyjski.

„Z Wierchoturya do Tiumenia 45 mil... Gdyśmy przedtem słyszeli o Syberyi, inaczej o niej sądziliśmy, gdyż rozumieliśmy, że to kraj pusty i bardzo mało mieszkańców mający, lecz gdy tam przyjechaliśmy, zobaczyliśmy wielką wszystkiego obfitość i widzieliśmy wsie dość piękne i gęste, jechaliśmy slobodami dosyć bogatemi i niedługo jadąc, przy pogodnej chwili do Tiumenia miasta przybyliśmy. Miasto Tiumeń daleko większe i wspanialsze, niż Wierchoturya, niemniej w handle wszelkie i kupców sławniejsze, a co się tyczy żywności, daleko większy dostatek znajdowaliśmy. Ryb i mięsa niełatwowierna taniość, kiedy karasiów kopę po kopiejce jednej, to jest po groszy polskich dwa płaciliśmy, mięso także funt po równej cenie i taniej dostać było można, a co należy do leguminy

i nabiałów, te nadzwyczajną taniością kupowaliśmy. Baran kosztował 20 groszy¹⁾.

Tak przedstawiała się Syberya podróżnikom polskim w końcu XVIII stulecia. Taką znałem z opowiadań ojców, taką poznałem sam, gdy przed ćwierć wiekiem przeszedłem ją, przeważnie piechotą, od końca do końca. Mało zaludniona, ale zamożna, dzika, ale gościnna, pełna rozmachu i żywiołowej ufności w siebie i żywiołowego zamiłowania niezależności. Komu w Rosyi było źle, kogo uciskali ludzie lub własne wady, uciekał za Ural, szukał „Białych wód“, syberyjskiego, chłopskiego raj, gdzie ziemi w bród. Skoro Zachodnia Syberya przestała być takim rajem, koloniści dążyli dalej na Wschód, gdzie z łatwością znajdowali nietknięte jeszcze ludzką nogą ostępy. W takich gniazdach leśnych rodziły się nieraz i wychowywały pokolenia ludzi, którzy nie znali innej władzy prócz własnej wioskowej, oraz innych przedmiotów prócz własnych wyrobów. Publicysta syberyjski, Jadrincew, przytacza w swej zajmującej książce: „Syberya jako kolonia“, kilka przykładów odkrycia w połowie ubiegłego stulecia przez władze rosyjskie wsi dużych, bogatych, pięknie zabu-

¹⁾ „Pamięć dzieł polskich, Podróż y niepomysłny sukces Polaków“ przez urodzonego Karola Lubicz-Chojckiego. Warszawa, roku 1789. str. 69.

dowanych, posiadających sklepy, cerkiew i szkołę, a zupełnie nieznanych rządowi. Za moich czasów naczelnik okręgu Wierchojańskiego odkrył w ujściach Leny taką wieś jakucko-rosyjską, nieznaną nikomu.

Długi czas nie było w Syberyi żadnych dróg prócz spławnych rzek. Rzekami dostawali się do jej głębi śmiali myśliwcy, szukając drogich lisów i soboli; śladem myśliwców, prowadzeni i wspomagani przez nich, przyszli zdobywcy Kozacy, przybyli urzędnicy i poborecy podatków, pobudowano miasta i ostrogi (zameczki). Ale wszystko to trzymało się rzek, pozostawiając ogromne międzyrzecza nietkniętymi. Ładowne statki z pobranym jasakiem, z futrami, z kością lub towarami, prochem, mąką i ludźmi, spławiano lub holowano rzekami. Szły więc one Turą do m. Tiumenia, stamtąd Tobołem mimo Tobolska do Obi, dalej Obią i jej dopływem Ketą do Jeniseju. Z Kety do Kasu (dopl. Jeniseja) przewłoczono statki przez niski, błotnisty, kilkuwiorstowy „włok“¹⁾.

Z Jeniseju Angarą szły statki aż do Bajkału, Podróż trwała lata całe. Carski poseł, Spotharyusz.

¹⁾ Obecnie przekopano tam z wielkim trudem i nakładem kanał, lecz kolej Syberyjska zabiła go; zarzucony, zamula się z każdym rokiem, coraz bardziej zwęża, umiera. Powiadają, że już przestał być spławnym.

w XVII stuleciu zużył na przebycie jej dwa lata przeszło i w krótkim swem sprawozdaniu mówi o niej miejscami ze zgrozą... Szczególnie dały mu się we znaki „porogi angarskie“, przez które holowano statki z wielkim mozolem i niebezpieczeństwem.

W XVIII stuleciu droga już cokolwiek zmieniła kierunek, wyprostowała się trochę. Przerabano szlaki w ogromnych lasach, o których wyżej wspomniany Lubicz-Chojecki powiada, że „żaden z własnych tamtejszych mieszkańców końca onych nie widział, gdyż chcąc one lustrować, albowy z głodu umarł, albo też zbłądziwszy w nich, nierzadby wyjść nie potrafił“.

Powstały nowe punkty administracyjne i handlowe: Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck, które zaczęły rywalizować ze wszechmocnym dotychczas Tobolskiem. Ale ludzie i towary wciąż jeszcze odbywali podróż przeważnie wodą i latem. Dopiero w początkach XIX stulecia wykończono trakt lądowy, Wielki gościniec syberyjski, którego budowę zaczęto od Wschodu, tak, że część jego, najbliższej będąca Europy, była ukończona najpóźniej.

Potężna, szeroka wstęga tego gościńca legła malowniczym węzem przez stępy, góry, doliny, przerznięła lasy i bagna, wdarła się na posępne „uwały“, pokreśliła zygzakami strome wierzchołki,

obrzeżyła jeziora i topiele. Wzdłuż tego szlaku powstały liczne sioła furmańskie, zamożne, ludne, butne, handlowe i... rozbójnicze. Pięknie zabudowane, ciągnęły się niekiedy po parę wiorst wzdłuż drogi, miały niekiedy na każdym końcu cerkiew i dzieliły się na dwie parafie. Czasami cała wieś, albo jeden z takich końców był tatarski i miał meczet, jak np. w Syberji Zachodniej. Oba wyznania żyły zwykle z sobą w dobrej zgodzie. Właściwie takie sioła były to małe miasteczka rolnicze. Rój folwarków, tak zwanych „zaimek“, otaczał każde. W lecie znaczna część ludności odchodziła na „zaimki“ dla uprawy roli i zbioru plonów. Za to w zimie na gościńcu wrzało życie w całej pełni. Na ulicach wieczorami rozbrzmiewały pieśni, i chłopcy z dziewczętami, wzięwszy się za ręce, tworzyli taneczne korowody. Tu zawiązywały się stadła małżeńskie, powstawały miłostki, składały się słoneczne, chmurne lub złośliwe pieśni i powieści. Nieraz chłopak, zrujnowawszy się na podarunki dla nieprzystępnej dziewczyny, zmuszał się z towarzyszami, zaprzęgał trójkę koni do niskich, mocnych sani i wyjeżdżał w noc ciemną i zamieciastą na gościniec, gdzie długim, nieprzerwanym szeregiem, miarowym krokiem szły ładowne, kupieckie podwoje. W upatrzonym miejscu sanki z mołojcami spadały, jak wichry, na karawanę: pa-

ki z jedwabiem, drogimi kamieniami, suknem lub herbatą bywały w mgnieniu oka odcięte, porwane i uniesione przez ręce, szalejące w biegu konie. Ale syberyjscy furmani, którzy sami nieraz w młodości urządzali podobne wyprawy, doskonale znali obyczaje zbójckie, niebezpieczne uwały i wsie rozbójnicze, strzegli się napastników i mężnie bronili towarów... Stąd to w miejscach, gdzie „swawolono“, stały gęsto krzyże na mogiłach pomordowanych ludzi.

Podobne smętne krzyże przydrożne zdarzały się często również koło miast, gdzie gnieździły się odmienne organizacje rozbójnicze, towarzystwa łotrzyków, polujących na bogatych kupców, na przejezdnych, wiozących pieniądze. Strzegł się więc kupiec syberyjski, krył ze swymi interesami, z posiadaniem lub odbiorem gotówki, gdyż nigdy nie wiedział, czy go nie śledzą drapieżne iastrzębie oczy. Podróżni starali się jeździć gromadkami, gdyż nawet przejazd pocztą nie zawsze był bezpieczny, tak zwani zaś „przyjaciele“ czyli „wolna poczta“, chociaż wybornie zorganizowana i znacznie tańsza, żadnej nie dawała gwarancyi i wiele zbrodni leży na jej sumieniu. Zresztą zuchwali zbóje na nikogo nie zwracali uwagi. W roku 1894 na stacyi Kemiltej, pod samą wsią, pięciu opryszków według wszelkich prawideł sztuki wojen-

nej wykopało formalną „transzeję“ i przez tydzień czatowało na pocztę, która miała wieść z Irkucka pieniądze. Cała wieś wiedziała o zasadzce, ale nikt nie śmiał tych syberyjskich „chunchuzów“ wypłoszyć, lękając się zemsty.

Zbóje zabili wówczas pocztyliona, woźnicę, dwa konie, zabrali 30,000 rubli i znikli. W podobny sposób zrabowano rok przedtem za Bajkałem 10 pudów złota, należącego do kompanii Nimańskiej. A ilu zginęło rozmaitymi czasy przejezdnych, kobiet, dzieci... tego nie zliczyć! W niektórych jarach i odstępach widziałem do dziesiątka krzyżów.

Aby choć trochę ukrócić swawolę „zrzynaczy herbaty“¹⁾, musiał generał-gubernator Sinielnikow wsie całe wysiedlać. Widziałem wsie takie zrujnowane, nawpół puste, drzwi i okna domów zabite deskami. Ale to mało pomagało.

Namiętności ludzkie oraz tłumy przysyłanych z Rosyi rok rocznie kryminalistów z łatwością wily gniazda zbójckie w innych miejscach, gdzie znowu wyrastały mogiły i krzyże. Głośnym był swego czasu bajeczny proces kupca A., burmistrza miasta Czyty, światowca i hulajduszy, przyjaciela wyższej administracyi, który zabijał pocztylionów,

¹⁾ Miejskowa nazwa rabusiów na gościńcach.

Gdy potrzebne były chłopu pieniądze, czy to w zimie z powodu jakiej biedy, czy to w lecie przed omłotem zboża, czy na podatki, zaprzęgał konia, brał bat do ręki i udawał się z „zaimki“ do swej stolicy, do swego przydrożnego sioła, gdzie miał dom i całe obejście; tam czekał cierpliwie taborów kupieckich i wypadku. Na gościńcu syberyjskim, przy wielkiej mnogości przewozu i ruchu, wypadki były rzeczą zwykłą: to koń padł, to wóz się złamał, to woźnica zachorował. O zarobek nie było trudno.

— A co ci woźnice zjadali mięsa, jaj, drobiu, słoniny—nie do uwierzenia! Ile potrzebowali kaszy, maki, kartofli, kapusty! Zawsze było za mało. Baby nasze nie mogły nadażyć sadzić. Konie też miały wartość, dobrego zawsze można było sprzedać, a i złego brali. I baran w cenie był, i świnia...—opowiadają chłopci o tych legendowych już czasach.

I tak było w istocie.

Kolej wszystko zmieniła odrazu.

Zarobki przy budowie kolei i na kolei, słabo związane z miejscowym rolnictwem, nieznane i nie-trwałe, wymagają przedewszystkiem ciągłego pobytu na linii, potrzebują robotnika ruchliwego, łatwo przerzucającego się z miejsca na miejsce,

przechodzącego bez trudu od zajęcia do zajęcia... słowem proletaryusza, albo specjalisty, nie rolnika. Rynki zbytu i giełdy cen uciekły w nieznana dal, często na drugi koniec świata. Ich wahania się, spadki i wzloty zaczęły działać, jak jakieś nadprzyrodzone, niezrozumiałe siły. Chłop zgłupiał, zwątpił o sobie i w wielu wypadkach stracił ochotę do pracy.

Wzrósł wioskowy pesymizm i wzrosło pijaństwo.

— Czy tak, czy owak, nie ujdę biedy, więc się choć za swe kilka groszy pocieszę!

— Chodzimy teraz w ciemnościach i nie wiemy, co z nami będzie. Może będzie lepiej, a może będzie i gorzej. Teraz jest źle, bardzo źle, i nie wiadomo jak biedzie zaradzić!

Nadomiar, jednocześnie z koleją zwały się na syberyjskiego chłopca dwie ważne reformy: ustawa rolna (pomiar i podział gruntów), oraz nowe sądownictwo. Obie one wymagają od niego wielkiego naprężenia umysłu i znacznych środków pieniężnych. Tymczasem zarobki znikły, a niepewna przyszłość mąci spokój i ducha.

Podział gruntów między gminami i ograniczenie działków gospodarskich do 15 dziesięcin odrazu zabiły dawny sposób uprawy roli. Właściwie

jej nie uprawiano, lecz poprostu porzucano wyjałowione grunta i przenoszono pola na inne dziewicze lub wypoczęte ugory. Uznanie lasów syberyjskich, z wyjątkiem niewielkich, przyległych gminom działków, za własność rządową i wprowadzenie straży leśnej uniemożliwiło karczowanie nowin i gospodarstwo „podsieczne“ ¹⁾. W braku ziemi zaczęto rozorywać łąki i zmniejszać hodowlę bydła. Chłop syberyjski doskonale rozumie korzyści starannej i systematycznej uprawy roli, ale nie jest to dlań bynajmniej rzecz łatwa.

Europejskie sposoby umierzniania roli nie odpowiadają klimatowi i glebie syberyjskiej i, stosowane tutaj, nie dają pożądaných rezultatów, a niekiedy nawet dają złe. Długa i ostra zima, gorące, suche lato, krótka wiosna, podczas której woda śniegowa spływa w ciągu dni kilku, słabo zwilżając powierzchnię głęboko przemarzłej ziemi — wszystko to sprawia, że procesy chemiczne w glebie syberyjskiej są zupełnie inne, niż w europejskiej. Nie są one jeszcze wcale zbadane; wiadomo

¹⁾ Polegało ono na wycinaniu lasu i spalaniu go na miejscu. Ziemia, ogrzana i użyźniona w ten sposób, dawała setne plony. W miejscowościach wilgotnych, leśnitych, zboże na małych, śródleśnych polach nie dojrzewa bez takiego poprzedniego ogrzania i osuszenia roli. A na to, aby to słońce zrobiło, trzeba długo czekać.

jedynie, że czarnoziem syberyjski różni się od czarnoziem Rosyi Środkowej, Polski i Ukrainy, że siła jego rodzajna łatwiej się wyczerpuje i wolniej wraca. Musi więc chłop syberyjski przeprowadzić cały szereg kosztownych i zawiłych badań, nim nauczy się odżywiać swoją karmicielkę. Wiedzy on ma mało, pieniędzy coraz mniej i coraz mniej czasu. Ma natomiast trzy wielkie zalety, które mu ułatwią zwycięstwo: niepożytą energię, umysł trzeźwy i wielką miłość niezależności.

Pytanie jednak: czy mu starczy środków?

Budżet włościański, osłabiony przez kolej i znaczne koszty pomiarów gruntowych, ostatecznie poderwały wydatki na reformę sądową, bezwarunkowo potrzebną i pożyteczną, oraz na naczelników włościańskich. Nie będę się wdawał w ich krytykę, gdyż rzeczy to powszechnie znane. Dla charakterystyki stanu ekonomicznego wsi syberyjskiej dodać jednak muszę, że ostatnimi czasy wyłoniła się jedna jeszcze potrzeba, a mianowicie: przeniesienie i przebudowanie wielu dawnych siół.

Zdawałoby się, że w państwach z administracją silnie scentralizowaną wszelkie przedsiębiorstwa i reformy przeprowadzane są z uwzględnieniem najróżnorodniejszych czynników i interesów społecznych.

Okazuje się jednak, że wcale tak nie jest. Z powodów niewiadomych np. kolej Syberyjska ominęła większość wsi traktowych. Wydaje się, że pociąg biegnie przez pustynię. Jedyne prawie sadyby są to nowe, trocinami i farbą jeszcze pachnące osady kolejowe. Rzadko gdzieś w dali mignie stare sioło syberyjskie z cerkwiami i szeregiem dużych, dostatnich zabudowań. Do tych sielskich stolic zjeżdżały na sezon zimowy żadne życia i wrażeń rodziny gospodarskie, rozrzucone przez całe lato po głuchych „zaimkach“. Życie płynęło wesoło, hulaszczco, nagradzano sobie letnie niewieczasy i trudy. „Zaimki“ były to z początku proste, zwykle szałas, budy lub małe chałupeczki bez okien i pieca, gdzie pracownicy kryli się jedynie na noc lub w słotę. Stały one nieraz bardzo daleko od wioski, o dwie, a nawet trzy mile, wśród łąk lub na gruntach uprawnych, i były porzucone bez wielkiej straty. Niekiedy okazało się, że warunki rolnicze tej miejscowości sprzyjają stalszej osadzie; wtedy budowano mieszkania większe i lepsze, stawiano szopy i chlewy. Ale wszystko miało zawsze charakter tymczasowy i było zastosowane do pory letniej.

Budynki miały cienkie ściany, obory były małe i duszne. Zimowy pobyt na „zaimce“ narażał na wiele niewygód, a nawet niebezpieczeństw ze

względu na włóczęgów i złodziei, szukających w nich zwykle przytułku. Cennych rzeczy, sprzętów i pieniędzy nikt na „zaimkach“ nie trzymał; zresztą były one tam zupełnie niepotrzebne.

Obecnie, gdy gościniec syberyjski obumarł i sioła przydrożne utraciły swój dawniejszy charakter: giełd pracy i rynków handlowych, znikł powód do pobytu w nich.

Rolnictwo wystąpiło jako jedyna podstawa bytu, zażądało szczególnej pieczy i wysiłków. Konieczność nieustannego dozoru pól, potrzeba gromadzenia nawozu w pobliżu nich, oszczędności na czasie i pracy, zmusiły rolników do przedłużania pobytu na „zaimkach“, a nawet w wielu razach do zupełnego tam przeniesienia się.

Miało to jednak pewne niedogodności: miejsca wybrane dla „zaimki“ były zazwyczaj dla stałej siedziby nieodpowiednie. Brakowało miejsca do pojenia bydła, to znów wiatry i zadymki bardzo dokuczały; wreszcie budowle były tak lichy, że niepodobieństwem było stale w nich mieszkać. Trzeba więc było budować nowy dom, i wybór miejsca stawał się bardzo ważną kwestyą. Warunki kulturalne i klimatyczne Syberii wymagają ludnych wsi.

— Często takie śniegi padają, że jak mur odcinają nas od świata. Jedynie wielka wieś zdoła

drogę w takich śniegach wyjeździć. Mosty i promy na licznych rzeczkach, groble na błotach, bezpieczeństwo osobiste, szkoła, administracja gminna, potrzeby kościelne i rodzinne, wskutek słabego zaludnienia wymagają skupienia się rodzin. Trzeba więc dla nowych sadyb szukać miejsc obszer-nych, z dobrym wygonem, z obfitą i smaczną wodą, na południowych stokach, gdzie udawałyby się ogrody, a jednocześnie miejsc niedaleko położonych od ornych pól i sianozęci. Wyznaczenie każdej gminie przez pomiary rządowe określonych granic, oraz podział ziem gminnych między oddzielnych gospodarzy, bardzo utrudniły wyszukiwanie dogodnego dla wszystkich miejsca.

Ale koniec końców, względy gospodarcze przeważają i z wielkim nakładem czasu, pieniędzy i trudu powstają zwolna nowe ogniska nowego życia, do których zwolna przepelzają mieszkańcy dawnych, rojnych siół.

W dawnych sióлах coraz więcej zobaczyć można domów niezamieszkan-ych z zabitymi drzwiami, z wylupionymi oknami, pustych, smutnych, umierających. A obok umiera piękna niegdyś, szeroka i zwiedzana droga. Przedstawia ona już tylko wąską, wiejską drożynę, zawianą i wyboistą, i jedynie słupki przydrożne, bielone miejscami kamieniem, ładne mosty oraz potężne na spadzisto-

ściach zwroty i zygzaki, skopane przyczółki gór mówią o dawnym znaczeniu i wspałości tej drogi.

Na uboczu, daleko od niej, powstają nowe wioseczki, sąsiedzi łączą się w małe wysiołki, przeci-niają w tajdze drogi, kopią studnie, budują domy. Nie zawsze jednak odrazu trafiają na dobre miejsce; często wioska, świeżo powstała, bywa porzucana, lub rozwija się cherlawo, nie mogąc wzrosć do rozmiarów, dla trwałego istnienia niezbędnych.

— A wszystko dlaczego: przez kolej! — mówi z goryczą chłop syberyjski.

Ale życie nie stoi na miejscu, i choć stopy jego kroczą po ludzkich istotach, wciąż idzie naprzód. Wszystko, co powstaje, rodzi się w bólach i utrwa-ła przez dobrowolne lub wymuszone poświęcenie. Kolej Syberyjską zbudował i utrzymuje nie kto in-ny, tylko ten sam chłop, który z gniewem i bole-śnem zdumieniem spogląda obecnie na przelatują-cego żelaznego smoka, gdyż jego koła naciskają przedewszystkiem na jego serce.

DROGA ŽELAZNA.

Droga żelazna.

„Wtedy koń powiedział do palipiecy: wejdź w moje prawe ucho! A gdy palipieca wszedł, to znalazł się w pięknym pałacu, gdzie jasno było jak we dnie, gdzie na stołach stały pełne misy i dzbany, gdzie cudnie grała muzyka. Palipieca umył się, ubrał i zamienił w ślicznego królewicza. Koń tymczasem sadził przez góry, doły, bory i stepy“.

Bajkę taką słyszałem w dzieciństwie. Rzeczywistość, którą widziałem, nie ustępuje jej wcale. Lustra, brzozy, mahonie, kryształowe naczynia, zwierciadlane szyby, dywany, kotary; wygodne, wyściełane fotele i kanapy, przed nimi gustownie rzeźbione stoliki. Właściwie nie wagony, lecz małe, przenośne saloniki na kołach. Pianino, nuty i książki. Seledynowe elektryczne światło. Na zawołanie wyszukane potrawy i napoje, możliwość porozumiewania się za pomocą telegrafu z całym

światem. Obiecują nawet telefon, i można będzie, nie wychodząc z wagonu, rozmawiać nie tylko ze stacją, ale i z pobliskimi miastami. Żelazny koń będzie tymczasem leciał, przebijał, niby błyszcząca igła, śnieżną kurzawę zamieci, obłoki skupione na szczytach górskich łańcuchów, nieprzejrzane stepowe przestworza i rozpalone słońcem skalne wąwozy i ciemne tunele. Palipieca, zamieniony w ślicznego królewicza, zapatrzony w jakąś wędrowną królową, zaledwie będzie wiedział o tem.

Świat cały, wspaniały, cudny świat będzie migał przed nim niewyraźnie, rozbity na tysiące kawałków wielkości wagonowej szyby. Zyska na tem powierzchowność palipiecy, ale on sam stanie się trochę mniej... rozgarniętym, niż wówczas, gdy własnymi siłami musiał zwyciężać tę przestrzeń, wiszary i wodne roztocze. Ha, może za to spryt swój w inną stronę skieruje, może zajrzy do ciemnych, zaniedbanych zaułków własnej duszy?!

Szczególnie wspaniale przedstawiły mi się wagony ekspresu kolei Mandżurskiej. Wprawdzie, gdym jechał nimi, były w drodze dopiero po raz drugi, ale wykint ich urządzenia, wygoda i czystość były bez zarzutu, olśniewały poprostu. Dobrze, bardzo dobrze!

Kolej taka, skracająca ogromnie, bo aż we dwójnasób, drogę dla handlu ze Wschodem, stała

się niezbędnie potrzebną przemysłowej i pieniężnej Europie; względy polityczne kazały Rosji przeprowadzić ją ze szczególnym pośpiechem. Ponieważ jednak będzie międzynarodową, przyniesie państwu zyski, których niepodobna na pieniądze obliczać. Przedewszystkiem rozluźni wiele starych i uciążliwych więzów. Już obecnie mówią o zniesieniu niektórych formalności paszportowych i celnych, o lepszej organizacji policyj i obsługi kolejowej, ku większej wygodzie i bezpieczeństwu zagranicznych, a co za tem idzie i miejscowych przejezdnych. Następnie w pasie swego wpływu kolej ogromnie podniesie poziom kultury, zwiększy stopę zarobkową, nauczy krajowców pracować sumiennie, szybko i dokładnie, przyzwyczai ich do pewnych wygod i do szanowania samych siebie.

Dość porównać ekspres ze zwykłymi pociągami miejscowymi, aby zrozumieć, jaka dzieli je przepaść i jak wiele jest do zrobienia w sferze obyczajów.

Zwykłe pociągi przedewszystkiem wciąż się spóźniają; stoją na stacjach tak długo, jak się podobą zawiadowcy, nadkonduktorowi, wreszcie... maszyniście. Potem dopędzają stracony czas, stąd wypadki są na porządku dziennym. Wagony brudne, stacje jeszcze gorsze; bufety, zwłaszcza syberyjskie, przystosowane przedewszystkiem do przy-

zwyczajeh podróżnych; wszędzie: „wypić i przekąsić“; jedzenia porządnego dostać niepodobna; obiady zimne, wstętne, cuchnące i... drogie. Ceny w cenniku kolejowym są zbyt wygórowane, nieodpowiednie do gatunku podawanych potraw. Nandomiar służba bufetowa zawsze dolicza. Nie zdarżyło mi się w ciągu całej drogi, aby lokaj nie omylił się na moją niekorzyść. Pod koniec takie stałe potwierdzanie mojej obserwacji sprawiało mi nawet pewną satysfakcję.

Muszę jednak z tego uogólnienia wyłączyć posługaczyw Chińczyków w Mandżuryi, którzy nigdy nie doliczyli mi ani grosza.

Wszystkiego trzeba samemu dopilnować, we wszystko wejrzeć, poczynając od rzeczy, a kończąc na... wodzie gorącej. Na każdej stacyi, naprzykład, jest budynek z napisem: „Woda gorąca bezpłatnie“. Bardzo pięknie! Kazałem sobie przynieść tej wody gorącej, ale... na herbatę użyć jej nie mogłem. Powtórzyłem doświadczenie kilka razy i zawsze, zamiast wody, przynoszono mi jakiś buri, cuchnący płyn. Wreszcie postanowiłem sam obejrzeć ową „wodę gorącą — bezpłatną“. W ciemnym, zakopconym, podobnym do starej wiejskiej łaźni budyneczku ujrzałem brudnego posługacza za drewnianą baryerką; stał koło wmurowanego

w piec kotła, nakrytego zbitą z desek pokrywą i rozlewał żądającym porcey „wody gorącej“.

— Co robisz, człowieku? Przecież to błoto! Pewnie nigdy tego kotła nie myjesz?

Posługacz odwrócił się groźnie i pewnieby mi zwymyślał, ale wstrzymało go... moje przyzwoite ubranie.

— Com ja winien?... Ona sama robi się taka od gotowania!

Stałem bezradny wobec takiego fatalizmu i poszedłem kupić wody do bufetu. Za imbryczek wody brano nieraz tyle, co za osłodzoną herbatę, a niekiedy wprost odmawiano.

— Nie jesteście obowiązani! — kłamali w oczy.

Trzeba więc było zwracać się do naczelnika stacyi, gdyż pokazany cennik nie robił żadnego wrażenia.

Na jednej ze stacyi oddałem parę kufrów na bagaż i dostałem pokwitowanie, ale obeznany już z obyczajami kolejowymi, poszedłem po pierwszym dzwonku do wagonu bagażowego sprawdzić, czy moje rzeczy tam się znajdują.

Wszedłem bez ceremonii do wnętrza i przekonałem się, że ich tam nie ma. Bagażowy nic o nich nie wiedział. Biegnę tedy na stację i dowiaduję się, że niema ich kto do pociągu zanieść, gdyż tra-

garzy wezwano do innej roboty. Nająłem natychmiast Chińczyków i w ten tylko sposób uratowałem moje kufry. Zostałyby, jak wiele innych.

W tych warunkach przejazd koleją Syberyjską, zwłaszcza z rodziną i rzeczami, przedstawia przewlekłą katuszę. Droga zwykłym pociągiem z Moskwy do Irkucka trwa najmniej dni 14. Ekspresem przebywa się tę przestrzeń w dni 9, a cała droga do Portu Artura trwa dni 20-cia. Z Warszawy przesiadać się trzeba trzy razy: w Moskwie, w Irkucku, na st. Mandżurya. W tej ostatniej komora celna i rewizja paszportów.

Ale i w ekspresie pomimo wybornych wagonów niema się dotychczas tych wygod i tego bezpieczeństwa, co w pośpiesznych pociągach europejskich. Przedewszystkiem służba jest o wiele gorsza. Lokaje, pozornie układni i ogładzeni, są często bardzo podejrzanymi osobistościami. Skarżyli mi się pasażerowie, że giną drobne, cenne przedmioty: cygarniczki, munsztuki, parasole, laski z wartościowem okuciem, a przeważnie broń. Wszystko to niby zarzucone lub zapomniane, znajduje się niekiedy, jeśli pasażer robi awanturę, ale częściej zostaje w ręku złodzieiów.¹⁾

¹⁾ Doświadczyłem tego i na sobie, gdyż lokaj w irkuckim ekspresie ukradł mi rewolwer, wskutek cze-

Bufet przedstawia nieraz wiele do życzenia, gdyż zarząd nie postarał się jeszcze o dostawców na ważniejszych stacyach, lecz bierze z sobą zapasy na całą drogę. Stąd rozmaite braki i... nie zawsze właściwy zapach potraw.

Najwięcej jednak dokuczają podróżni, którzy obchodzą się czasem po barbarzyńsku i z sąsiadami i z wagonami: rzucają niedopałki papierosów na ziemię, pluja na dywany, niekiedy i na głowy śpiących poniżej towarzyszków, w umywalniach zaprowadzają swoje porządki, w wagonach rozpierają się, zabierając więcej miejsca, niż im się należy, i hałasują na korytarzu wtedy właśnie, kiedy śpią wszyscy.

Naogół biorąc, podróż ekspresem jest bez porównania wygodniejsza i bezpieczniejsza od podróży zwykłym pociągiem, choćby nawet w osobnym przedziale pierwszej klasy; za to jest trzy razy droższa.

Zabajkalska droga dotychczas nieskończona, a linia mandżurska wykończy się pośpiesznie. W wielu jednak miejscach niema jeszcze stacyi; bufety bardzo są rzadkie, tak, że jadąc zwykłym

go byłem w przykrem położeniu: bezbronny w dzikiej i rozhukanej Mandżurii; broni nigdzie tam kupić nie mogłem.

pociągiem, który nie ma wagonu jadalnego, trzeba wziąć z sobą: wędliny, ser, owoce, nie mówiąc już o imbryku, herbacie, cukrze, sucharach, które wszędzie w Syberyi są niezbędne.

Dlatego to w Mandżuryi podróżni wiozą z sobą moc tłomoków i w wagonach jest ciasno.

Do syberyjskich rabusiów i złodziei przybywają osławieni chińscy „chunchuzi“. Siadają oni pono do pociągów jako zwykli podróżni, w drodze rzucają się na towarzyszy podróży, rabują ich, poczem w biegu wyskakują z pociągu¹⁾. Ponieważ zdarzyło się kilka takich wypadków, więc w ostatnim wagonie każdego pociągu jedzie konwój z kilku żołnierzy, uzbrojonych w karabiny. W ekspresie niema straży, on nie lęka się napaści, szybko przelatuje niebezpieczne miejsca (między Charbinem a Mukdenem) i nie wiezie wcale Chińczyków. Chunchuz nie dostanie się do niego pod żadnym pozorem, chyba jako... palacz, gdyż widziałem palaczów Chińczyków, lecz palacz zarabia wcale dobrze i nie potrzebuje być chunchuzem.

¹⁾ Nie jest to ich oryginalny wynalazek: wyprzedzili ich pod tym względem kaukascy Abrecy, być może nawet, że byli ich mistrzami, gdyż w wielu bandach chunchuskich wodzami są rosyjscy zbiegli zbrodniarze oraz Czerkiesi.

Na całej linii, aż do Portu Artura, widziałem straż kolejową, rozstawioną wzdłuż drogi. Niewiele jej co prawda (na 30 wiorst 6 ludzi, co 5 wiorst pikiet), lecz zupełnie dosyć dla utrzymania porządku. Pociągi osobowe chodzą raz na dobę tam i napowrót, wszystkiego więc dwa razy. Mosty i ważniejsze stacje strzeżone są przez większe cokolwiek oddziały. Niedaleko od stacyi stoją zwykle nieduże, często murem otoczone koszary.

Jeden z oficerów tej straży kolejowej (zwanej nie wiem dlaczego pograniczną) skarżył się bardzo na swe położenie, na bezsilność wojska, na brak pancernych pociągów, komunikacyi i t. d. Ale przekonałem się, że wszystkim w Mandżuryi wcale nieźle się dzieje, a pancerne pociągi daremnie by tu rdzewiały. Był jeden, jedyny wypadek wymordowania posterunku, i stało się to głównie dlatego, że oddział nie wystawił pikiet.

Ruch towarowy do tej pory słaby, służy przeważnie potrzebom samej kolei, ale zanosi się na to, że z czasem będzie ogromny. Dotychczas kolej wstrzymuje się z przyjmowaniem prywatnych dostaw. Zupełnie gotową będzie nie wcześniej pewnie, niż w 1905 roku. Tunel chingański przebito właśnie w czasie mego przejazdu.

Twierdzą, że na zbudowanie i obrobienie przy-

czołków kolejowych potrzeba co najmniej półtora roku. Zresztą wjazd i zjazd po stokach Chinganu nie następuje wielkich trudności, nie jest przykry i nie trwa długo; pociąg kilkakrotnie weksłują, w dole pod nasypem widać linię następną, przyczem otwiera się widok śliczny na rojącą się od ludzi, gęsto zabudowaną dolinę. Wszędzie dyszą maszyny, wierzące w głębi górę, ludzie taczkami, wozami, wagonami wożą ziemię, kują skały, budują mosty i szkielety jakichś wielkich, drewnianych rusztowań.

Droga przez Bajkał w zimie na sankach jest przykra, lecz linia Nadbajkalska jest na ukończeniu, i prawdopodobnie w roku bieżącym pójdą po niej bezpośrednio pociągi. Jest to najpiękniejsza część drogi Syberyjskiej, piękniejsza i od Uralu i od Chinganu i nawet od Laoduńskiego półwyspu, gdzie z obu stron linii miga wciąż błękitne morze. Pociąg biegnie z początku samym brzegiem jeziora, i fale jego biją miejscami w nasyp. Bajkał należy do najpiękniejszych mórz jezior na świecie. Znam go dobrze, gdyż mieszkalem nad nim dość długo. Łączy on przestwór morza z lekkością i dzwycznością fali wód słodkich. Ma nieporównane świetlne efekty. To brzegi jego nikną, zamieniając się w cieniuchną, ciemną nitkę, to znów wyrastają niepomierne, jak mgliste obrazy czarnoksiężkiej

latarni. Wody jego mają kolor perłowy, który czasami przechodzi w czarny lub błękitny. Dokoła piętrzą się i często stromo spadają do wody kopcowate, lesiste góry.

Modrzew, sosna, cedr, świerk, olcha, brzezina, topola układają śliczne, pełne najrozmaitszych odieni wzory w szmaragdowym pokrowcu lasów. Lasy te mają bogate podszycia z leszczyny, z dzikich, czarnych porzeczek, z maliny i innych krzewów o liściach najrozmaitszej barwy i kształtu. W lesie nadbajkalskim o wiele weselej, niż w tajdze syberyjskiej. Są tu i dzikie, czarne ostępy, zarosłe ogromnemi drzewami, i śliczne polanki z jaskrawymi kwiatami, i gaje gęstych krzewów liściastych. Widywałem nawet usiane maroszką „jagielowe“ tundry, kiedy obok kwitną róże, białe powój, fioletki, aromatyczny irys syberyjski i „soranka“, pomarańczowy, podarty na strzępy tulipan syberyjski. W zielonej trawie miga jak płomień kwiat, przezywany „gorącym“, istny granat Północy, wcielenie gwałtownej, żywiołowej miłości.

Piękny kwiat, który tryska wprost z łądygi, nie lubi towarzyszków, jakby czując, że samotnie w wilgotnej, soczystej murawie potężniej nęci i czaruje oczy swą nieporównaną barwą, przesiałą słońcem i ogniem.

Wiosną, gdy na stokach nadbajkalskich zakwitnie liliowo różaniec syberyjski i łuna liliowa pada na wody, świeżo oswobodzone od lodów, gdy ze skał toczą się w dół skwapliwie liczne, spienione wodospady, gdy zielona mgła młodego listowia zawisa wśród konarów, a przez nią przegląda wszędzie błękitna toń jeziora, tak tu czarująco, że godzinami siedzieć można w leśnym zaciszu, przyglądając się zabawom dzikich kaczek lub naradom gromadnie żyjących czarnych bakłanów.

Nad brzegami jeziora rojno, niedźwiedzie licznie je odwiedzają, szukając trupów fok zabitych w czasie zimy, a obecnie wyrzucanych przez fale; przychodzi koza i jelen szlachetny; dzik z zamarzłych, jeszcze pokrytych śniegiem górskich ostępów śpieszy na wilgotne wybrzeża, czubate „udody“ gęsto latają wśród drzew, zjawiają się cietrzewie, gluszcze. Polowanie nad Bajkałem poprostu bajeczne!

Ale bądź co bądź, najpiękniejszym jest samo jezioro, szczególnie w te dnie ciche, gdy las w przesianem słońcem ciepłym powietrzu stoi bez ruchu, gdy zamiera na chwilę w rozkosznym omaleniu oczekiwania, a jedynie jezioro sine, śliczne, tknięte daleką burzą, ryczy, pieni się i ciska na nadbrzeżne kamienie. Falując bez wiatru, wydaje

się jakąś żywą, potężną istotą, która czuje i myśli, jak my i jak my, kocha i cierpi.

Podróżnik, jadący koleją, nie dojrzy tych wszystkich piękności Bajkału: lasy wzdłuż linii wyrabane, wypalone, przerzedzone, zwierza i ptactwa niema, widać tylko jezioro w jego wiecznej, niepokalanej piękności. I to wszakże wystarcza, aby otrzymać wrażenia niezwykle, nadprzyrodzone, zwłaszcza gdy z dalekich horyzontów, wywołany szczególną grą światła, wypłynie skalisty Olchon, niby ptak Gandharwu, który skrzydłami sięga wschodu i zachodu. On unosi się nad wodami, oddzielony od nich szlakiem srebrnych mgieł; na wiszarach jego złudnego obrazu, drżącego zlebaka, widać wyraźnie każdą rysę, szczelinę, żyłeczkę, krawędź, nawet drzewa i krzewy, chociaż 100 wiorst wodnej równiny oddziela go od widza...

Lecz oto na słońce napłynęła chmurka, lub lekki powiew wiatru zmałował kryształową zasłonę i wyspa znika, jak widziadło.

Nie mogę się oderwać od tych wspomnień ślicznych!

Dalej kolej wije się brzegiem malowniczej Ingo dy. Za Czytą wybiega na stopy. I tak wciąż zmienia panoramę, jakby nie chcąc ani chwili nudzić podróżnika.

Północno-zachodnie stoki Chinganu są o wiele

brzydsze od południowo-wschodnich. Z przełęczy Chingañskiej otwiera się piękny widok na dolinę Buchaty, gdzie już południowa zaczyna się roślinność: dąb, klon, ilma, buk... Coraz gęściej trafiają się wioski; pola uprawne zlewają się w jednolite łąny. Znikają lasy, i niema ich już nigdzie, aż do samego morza, i podróżnik, jadący południowo-zachodnią odnogą, nie zobaczy ich, aż w Japonii. Na wschodniej odnodze, wiodącej do Władywostoku, przeciwnie: kolej nie opuszcza lasów; ta odnoga jest o wiele dziksza i bardziej malownicza, ale zdaje się, że główny tłum podróżników będzie dążył linią zachodnią.

Rozdwojenie linii następuje w Charbinie, leżącym nad Sungari. Nowo powstałe to miasto będzie w przyszłości ogromnem mieściskiem; roi się od ludzi, rośnie w oczach, buduje, urządza. Ma złą opinię wśród podróżników dla swej drożyzny i rzezimieszków, którzy „swawolą“ niegorzej od chunchuzów.

— Panie, dawniej to był raj dla wszelkiego rodzaju włóczęgów i wyrzutków społeczeństwa; kiedy chciano tu zrobić jaki taki porządek i kazało wyjeżdżać osobistościom, nie posiadającym paszportu i wogóle nie chcącym się wylegitymować, ruszyło się dwie trzecie ludności. Trzeba więc było ich zostawić, gdyż miasto wyludniłoby się zu-

pełnie. Zawsze jest z nich pewien pożytek: nie wciąż kradną i rozbijają i nie wszyscy—mówił mi jeden z dawnych mieszkańców Charbinu.

Takich miast kolejowych, powstających wzdłuż linii, jest dużo. Wszystkie do siebie podobne, jednakowo zabudowane, brudne, brzydkie, koszarowe. Wyjątek stanowią Port-Artur i Dalnij.

Są to miasta-rywale, mające namiętnych stronników i przeciwników wśród sfer wyższych i niższych. Nawet zewnętrznie przedstawiają one zupełnie przeciwieństwo.

Dalnij jest to czyste, dobrze urządzone miasteczko z szerokimi ulicami, ze stylowymi pałacami, umiejętnie rozmieszczonymi, z oświetleniem elektrycznem, telefonami i wszelkimi dogodnościami współczesnej miejscowości. Niema natomiast naturalnego portu, wielka zatoka otwiera się wprost w morze, i dla ochrony statków od fal, sztucznie sypana jest obecnie tama z ogromnych głazów. Za to posiada pyszną przystań, po której pociągi będą dochodziły do samych statków, tak, że przesiadanie się z wagonów do kajut odbywać się będzie z wielką łatwością i wygodą. Ekspres obecnie idzie wprost do Dalnija, a stamtąd ekspresowe parowce odchodzą tego samego dnia do Szanghaju i Nagasaki.

Pomimo jednak tych wszystkich dogodności Dalnij robi wrażenie pustki; w pałacykach nikt nie mieszka, po ulicach mało kto chodzi, sklepów prawie niema, niema ludności. Przeciwnicy zwa go miastem „nietyle Dalekiem, co Zbytecznem“.

„Kosztuje 28 milionów, będzie kosztować jeszcze drugie tyle, a mimo to zwiędnie, nie zakwitłszy, gdyż sztucznie stworzyć miasta nie można!“

Port Artur, przeciwnie, jest miastem brudnem, nieurządzonem, rozrzuconem, ale wre życiem. Tłum wielojęzyczny i różnobarwny przewija się, jak tyśiącgłowy wąż, po ulicach. We wspaniałym, naturalnym porcie stoi moc statków, sklepów pełno, dymią kominy fabryk, tętnią maszyny, grzmiały miny wysadzające skały dla zrobienia miejsca nowym ulicom i placom. Miasto wygląda jak budujące się mrowisko. Ogromnie bogate, zakreślone na wielką skalę. Tu obmyślają się i dojrzewają plany polityczne, tu szybko rosną fortuny, tu napływają awanturnicy i awanturnice całego świata, aby utończyć krwi ze złotego cielca.

Nie zostałem ani Arturzystą, ani Dalnistą, ale nie mogę wstrzymać się od pewnej uwagi: Port Artur gnębi obecnie swem życiem i bogactwem Dalnij, lecz życie to związane jest wyłącznie z armią. Jest to życie wojennego portu, wojskowe i polityczne.

Czy handel europejski, dla którego przecież zbudowano całą kolej Syberyjską, zechce pogodzić się z rządem wojskowym, czy też będzie wolał mniej może dogodny, lecz cywilny i spokojny port Dalnija? Nie wiadomo! A on to, bezwarunkowo on, ten potok europejskiej wiedzy, przyzwyczajęń i pieniędzy, będzie decydował o przyszłości obu miast, i to zakwitnie, do którego on się zwróci. Świat przestał być już obozem, stał się przeważnie warsztatem.

MANDŽURYA.

Mandżurya.

Kraj piękny, obszerny, urozmaicony, na północy i zachodzie słabo sfalowany, stepowy, trawiasty, ku południowi górzysty, na wschodzie lesisty, spiętrzony wysokimi szczytami, pocięty wąwozami i spławnymi rzekami; kraj bogaty, żyzny, w znacznej części gęsto zaludniony i doskonale uprawny; kraj obfitujący w złoto, żelazo, miedź, glinę porcelanową, w węgiel, w drzewo przedniego gatunku, jak: dąb, buk, klon, cedr, modrzew, sosnę, w drzewa owocowe i drzewa morwowe; kraj pełny zwierzyny: kóz, jeleni, danieli, antylop-cerenów, dzikich osłów (kułanów), lisów, wilków, dzików, niedźwiedzi, tygrysów; kraj zdawna ukochany przez ptactwo wodne, ojczyzna bażantów i siwych gołębi, ojczyzna berkutów i sokółów; kraj zamieszkany przez ludność potulną, wielokrotnie zawojowywaną i przyzwyczajoną do

zaborów—Mandżurya przedstawia bardzo ponętny kąsek dla zdobywcy.

Dwa razy zawojowały ją Chiny; był czas, że znaczna część jej należała do Korei; w XIII wieku panowali w niej Mongołowie; wreszcie w XVII stuleciu utworzyło się z plemion mandżurskich rdzenne, tubylcze państwo, które z kolei zawojowało Chiny i dało początek obecnie panującej dynastyi mandżurskiej.

Nurchaci, książę plemienia Niuczej, był pierwszym z tej dynastyi władcą. Północną stolicę miał w Hirynie, a południową w Mukdenie, gdzie w skarbcu cesarskim dotychczas zachowują jako relikwie jego odzież, pieczęć, i gdzie stoi jego złoty tron.

Byłem może ostatnim Europejczykiem, który te rzeczy widział. Małoletni syn Nurchaciego został po jego śmierci ogłoszony przez wuja zdobywcę za „Szu-an-di“, t. j. chińskiego bogdochana. Oto początek dynastyi mandżurskiej.

Ale wszystko to są jedynie zmieniające się nazwy i tytuły. Mandżurya zawsze była i jest kolonią chińską, zamieszkaną gdzieś tam przez nie-liczne i rozsypane plemiona koczownicze, paster-skie, rybołówcze i myśliwskie. Chińczycy pochłonęli je, przerobili, na wszystkim wycisnęli swe twórcze piętno. Chińskie ręce uprawiały ziemię,

chińscy pionierowie wytknęli drogi, chińscy budowniczo- wie pobudowali miasta i fortece; nawet Hiryn i Mukden istniały na wiele wieków wcześniej, niż Mandżurowie namyślili się utworzyć samodzielne państwo, nauczyli się rządzić i panować od Chińczyków; i ów przepiękny tron i odzież Nurchaciego są doskonałymi wzorami sztuki staro- chińskiej, pałac mukdeński chińskiej jest archi- tektury, biblioteka pełna chińskiej mądrości, prze- tłómaczonej jedynie na język mandżurski. Obec- nie i język ten znika i Mandżurów nie zostanie ani śladu. Lud chiński, największy ze zdobywców świata, lejąc wyłącznie własną krew, uczynił to, czego nie mógł uczynić ani Aleksander Macedoń- ski, ani Atylli i Tamerlana pułki. Mandżurów nie- ma i innych ludów, zdobytych przez Chiny drogą pokojowego zaboru, też już niema.

Ta trocha Mandżurów, która nie zlała się z ni- mi, zachowała koczownicze obyczaje, nie różni się prawie od sąsiadów Mongołów; ci zaś, którzy mieszkają we wsiach i miastach, trudnią się han- dlem, rolnictwem, służą w wojsku czy administra- cyi, przejęli obyczaje i odzież od Chińczyków. Wprawne jeno oko dostrzeże różnicę w typie, w postawie i w twarzy. Mandżurowie mają zwię- złą, smuklejszą figurę, suche, garbate nosy, dra- pieżne, zawiędłe twarze, oczy mają węższe, ukośne.

Chińczycy są mięsistsi od nich, często roślejsi, lecz mniej zgrabni, twarze mają owalne, oczy dość duże i wcale nie skośne, o łagodnem, smutnem spojrzeniu.

Mandżurowie koczownicy zamieszkują przeważnie północno-zachodnią, przyległą Mongolii część Mandżuryi. Są to Daurowie, Soloni, Mene-grzy i Oroczoni. Koczują oni zmieszani z Mongołami i Buryatami. Jedynie Oroczoni, górale, słynni z odwagi i obyczajów zbójceckich, trzymają się na uboczu w swych jarach.

Miasteczko Chajlar jest ogniskiem handlowem i administracyjnem mandżurskich koczowników. Tu mieszka „ambań“ (gubernator), tu były dawniej świątynie, ściągające pobożnych, i tu odbywały się kilka razy w roku wielkie jarmarki z igrzyskami i gonitwami. Otoczony glinianą ścianą kwadrat chińskiego miasteczka i rezydencya gubernatora okrażone były naówczas wiankiem jurt wołokowych, których zbierało się pono do 10,000 i z których znaczna część pozostawała tu rok cały. Nie zastałem już jurt, odpędzono koczowników; obie świątynie, które były za miastem, u wrót północnych i południowych, obdarto i zburzono w czasie wojny; nawet piękne i ciekawe freski na ścianach zniszczono; bożków metalowych i drewnianych zabrano, a glinianych potłuczono;

pozłota, barwna laka, rzeźba i majolika potłukiwana wszędzie, gdzie tylko mogły dosięgnąć ręce ludzkie. Wojna!

Burzliwe jej dźwięki brzmiały jeszcze w powietrzu, gdym tu zawitał. Wypędzony z miasta ambań chajlarski mieszkał w pobliskiej wsi daurskiej. Wogóle stosunki były przykre, naprężone. Po kilku dniach pobytu spostrzegłem z łatwością, że ta mała, nawpół zburzona miescina była węzłem politycznych, daleko sięgających intryg. Chińczycy podejrzliwie śledzili Rosyan i Mongołów, Mongołowie donosili na Chińczyków, Daurowie przyglądali się wszystkiemu z pozornym spokojem, nie okazując, na którą przechylają się stronę.

Ni stąd, ni zowąd zjawiały się zatrważające wieści; to mówiono, że ambaniowi z Pekinu przysłano chorągiew wojenną, to znowu, że Tuan z 80000 żołnierzy ruszy z wiosną z południa ku Amurowi, aby odciąć odwrót armii rosyjskiej. Pokazywano mi nawet obozowisko Daurów i Solonów, składające się wyłącznie z kobiet i dzieci, które pono uciekły z przypuszczalnej drogi Tuana, aż do Dalaj-Noru.

Gdzie się podzieli ich mężowie i bracia, nikt nie wiedział, i one same jakoby opowiedzieć nie umiały. W pewnych odstępach czasu zjawiały się dziwne karawany z odległych krańców Mongolii,

gościły kilka dni lub kilka tygodni i znikwały bez śladu. Podczas jednej z wycieczek w stepy, trafiliśmy na kilku przyjezdnych Czipeci-bargutów, przybyłych aż od granic Tybetu, a przed samym moim wyjazdem włóczyła się po ulicach Chajlaru, prowadząc za sobą kosmate wielbłądy, banda Chałchasców, jednego z najpotężniejszych plemion mongolskich. Mówili, że przybyli mąkę kupować, ale oficer, który tę wiadomość powtórzył, uśmiechał się ironicznie.

Rzecz wiadoma, że Mongołowie nienawidzą Chińczyków i oddawna marzą o utworzeniu samodzielnego państwa, pod protektoratem Rosyi. Duchowieństwo (lamowie), ciesząc się wielkim wśród tego ludu wpływem, podtrzymuje te dążenia w nadziei, że im się uda stworzyć rząd teokratyczny, coś w rodzaju drugiego Tybetu z Urgińskim Chutuchtą na czele. Ostatnia wojna wznowiła te dążenia. Waleczna konnica mongolska opuściła pułki chińskie w chwili decydującej; część ich uciekła podobno w pierwszej bitwie, reszta wróciła do domów z gór Chingañskich, tłómacząc odstępstwo obowiązkiem służenia bogdochanowi wyłącznie w granicach swej ojczyzny.

Raz po raz przez stepy z namiotu do namiotu przepływają jakieś prądy, jeźdźcy na ręcznych koniach rozwożą jakieś wieści, w ułusach odbywa-

ją się tajemnicze narady. Chińczycy nie śmieją im obecnie przeszkadzać otwarcie, śledzą więc tylko pilnie, a następnie... zjawiają się ni stąd, ni zowąd w okolicy chunchuzi, i kilku Mongołów traci życie!

Okolice Chajlaru uchodzą za niebezpieczne; w wycieczkach w stepy towarzyszył mi zawsze liczny konwój, ale wydały mi się te obawy trochę przesadzonemi i jakby umyślnie robionemi dla przybyłego z Europy podróżnika. Widziałem jadących bezpiecznie w stepie kozaków Zabajkałskich, którzy przybyli aż z Curuchtaju; widziałem tabory z towarami bez straży, idące nocą przez pustynię pod opieką kilku ledwie furmanów. Spotkałem nareszcie w chacie Daura jakiegoś Osetynca, który sam na sam z Chińczykiem wybierał się na długo w stepy, zdaje się... kopać złoto.

Wogóle w Mandżuryi zbyt lubią straszyć i siebie i innych.

Głowy tu wciąż lecą, lecą codzień nieledwie, lecz dla ścinania ich używani są obecnie już chińscy oprawcy. Sądy chińskie nie żartują i nikomu nie uchodzi płazem oglądanie oblicza sędziego.

Dziwna rzecz: gdy zamykam oczy i pragnę w jednym obrazie uogólnić wrażenia mandżurskie, nikną stepy chajlarskie i ciche, srebrne, mie-

sięczne w nich noce, nikną lesiste, posepne, lecz wspaniałe zbocza Chinganu; nikną fioletowe góry Bochaty, skąpane w gorącej, słonecznej mgle, nikną wioski, drzemiące wśród ślicznie zoranych pól, w cieniu gajów ilmowych; nikną miasta gwarne, rojne, bogate z rogatemi basztami, ze świątyniami pełnemi strasznych bóstw, z błękitnym, pracowitym na ulicach tłumem, z koroną barwnych, złożonych sztyldów... wszystko niknie, a widzę natomiast rozkrzyżowanego, klęczącego człowieka na łańcuchu, a potem wśród piaszczystych wydm za miastem, w kłębach kurzawy, widzę mały plac z kałużą krwi, widzę kata odchodzącego z pacholkami, a na uboczu małą, podłużną kupkę świeżo poruszonej ziemi.

Okrąg Chajlarski i geograficznie, i klimatycznie, i etnograficznie należy całkowicie do Mongolii. Przedstawia płaskowyżynę, wzniesioną przeszło 1010 stóp nad poziom morza; klimat wskutek tego, pomimo nieco południowego położenia, ma surowy. Mrozy w zimie dochodzą do -30° R., a przejmujące wiatry powiększają ich działanie. Dnia 18 marca widziałem tam nietkniętą jeszcze opońę śniegu; jeziora i rzeczki przebywaliśmy po mocnym, twardym lodzie. Ale w końcu marca za-

czyną się wiosna i przebiega w szalonym syberyjskim tempie: w kwietniu już sięją, w końcu maja panują upały, w czerwcu termometr wskazuje $+26'$ do $+28^{\circ}$ R. w cieniu, a na słońcu sięga $+36^{\circ}$ R.

— Wszystko zrzuciłbyś z siebie, a nie można, gdyż jedynie dobra, barania bermyca chroni od słonecznego porażenia — opowiadał mi jeden z dawniejszych chajlarskich gości.

Do najgorętszych miesięcy należy lipiec. Termometr rzadko wtedy spada poniżej $+16^{\circ}$ R. w cieniu, a między godziną 11-tą a 3-cią po południu Europejczyk powinien strzedz się słońca, jak wroga. Mongołowie jednak chodzą, nieraz nawet i śpią na spiekocie z gołą głową. Widziałem ich również, jak z gołą głową chodzili i stali na mrozie i wietrze. W połowie lipca gorąco się zmniejsza. Jesień zaczyna się wcześnie. We wrześniu już liście więdną i opadają, trawy żółkną. W południe bywa do $+30^{\circ}$ R. na słońcu, ale w nocy zdarzają się przymrozki. Wszyscy zgodnie twierdzą, że jest to najpiękniejsza pora nie tylko w okręgu Chajlarskim, ale i w całej Mandżuryi.

Płaskie, trawiaste doliny chajlarskie, po żółtkłe w czasie skwarów letnich, po kilku deszczach ulownych znowu zaczynają zielenieć; wszędzie tryska moc kwiatów, kamieniste koryta wązkich rzecz-

łek napęłniają się szumiącymi potokami wody. Ptactwo i zwierzyzna wychodzą z ukrycia, w wysokich trawach wędrują bażanty, kuropatwy, skaczą zające; w błotnych szuwarach gospodarzą kaczki i gęsi. Gdy mi o tem opowiadano, z łatwością wyobrażałem sobie przebieg tutejszych pór roku i życia, gdyż widziałem to wielokrotnie w stepach syberyjskich i zabajkalskich. Kraje te są bliźniaczo do siebie podobne. Jedynie ku zachodowi, ku jezioru Dalaj-Nor, pustynia przybiera odmienny charakter, zjawiają się obszary jałowych, słonych sapowisk, smugi piachów bezwodnych i nagich szczyrków. Jest to przedsionek Gobi.

Ludność gnieździ się przeważnie na brzegach słodkich jezior, oraz niewysychających rzek i rzeczulek. Zwykle niedaleko od gaju czerwonej wilkiny lub szuwarów wysokich trzciny, służących również na opał, czernieje kilka kopulastych, wołokowych namiotów, przed nimi stoją „arby“ na dwóch wysokich kołach, z podniesionemi do góry hołoblami, zawsze ogarnięte, podwiązane, gotowe do drogi, gdyż lada chwila Bóg wie co może stać się w stepie, a człowiek przezorny wciąż powinien być gotów do dalekiej i bezpowrotnej podróży...

Opodal włóczą się samopas tabuny koni, rogate bydło dąży za nimi, wreszcie w pobliżu pasą się stada nieprzeliczone czarnych owiec z białemi

głowami. Strzegą ich konni jeźdźcy z długimi batami i wielkie, szare psy, złe i kudłate jak wilki.

W lecie wszystkim się dzieje niezgorzej. Paszy i wody w bród, mleka dużo; nietylko jest co jeść, ale można wypędzić cokolwiek „araki“ dla rozproszenia dukucznego smutku. Choć Mongoł sam nigdy nie zabija sztuki większego bydła i zadawała się co najwyżej co czas jakiś baranem, ale Bóg, troskliwy o swe dzieci, raz w raz zsyła jakiś wypadek na krowę lub konia, że trzeba go dorznać i zjeść. Opowiadali mi kolejarze, że Mongołowie formalny bunt podnieśli, gdy przejechał przez pociąg krowy chciano zakopać w ziemi...

— To nasze szczęście!... Bóg chciał, żebyśmy to zjedli, a wy chcecie, żeby zgniło — dowodzili z przekonaniem.

Lamaistom religia zabrania przelewu krwi; są okresy, w których nawet w obronie własnego życia nie wolno im przekroczyć tego zakazu.

— Można go wtedy obrać ze wszystkiego, a on palcem nie ruszy!...—dowodził mi konduktor.

Szamanistów zakaz taki nie obowiązuje, ale mimo to przestrzegają go; wyjątek stanowią jedynie owce i barany, które i lamaiści i szamaniści rzną i jedzą przy lada okazji; dość przybycia bardziej poważnego gościa do ułusu, aby nóż był

w robocie. Podziwiałem zręczność rzeźniczą koczowników: kropla krwi z owcy nie przepadnie, włoszek jeden...

W mgnieniu oka nieledwie zwierzę jest odarte ze skóry, pocięte na ćwierci i już gotuje się w kotle, powieszonym na drążkach lub postawionym na wielkim, żelaznym trójnogu. Ten sam kocioł służy do gotowania herbaty, budy (proso), mleka i, zdaje się, że nigdy nie bywa płókany. Brud Jakutów jest wysokim stopniem czystości w porównaniu z brudem mongolskich koczowników. Przyzwyczajeni do oszczędzania wody, nie myją się i nie kąpią nigdy, nawet na brzegach rzek. Brud łuszczy się nieraz i opada kawałami z twarzy i szyi; wtedy przez te okienka widać śniadą, zdrową, rumianą pleć kobiet mongolskich, wcale nie brzydkich, lecz zwykle szczęśliwie umalowanych przez czas na kolor starego sagana.

Wogóle koczownicy tutejsi, czy to Mongołowie, Daurzy, Soloni lub Buryaci, wyglądają najlepiej na koniu i... zdaleka. Jeżdżą wybornie: pochyleni naprzód, siedząc na samych prawie łopatkach, zdają się wyprzedzać swych rączych wierzchowców, unosić ich i podniecać. Rozwiewająca się długopola odzież, a u kobiet wstęgi barwne przy czapkach, zwiększają ich podobieństwo do latających ptaków lub stada centaurów, gdyż gło-

wa konia znika gdzieś w ogólnym zarysie odległego jeźdźcy. Jeżdżą zwykle klusa, i konie ich, nawet po bezdrożu, w zimie po śniegu, mogą przebyć bez wytechnienia wiorst trzydzieści i więcej.

Mongołowie i koczownicy mandżursey sympatyczne sprawiają wrażenie: śmiali, prości, weseli, usłużni bez lokajstwa, szczerzy bez przesady, mogą się w obcowaniu podobać mimo brudu i niskiego poziomu potrzeb. Kobiety ich nie robią wrażenia niewolnic, nie pierzchają przed przyjezdnym mężczyzną, nie kryją się, zasiadają w namiotach w kole mężczyzn i śmiało biorą udział w rozmowie. Pyszne są dzieci, puciołowate, tłuste okazy rodzicielskiej miłości, rezolutnie mieszające się do wszelkich spraw domowych i publicznych i zawczasu gromadzące skarby swej oddzielnej własności. Mają one, nie odrósłszy jeszcze od ziemi, krowy, konie i owce, które rodzice uważają za ich własność, co zresztą nie przeszkadza głowie rodziny sprzedać lub zarznąć bydłęcia w razie potrzeby.

Jeden z takich małych posiadaczów z dumą pokazywał mi swój worek; były tam lalki, kostki, kamyki, kawałki szkła, elementarz mandżurski i kilka błyszczących drobnostek. Prosiłem go, aby mi ustąpił kilka laleczek i dawałem w zamian kilka drobiazgów, ale nie zgodził się, pomimo na-

kazu rodziców; zresztą moje podarunki zabrał i ogromnie posmutniał, kiedy kazano je zwrócić. Wogóle koczownicy nie mi sprzedać nie chcieli.

— Oni uważają cię za czarownika, za „kułaka“ (boksera-sekciarza), który jak weźmie co od człowieka, to razem zabiera i duszę, który z konia papierowego może zrobić żywego, a z żywego może zrobić umarłego. Oni są dziecy! — tłómaczył mi kupiec Chińczyk z Chajlaru.

Zresztą i u podmiejskich, osiadłych Daurów też nie kupić nie mogłem, ale tu działały prawdopodobnie inne przyczyny. Skoro tylko przyjeżdżałem do wioski, zjawiał się niezwłocznie sołtys miejscowy, wypytywał mię po co przybyłem i już więcej nie opuszczał.

W obejściu jego ze mną, grzecznem, uprzedzającym, przebijała ukryta trwoga i niepokój. Doskonale je zrozumiałem, gdy jadąc dalej przez step, widziałem przy drodze sterczące kominy czarnych, zburzonych, opalonych fanz.

Daurzy, zamieszkali w pobliżu miast i stanowiący nawpół osiadłą ludność, trudnią się rolnictwem, hodowlą koni i handlem. Do namiotów przenoszą się tylko na lato. Zimą spędzają na folwarkach, w tak zwanych „fanzach“. Fanza stoi zawsze w głębi dziedzińca, po którego bokach mieszczą się szopy, składy, chlewy i śpichlerze. Fron-

tem jest zwrócona do wrót i przedstawia zwykły czworokątny, podłużny dom murowany lub obmazany gliną, nakryty daurskim dachem płaskim, lub chińskim rogatym z rurowatej ciemnej dachówki. Po obu rogach domu wznoszą się stożkowate kominy dymników, odprowadzające dym z pieców, płonących wewnątrz domów. Kominy stoją zupełnie osobno i są połączone z domem jedynie kanałami, rzecz wielce praktyczna, gdyż zmniejsza niebezpieczeństwo pożarów, oraz czyni wysokość komina niezależną od wysokości domu. Z podwórza wchodzi się przez niewielkie drzwi do dużej, ciemnej sieni. Tuż u wejścia mieszczą się po obu stronach ogniska, na których gotują strawę i grzeją wodę. Kanał ogniowy idzie dołem od jednego ogniska do męskiej połowy domu pod prycę, zwaną kanem, na której zwykle śdzą goście i pan domu; kanał ogniowy drugiego ogniska (na lewo od wejścia, jeśli się zwrócić twarzą do drzwi) przechodzi do żeńskiej połowy domu, gdzie ogrzewa taką samą prycę — kan. W sionce stoją naczynia, sprzęty mniej kosztowne, w dalszych jej kątach są małe śpiżarki i schówki na bydłęta, dobytek, oraz komora dla służby.

Drabina prowadzi na strych, gdzie leżą konopie, pęki traw, maty oraz inne przedmioty i zapasy większej objętości. W sionce stoją olbrzymie

kadzie gliniane na wodę, na olej, wiszą na kołkach siodła, uprząż, łuki i strzały.

Domy zamożniejszych Daurów różnią się jedynie rozmiarami; rozkład zostaje ten sam. Ale widziałem fanzy, składające się z jednej izby, które nie miały żeńskiej połowy. Żona, córki i dzieci zajmowały jedynie na lewo od wejścia osobny kan, nawet nie zakryty zasłoną i oddzielony od męskiego kanu tylko niewielką drewnianą przegrodą.

Pośrodku izby stoi zawsze fajerka, u ubogich gliniana, u bogatych bronzowa i pięknie rzeźbiona. Za naszym przybyciem napełniono ją przede wszystkim nowym żarem z cieniuchnych gałązek ilmowych lub wierzbowych, płonących jak słoma bez śwedu i dymu, lecz mało dających ciepła. Duże okna, zaklejone papierem, nie przysparzały ciepła. W mrozy, w fanzach daurskich panuje przykre zimno. Co do czystości, przyznać muszę, że nie jest czysto, ale przytoczę słowa rosyjskiego włościanina, który był w Chinach i Mandżurii:

„Znacznie czyściej, niż u nas. W chacie Daurzy i Chińczycy nigdy nie trzymają bydła; nie palą, więc niema dymu; nie plują na podłogę, zamiatają ją codziennie przynajmniej raz, a często i więcej razy, i codziennie wietrzą. Pościel zrana wynoszą na

dwór. Mają więc skutek tego w chatach o wiele czystsze i lepsze powietrze, niż nasz chłop... Zapach tylko inny, gdyż inną jedzą strawę: oni ubóstwiają czosnek i różne zioła. Stąd inny zapach...”

W domu naczynia, meble, obrazy, ozdoby, wszystko chińskie. I ubiór mieszkańcy miasta i podmiejsy noszą chiński... lecz mają Daurzy inną kołyskę, i kobiety daurskie nie kaleczą swych nóg. Ulubioną barwą daurską jest dla mężczyzn barwa szara, a dla kobiet fioletowa lub niebieska w czerwone, różowe, żółte i białe wzory; lubią oni, jak i Chińczycy, haft gładki na brzegu odzieży, ale nie mają własnych, oryginalnych już wzorów. Zatracili je dawno.

Gdyśmy wchodzili do fanzy, podawano nam niezwłocznie filiżanki świeżo zaparzonej herbaty, przykryte spodkami. Pić ją należy przez szparkę między obu naczyniami, dla uniknięcia pływających w niej listków. Podawano nam również słodycze i cukier, chiński cukier trzcinowy, brudny i niesłodki.

W jednym domu trafiłem na śniadanie i spróbowałem budy (prosa): obrzydliwa, gorzka kasza, którą jedzą bez soli i żadnej okraszy. Jest to główny pokarm ubogich tubylców, zwłaszcza w północnej części Mandżurii.

Okrąg Chajlarski wraz z całą Mongolią służy obecnie za główny magazyn zapasowy bydła, koni i owiec, nie tylko dla południowej Mandżurii i Chin, lecz i dla przyległych części Syberii. Tutaj to zakupują Chińczycy hurty opasowych wołów, które utuczone następnie na Południu, przy gorzelniach, odpadkami i sieczką, są z wielkim zyskiem sprzedawane w miastach chińskich i rosyjskich.

— Wszystkich nas utrzymuje przy życiu mąka, mięso i włoszczyzna chińska! — mówił mi kupiec z Chabarowska. — Gdy w czasie wojny tego zbrakło, cierpieliśmy głód. Nawet za duże pieniądze nic nie można było dostać. Dla wojska też z Chin bierzemy.

Jest to jeden z powodów, przytaczanych przez stronników zupełnej aneksji Mandżurii.

— Zdaleka, w Rosyi będąc, również sądziłem, że zabór ten nie jest potrzebny, że nie tylko południową Mandżurję, ale i prowincję Che-lu-niańską (Cycykarską) powinniśmy niezwłocznie zwrócić Chinom. Ale na miejscu przekonałem się, że wcale to nie jest rzeczą ani prostą, ani łatwą. Nad Amurem niema po naszej stronie ani łąk, ani pól zdalnych do uprawy, jedynie las i skały. Uprawne grunta znajdują się wyłącznie na chińskim brzegu (prawym), i dotychczas kozacy i ludność

nadrzeczna korzystała za zgodą Chińczyków z ich gruntów, po części darmo, po części za małe wynagrodzenie. Powstały nawet wioski rosyjsko-chińskie w granicach Chin. Stada, bydło, konie kozackie pasły się u Chińczyków. Trwało to do wojny ku zobopólnej wygodzie. Lecz obecnie zmieniło się położenie. Rząd chiński zabronił dzierżawić grunta, nałożył cło na bydło i natychmiast ceny mięsa w Błagowieszczeńsku podskoczyły do 25 kop. za funt. Chińczycy śpieszą się z kolonizowaniem pobrzeża Amuru. Obecnie my się temu opieramy, zmusiliśmy ich znieść cło od bydła i zboża, lecz z wycofaniem wojsk tłumy Chińczyków zalegają pogranicze. Wystarcza, aby Chiny zamknęły pogranicze, a ludność nasza i nasze wojska znajdują się w ciężkim położeniu. Tymczasem dolina Amuru pochłoneła dużo naszych sił i kapitałów. Jest tam znaczny procent ludności rosyjskiej, są bogate kopalnie złota, są miasta, fabryki, parowce... wreszcie przyzwyczailiśmy się uważać tę ziemię za naszą... Nielatwo rozwiązać tę kwestję, gdyż każda rzecz ma swoją konsekwencję. Ma ją również i zabór... ten pierwszy, początkowy zabór... Obecnie nie mamy wyboru. Albo musimy wyrzec się kolei, portów i straconych na nie pieniędzy, ustąpić z nad Amuru, z kraju Usuryjskiego, zerwać

z polityką kolonizacyjną, albo zatrzymać Mandżurę... Cała rzecz w tem: jak tu zrobić?

Powyżej przytoczone zdanie jednego z wyższych urzędników rosyjskich jest zdaniem większości. Różnica istnieje tylko co do... sposobów. W Mandżurii, ile mogłem zauważyć, ścierają się dwa wrogie sobie prądy: cywilny i wojskowy.

Wojskowi chcą zupełnego i formalnego wcielenia Mandżurii w granice państwa.

— Zbyt wiele nas ona kosztowała krwi i trudów! — powiadają.

Cywilni pragną jedynie zachować ją w sferze wpływów.

— To przedewszystkiem taniej kosztuje. W kraju tak obszernym i ludnym, jak Mandżurya, trudno bardzo zorganizować własną policję i administrację i utrzymać porządek. Zresztą co nam po tem? Znacznie dogodniej, gdy to robią sami Chińczycy. Przedewszystkiem powinniśmy się starać rozwinąć tu nasz przemysł i handel... Mamy już kolej, mamy własne miasta, w nich należy utrzymać garnizony, zaprowadzić wzorowe urządzenia, wzorową policję. Gdy życie tam będzie płynęło spokojnie i dobrze, Chińczycy będą się garnęli do nas, wpływ nasz wzrośnie, i nastąpi zabór trwały, naturalny, duchowy... Wojska trzeba wyprowa-

dzić, aby życie mogło wrócić do zwykłego ko-ryta...

Zdaje się, że ta partya miała przewagę; zgodnie z traktatem, wojska (w czasie mego przyjazdu) opuszczały południową Mandżurę. Na jednej ze stacyi spotkałem 10-ty pułk, który wyszedł z miasta Kao-jań, gdzie stał 3 lata.

W stepach Chajlarskich i na Chinganie pano-wała jeszcze zima, mróz dokuczał, i zdarzały się nawet zawieje, lecz skoro tylko pociąg nasz zbiegł zygzakami w dolinę Buchaty, wionęło na nas wiosną. Im dalej uciekaliśmy od kopcowatych, półko-lem na północy spiętrzonych gór, tem robiło się cieplej. Płatki śniegu białeły ledwie gdzieniegdzie na uboczach; środkiem doliny wartko płynęła rzeczulka; krzewy przydrożne świeciły nabrzmiałymi pączkami; wesołe twarze robotników chińskich zdawały się wciąż mówić sobie i innym, że zimy już niema, że ubyla jedna troska i bieda.

Skały, miejscami bardzo malownicze, w ukośnych promieniach poranku rozchodziły się coraz szerzej, łagodniały, błękitniały, dolina rozszerzała się, zjawiały się na niej zarośla i gaje szarej jak srebro ilmy, czarnych dębów i czerwonej jak złoto olszyny. Na górach tu i owdzie zieleniały sosny, a na mokradłach strzelały wysoko z dymku bezlist-

nej jeszcze gęstwiny ciemne wieżyce kosmatych świerków. Dołem przelewała się woda, błyskając na słońcu; kaczki kąpały się w bajorach czarno-srebrnych, niby starodawna laka, i obrzeżonych kędziorami brunatnych, przeszlorocznych traw, żywcem wziętych z chińskiego obrazka. Już zdarzało się i pole uprawne, i wioska szara, płaska, zbudowana z kamieni, a wśród niej zawsze prawie jeden, dwa lub cały szereg osmolonych rumowisk, czarnych szkieletów pogorzeli, wstrętnych jak wyrzut sumienia.

Ale ludzie zapomnieli o cierpieniach. Dzieci bawiły się na zwaliskach, kobiety prały bieliznę w potokach wiosennej wody, unosząc jenona chwilę oczy od pracy, aby spojrzeć na przebiegający pociąg. W błękitnych dalach pól widać było błękitnych chińskich oraczów. Chłodna, sinawa barwa dalekich gór zwolna stawała się gorącą, liliwo-różową, fioletową. Słońce piekło. Tłum na stacyach i w pociągu nagle się zmienił. Europejczycy gdzieś znikli; z okien zwłaszcza trzeciej klasy wyglądały wyłącznie żółte twarze Chińczyków w czarnych, okrągłych czapkach z kolorowemi gałkami. Chińscy przekupnie roznosili owoce, gotowane jaja, smażoną rybę, pieczony drób, jakieś słodczyce, ciastka i pierożki, których dziwaczną nazwę dźwięcznym wykrzykiwali głosem.

— O, to jeszcze nie Chiny. Zobaczy pan dalej. Tu pusto! — rzekł mi jeden z tamtejszych bywalców, widząc, że raz w raz wychylam się z wagonu z aparatem w rękę.

Istotnie, wiosek i pól czarnych było niewiele. Przeważały obszerne, stepowe łąki, porośnięte wysoką i grubą trawą, którą właśnie palono.

— Gdyby jej nie spalić, nie pozwoliłaby się nowej trawie przebić, step pozostałby czarnym — objaśniał mi ten sam towarzysz podróży.

Czerwony wąż ognia biegł z hukiem i trzaskiem często tuż obok kolejowego nasypu i, trafiwszy na bujniejszą kupę paliwa, na zarośla lub szuwary, buchał nagle wysoko skłębionym płomiennym wytryskiem, uwieńczonym smolną grzywą dymu.

Chwilami zdawało się, że zjadliwe jego języki dosięgną pociągu i wpiją się weń, lecz on biegł szybciej od ognia, mijał go, przecinał, wpadał w nowe pierścienie i biegł spokojnie po rozległych, opalonych i dymiących jeszcze obszarach.

Pożary te są tu rzeczą zwykłą. nikt się ich nie lęka, a zaskoczony przez nie w drodze podróżnik wypala poprostu dokoła siebie pewną przestrzeń, zapala przed sobą trawę i czeka, aż lawiny płomieni wpadną na się i zduszą się wzajem.

Pociąg nasz opóźniał się, i dopiero wieczorem zatrzymałem się na stacyi Cocykar, aby stamtąd ruszyć dalej do miasta Cocykaru, odległego o 20 wiorst.

Odradzano mi stanowczo podróżować po Mandżuryi w nocy, zresztą nie znalazłem na stacyi nic, coby mi taką podróż umożliwiało: ani wozu, ani konia, ani nawet tragarzy. Musiałem nocować, lecz i nocować nie było gdzie. Stację Cocykar, jak większość stacyi kolei Mandżurskiej, dopiero budowano. Nie miała dworca, nie miała pokoju dla podróżnych; kancelarya naczelnika i telegraf mieściły się w jakiejś brudnej dziurze, bufet w ciemnej, nędznej lepiance. Krążyły wprawdzie pogłoski, że istnieje gdzieś jakiś zajazd, ale bardzo sprzecznie mówiono o tem, a nikt nie umiał go wskazać. Byłem więc zmuszony udać się do komendanta stacyi. Ludzie mrukliwi, gburowaci, jak większość przyjezdnych w Mandżuryi, niechętnie, półgębkiem dawali mi objaśnienia. Pobrałem więc na chybił trafił, w rozpaczliwie ciemną noc, ku rozrzuconym i słabo migającym w oddali światłom. Wpadłem do jakiegoś dołu, następnie psy mię opadły, aż wreszcie trafiłem na dwie rosłe figury, śpiewające pijanym głosem hulaszczą piosenkę.

— Gdzie tu mieszka komendant?

— He?! a co?

— Gdzie mieszka, pytam?

— A ktoś ty taki?

— A co ci do tego? Wiesz, czy nie wiesz, gdzie mieszka komendant?

Figura zbliża się i tuż przy mojej twarzy zaciąga papierosem; słaby blask oświetla mię na chwilę. Widocznie lustracya wypadła na moją korzyść, gdyż figura mówi już łagodniejszym tonem:

— Gdzie ma mieszkać? Tu mieszka! — pokazuje budynek, czerniejący niedaleko na wzgórku.

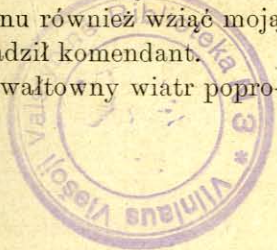
Za chwilę znalazłem się w jasno oświetlonym, schludnym pokoiku, za stołem zastawionym przyborami herbacianymi, z szumiącym samowarem na boku.

Przegawędziliśmy wesoło cały wieczór; gadaliśmy nawet o Warszawie.

Przenocowałem w etapie wojskowym, wraz z przejezdnym kozackim oficerem, a nazajutrz komendant dał mi wierzchowca i dwóch przewodników kozaków.

— Niech pan nie żartuje! Gdyby pan sam pojechał, mogłoby się z panem co zdarzyć. Zresztą nie trafiłby pan. Radzę panu również wziąć moją burkę, bo będzie zimno — radził komendant.

Istotnie przejmujący, gwałtowny wiatr poprostu z konia spychał.



— A to myśmy wczoraj pana spotkali!— rzekł jeden z moich towarzyszków, poprawiając mi strzemień.

— Głos wydał mi się znany, a obrzękła twarz i duży, czerwony nos, przekonały mnie ostatecznie.

— Wesołoscie się wczoraj bawili?!

Kozak uśmiechnął się pod wąsem.

— Nudno! Na śmierć nudno. Sam piach. Nawet upić się trudno. A jak się upijesz, to nie ma do roboty, jeno spać... Wertep!

Choć wiatr dał nam w twarz i wzdymał moją burkę kaukaską, jak olbrzymi żagiel, ręce konie rwały się naprzód, i całą drogę lecieliśmy klusem, a miejscami nawet galopem. Okolica była pępna, piaszczysta, naga. Zaledwie tu i owdzie czerniały na widnokręgu kępy drzew, koło szarych, płaskich wiosek. W połowie drogi przecięliśmy taką wioskę. Były to znane mi już fanzy, otoczone murami zbitej gliny. Na podwórzach i ulicach pracowali wieśniacy, wożąc i przerzucając z kupy na kupę komposty. Komposty, przygotowane widocznie w czasie zimy, były porządnie złożone w wielkie pryzmatyczne wały. Wogóle na ulicy i na podwórkach było o wiele porządniej, niż w zagrodach naszych chłopów, i słynne chińskie nie-

chlujstwo zmalało trochę w moich oczach. Nie pachną oni, to prawda, bo bieda wogóle nie pachnie, ale... do wszystkiego można się przyzwyczaić.

W tej wiosce była piękna, buddyjska świątynia, którą chciałem obejrzeć. Nie znalazłszy żywego ducha na podwórzu i słysząc gwar głosów dzieciennych w bocznym skrzydle, zajrzałem tam. Była to szkoła wioskowa. Dwudziestu kilku bębnowo dało się w niebogłosość, wykrzykując lekcye. Naprzeciw wejścia, na tapczanie, za niskim pulpitem siedział nauczyciel. Kilku dorosłych, poważnych jegomościów, siedząc koło drzwi na tej samej ogólnej pryczy (ławie), co dzieci, czytało książki. Dzieci, spostrzegłszy mnie, natychmiast przestały krzyczeć, wskazały mnie nauczycielowi i, porzuciwszy książki, otoczyły mnie. Bez cienia zaambarasowania każde z nich witało mnie najpierw niskim „koteu“, poczem bez żadnej już ceremonii oglądały mnie na wszystkie strony i dotykały odzieży. Nauczyciel, który niezwłocznie podszedł, próbował je odpędzić, lecz niebardzo go słuchaly. Gdym zaś zajrzał do ich kajetów i, podniósłszy duży palec, powiedział „hao“, radość, a w parze z nią wrzawa, nie miały granic. Chciały mnie gromadą oprowadzać po świątyni, lecz nauczyciel stanowczo się już temu sprzeciwił. Dzieci zostały w szkole, choć

długo jeszcze po mojem wyjściu wysuwały głowy przez drzwi i wołały: „hao!”

Świątynia była zwykłą buddyjską świątynią, zdaje się jedyną zamiejską, która ocalała w pasie pochodu wojsk. Laka zachowała się jeszcze dość dobrze, ale była grubej i brzydkiej roboty. Widziałem potem o wiele ładniejsze. Nauczyciel puścił mnie nawet do ołtarza, ale prosił, abym za kilka groszy kupił świeczek (pałeczki z rdzenia sitowianego) i spalił je. Dałem mu kilka groszy na świeczki i kilka dla niego. Zapalił świeczki, wstał w brązową wazę, pełną popiołu, i podziękował głębokim ukłonem.

Zawierucha nabrała tymczasem takiej siły, że w tych kłębach siekącego, ostrego piachu, tamujących oddech, ślepiących oczy, przeciskających się pod odzież, miałem przedsmak wichur niedalekiej Gobi. Mimo to, w miarę zbliżania się do miasta, droga zaczęła się zaludniać. Z niewidzialnych wiosek, z za wzgórków, z jarów, śpieszyły po krętych drożynach oddzielne postaci pieszych, jeźdźców, tragarzy i zlewały się w jeden, coraz liczniejszy potok ludzi. Jedni szli ku miastu, inni wracali, wioząc towary na dwukołowych wozach, zaprzężonych cugiem we trzy lub cztery muły. Zaprząg chiński jest tego rodzaju, że każde zwierzę jest przywiązane samodzielnie do tego samego

punktu na tyłcu woza. Tworzy to przy większym zaprzęgu całą sieć sznurów, ale jest ekonomiczne. Środkowe zwierzę zaraz w hołoblach; przyprzężek zwykle dwie, trzecia i czwarta na przedzie w cugu. Furman z długim batem siedzi na hołoblach, tuż przy ogonie pierwszego muła. Ładowanie wozu wymaga umiejętności, aby równowaga była zachowana. Pod hołoblami wiszą podpórki na wypadek, gdyby zwierzę upadło. Z tyłu pod wozem wisi gliniana maźnica ze smarami. Wozy chińskie nie skrzypią jak mongolskie lub buryackie arby, choć są z konstrukcyi bardzo do nich podobne. Koło chińskie obraca się wraz z osią, a jest zbudowane z kawałków drzewa zbitych na płask i okutych ogromnymi gwoźdźmi. Łebki gwoździ, przystając do siebie, tworzą obręcz. Wóz chiński trzęsie niemiłosiernie, jest ciężki, niezgrabny, ale mocny, da się łatwo reparować i dla dróg tutejszych, haniebnych dróg, jedyny. Jaki pan, taki kram.

Na takich wozach przelatywały mimo nas eważem całe gromady wesoło śmiejących się Chińczyków. W ładniejszych i starannie zakrytych budkach wozów widziałem malowane Chinki z dziećmi i pierzynami. Z niektórych wyglądały otyłe kupiec lub wyszła twarz urzędnika. Zresztą urzędnicy jechali przeważnie wierzchem, na pięknych

mułach, które tu są stanowczo ładniejsze i roślej-sze od koni. Jakichś trzech młodych zuchów próbowało się nawet ścigać z jednym z kozaków, którego gorący, źle objeżdżony koń ciągle ponosił. Lecz byli sromotnie zwyciężeni; za to ponosił osiel jakiegoś poważnego profesora w okularach, który jechał zamyślony ze zwojem papierów w rękę; zaryczał i ruszył z kopyta, ku wielkiej ucieśze tłumu.

Chińczycy jeżdżą wybornie. Wogóle nie jest to lud bynajmniej śmieszny lub niezgrabny; zwykła ich odzież nie jest zbyt długa i nie krępuje ruchów, a warkocz... do warkocza trzeba się przyzwyczaić. Jest on niedogodny jedynie dla swego posiadacza, który, nawet kładąc się do snu, musi o nim pamiętać, i aby go nie pognieść, przekłada na drugą stronę drewnianej poduszki lub nawet opuszcza z łoża na dół. Dlatego to Chińczycy śpią zwykle głową ku krawędzi łóżka. Powiadają, że chunchuzi, wdarłszy się do oberży lub domu, wiążą przede wszystkim śpiących razem za warkocz, a następnie dyktują warunki. Byłem w czasie nocnych rewizyj w kilku domach chińskich i istotnie widziałem na krawędzi ogólnej pryczy rzędy głów chińskich ze zwieszonymi ku ziemi warkoczami. Śpią Chińczycy zupełnie nago; ubranie kładą z boku i w nogach, a pod materac nieodzowną fajecz-

kę, kapciuch i torebkę z krzesiwem lub zapalkami; kołdry mają watowane, poduszki—drewniane podstawki lub plecione z bambusu elastyczne wałki. Na te podstawki zamożniejsi kładą małe pierzane lub włosiane poduszeczki.

Na znacznej jeszcze odległości od miasta wiatr przywiał fatalny odór martwicy. Myślałem w pierwszej chwili, że spadnę z konia, spazmy ścisnęły mi gardło. Po kwadransie jednak oswoilem się z tem trochę i wśród tumanów kurzu dostrzegłem przyczyny zapachu, małe stożkowate kupki mogił chińskich, nieprzejrzane ich pola, otaczające ścisłym wiankiem każde miasto chińskie. Na niektórych stały nagrobki — małe słupki kamienne, lecz większość nie miała żadnych znaków. Chińczycy nie kopią wcale dolów, lub kopią nadzwyczaj płytkie. Trumnę z wierzchu zasypują gliną. Nie widziałem żadnych szczególnych oznak poszanowania dla tych mogił. Wiele z nich wiatr rozwał, inne rozmyły deszcze, a trumny przegniłe i rozbite sterczały na wierzchu. Widać było nieboszczyków; odzież ich i piszczele wystawały na zewnątrz, wiatr trzepał nimi... Psy, świnię, szczury i wrony gospodarowały wśród mogił, wcale nie zwracając uwagi na gwarny tłum, idący drogą.

Wśród tych pól śmierci, które ciągnęły się daleko, jak okiem sięgnąć, one były wyłącznymi go-

spodarzami. Ani jednej ludzkiej postaci nie dostrzegłem wśród smutnych pagórków. W jednym tylko miejscu ukazała się idąca z miasta procesya biało ubranych ludzi, niosących nieboszczyka.

Chińskie miasta, otoczone zębatym murem z rogatemi basztami i wysokimi bramami, zwykle zdaleka już widać na widnokręgu, niby mglisty rysunek na starej zmierzchłej porcelanie. Ale Cycykar od strony kolei zakryty jest drzewami i wzgórkami. Niepostrzeżenie znaleźliśmy się przed pierwszą bramą miasta u świątyni Spotkania. Jest to piękna świątynia poważnego bóstwa Caj-szou z długimi wąsami i zwie się Caj-imm-mjao. Po lewej ręce ma on w osobnym ołtarzu „żonę“, piękną chińską panią, po prawej jakiegoś sędziwego pana z siwą brodą... Nie jest to świątynia buddyjska, ale jaka? — nie mogłem się dowiedzieć. Widziałem następnie w Cycykarze kilka świątyń, poświęconych temu bóstwu: były zupełnie do siebie podobne. Świątynia u Wrót Północnych różniła się od nich jedynie obfitością ślicznych drzew na dziedzińcu i za tylną ścianą.

Przed świątynią, bokiem do wjazdu, stały kamienne pomniki; jeden w kształcie bramy o trzech odrzwiach „Phaj-lo“, postawiony cnotliwej wdowie, drugi w kształcie niszy z wysokim kamieniem, pokrytym napisami w głębi: „Phei-i“, pom-

nik cnotliwego dziań-dziunia (wielorządcy). Szczególnie ładny był pierwszy pomnik, ozdobiony oryginalnymi rzeźbami. Na cokół jego siedziały porogach zadumane małpki, objawszyszy rękoma kolumna. Pomników takich jest kilka w Cycykarze. Stawiane są na rozkaz bogdochana wdowom, które przez lat dziesięć dochowały wierności nieboszczykom, lub takim, które dobrowolnie zaprzagnęły umrzeć, aby się z nimi połączyć. Taka wdowa desperatka bardzo jest honorowana: dygnitarze ją odwiedzają i wyprawiają jej sutą ucztę przed zgonem... W końcu uczty musi połknąć złotą gałkę, która ją dusi... Bywały jednak wypadki, że w ostatniej chwili takie uhonorowane ofiary się cofały i wychodziły szczęśliwie za mąż za jednego z poznanych przy tej okazji dygnitarzy...

O drugim „Phaj-lo“, który stoi w mieście u bramy wewnętrznej, opowiadano mi ciekawą historię.

— Ten pomnik niedawno, bo zeszłego roku, postawiono pewnemu urzędnikowi, jednemu z pomocników (Si) cycykarzkiego dziań-dziunia, który przewidział, do czego doprowadzi wojna, i opierał się jej wszystkimi siłami. Dziań-dziun nie mógł sobie dać z nim rady, posłał go więc z takim zleceniem do innego miasta, że urzędnik tego zlecenia nie mógł spełnić. Wtedy go uwięziono, mają-

tek zabrano, pozbawiono stopni naukowych, i wielce poniżony umarł w więzieniu. Dopiero, kiedy wybuchła wojna i miasto wzięto, przypomniano sobie nieszczęśliwego „Si“, wrócono mu cześć i postawiono pomnik... Powinien ci się jego pomnik podobać, gdyż ten „Si“ był przyjacielem Rosyan!

Pomnik istotnie był ładny, choć nie miał zadumanych małpek na cokół, lecz srogie lwy. Na nieszczęście, po sprawdzeniu, okazało się, że jest pomnikiem nie cnotliwego urzędnika, lecz cnotliwej wdowy.

Nie mogłem się nawet dowiedzieć, czy istniał ów zdecydowany przeciwnik wojny, czy też historia była wymyślona naprędce dla przekonania mnie o wielkiej lojalności mieszkańców miasta Cocykaru...

Cocykar wzięto szturmem... t. j. strzelano kilka razy z armat i karabinów do nadchodzących wojsk. Co się tu działo, nie mogłem się dopytać, ale nieraz w głuchych ulicach takie na mnie z tłumu padało spojrzenie, że mrowie brało. Pozornie jednak stosunki były jak najlepsze.

W dzień chodziłem po ulicach z tłumaczem, nawet sam, i zaglądałem do odległych pustych zaułków—nie spotkało mnie nic złego; widziałem na targu i na ulicach samotnie chodzących Europejczyków, nawet kobiety europejskie... lecz gdy

wracał skądkolwiek w nocy, z urzędu dodawano mi... dwóch kozaków.

Następujący wypadek zdarzył się w czasie mojego pobytu: W środku miasta, niedaleko nawet od mieszkania wojennego komisarza, gromada Chińczyków złapała dwóch przybyłych niedawno do miasta Rosyan, zawlokła ich do pustego domu i, zwiąawszy, zaczęła dręczyć, podsmalać płonącym papierem, ranić, wymagając okupu. Dręczeni wysłali list na stację Cocykar z prośbą o pieniądze. Zabrawszy im pieniądze, zegarki, odzież, porzucono ich związanych. Jaki nieszczęśliwy usłyszał ront wojskowy, patrolujący ulice. Oswobodzono uwięzionych, a uwięziono Chińczyków, na których ślady naprowadziły sprzedawane rzeczy i zegarek. Właśnie sąd konsularny z władzami chińskimi roztrząsał tę sprawę, gdy odwiedził cocykarskiego konsula.

Miasto Cocykar nie jest piękne. Nie posiada wcale ogrodów, ani w śródmieściu, ani w okolicy, z wyjątkiem małego ilmowego gaju za południowo-zachodnią bramą koło starego cmentarza znakomych Mandżurów. Cocykar uważany jest za miasto mandżurskie; istotnie dużo Mandżurów tam mieszka, lecz wyznaje, że nie mogłem ich odróżnić od Chińczyków, mimo pewnego doświadczenia, nabranego w Chajlarze. Odzież ich i oby-

czaje stały się zupełnie chińskimi. Chińska myśl i chińska mimika urobiła nawet twarze ich na chińską modłę; krzyżowanie w małżeństwach do reszty zaciera różnice.

Tu, w Cocykarze, wyrabiają się i stąd rozchodzą się po stepach te wszystkie przedmioty potrzeby, zbytku i czci religijnej, jakich nie mogłem nabyć ani u koczowników, ani w Chajlarze. Tu kazano mi ich szukać, i tu je znalazłem. Nie znalazłem tylko szamańskich *ongonów*, kawałków płótna ze srebrnym księżycem i złotem słońcem, naszytymi po rogach, z trzema figurkami złotymi i dwiema srebrnymi pośrodku, z kawałkami futra nad nimi i rysunkiem lisa u dołu. Skłamał więc koczownik Daur, u którego znalazłem ich aż 12 w ołtarzu domowej kapliczki (stała poza ogrodzeniem domu na rogu i była zupełnie podobna do buddyjskich, nawet obrazki buddyjskie wisiały na ścianach, chociaż właściciel jej był szamanistą).

Jeden jedyny malarz obrazów świętych, którego w Cocykarze odszukałem, był buddystą i malował na zawołanie z pamięci wszystkich buddyjskich i nawet nie buddyjskich świętych: należało mu tylko wymienić nazwę; ale *ongonów* malować nie umiał. Miał pewne artystyczne zacięcie, i kupiłem od niego ładny szkic bohatera, wielkości prawie

naturalnej, który wisiał w pracowni na ścianie. Oddał go za *rubla*.

Ruch na ulicach Cocykaru ogromny. Szczególnie zrana, kiedy napływają wieśniacy z okolicy, przetłoczyć się niepodobna przez błękitno ubraną ciżbę pieszych z nosidlami na plecach, oraz wozniców, prowadzących bawoły na kółkach w nosie lub muły na lejcach. Gwar, krzyk, wymyślanie, gdyż prostak chiński nie może żadnej sprawy ulicznej załatwić bez przekleństw. Przekleństwa chińskie zdrożnością i wymysłem nie ustępują europejskim. Rozbrzmiewają nawoływania przekupniów, dzwonią dzwoneczki balwierzy, stukają młotki trawiarzy, mędlujących pod ścianami słynną trawę „uła“, która „chroni nogi od ran w najdalszej drodze“. Istotnie: wyborna trawa do opakunków. Wieśniacy mandżurscy owijają nią nogi, a na wierzch nadziewają skórzane ciżmy „uła“, obuwie nieznane w Chinach. Nad tłumem powiewają w powietrzu i iskrzą się w słońcu barwne, często złożone znaki handlowe. Odrzwia sklepów i gzymsy nad nimi również malowane jaskrawo: czerwono, niebiesko, zielono, co na szarych ścianach, pod czarnymi i szarymi dachami wcale ładnie wygląda.

Na straganach po obu stronach ulicy wystawione najrozmaitsze towary, poczynając od włośczyzny i jarzyn, a kończąc na mięsie. Wszystko

to nie przykryte kurzy się i brudzi w obłokach pyłu, wzdymanego przez wiatr i ruch tłumu. Do wyrobów miejscowych należą: wyroby z krwawnika, agatu i opalu, które z nad Amuru z gór przynoszą koczownicy. Tutaj wyrabiają z nich pierścienie, breloki, gałki do czapek, flakoniki do tabaki, guziki, oraz inne drobiazgi, nieraz bardzo ładne, ale zawsze bardzo drogie. Zauważyłem zresztą, że dla mnie, t. j. wogóle dla Europejczyków, istniała wszędzie w Chinach inna cena, przewyższająca niekiedy w trójnasób ceny dla tubylców.

— Ty kupisz u nas raz tylko, a oni wciąż kupują—tłómaczyli mi kupcy.—Gdy będziesz kupował często, i dla ciebie cena zmaleje!...

W zasobniejszych sklepach zapraszano mię do małego pokoiku za sklepem, podawano mi zaraz herbatę, pokazywano próbki towarów oraz fotografie nie zawsze... przyzwite. Uderzyło mnie to, że nawet w porządnym sklepie te fotografie, oraz odpowiednie rysunki wisiały zupełnie otwarcie obok luster, bukietów ze sztucznych kwiatów, wazonów porcelanowych i innych ozdób, nieraz nawet w sąsiedztwie ołtarzy opiekuńczych duchów.

Dowiedziałem się następnie, że często w dzień Nowego Roku przyjaciele posyłają sobie wzajemnie podobne rysunki z życzeniami. Nikt nie uw-

za tego za rzecz zdrożną, nie kryje się z tem, ani wstydzi. Kobiety i dzieci patrzą na to zupełnie spokojnie, gdy tymczasem Chinka spłonie ze wstydu, gdy obcy mężczyzna zobaczy u niej gołą stopę, a Chińczyk miesza się, gdy go ktoś o żonę zagadnie. Przypuszczam, że rysunki te nie są oznaką jakiegoś szczególnego zepsucia — nie jest ono większe tu, niż u nas,—lecz jest pozostałością starożytnego kultu, który łączył pewne wyobrażenia z pojęciami szczęścia, powodzenia, pomyślności, bogactwa... Stary pasterski i rolniczy kult...

We wszystkich sklepach widziałem ogromną liczbę subjektów; grzeczni, usłużni, nie wyrażali najmniejszego niezadowolenia, gdym, przerzuciwszy ogromną moc towaru, odchodził nie nie kupiwszy. Za to były i takie sklepy, w których mi odmawiano sprzedaży przedmiotów, wystawionych w witrynach. W takich razach nie odpowiadano mi nic, patrzano na mnie spokojnie, lecz tak obojętnie, jakby w tem miejscu, gdzie stałem, była próżnia.

Wszyscy, którzy mieli trwalsze i dłuższe stosunki z chińskimi kupcami, nachwalić się nie mogą ich uczciwości, słowności, solidności.

— Chińczyk wytarguje co się da, ale po zawarciu umowy nigdy nie oszuka. Przy spełnianiu zaś zobowiązań przez innych zawsze weźmie pod

uwagę okoliczności łagodzące, i jeśli były słuszne, ustąpi lub poczeka. Czy pan uwierzy, że oni po wojnie zgłaszali się do nas do banku i deklarowali swoje długie, choć wiedzieli, że weksle poginęły i że wielu ksiąg brakowało! Z wyjątkiem Chińczyków nikt tego nie zrobił... Ale na Chińczykach nie straciliśmy, chyba na tych, których zabito... — mówił mi dyrektor filii banku Rosyjsko - Chińskiego.

Kredyt w Chinach bardzo jest rozpowszechniony. Kupcy dają dość znaczne nawet sumy na słowo, bez weksłu. Każda miejscina, nawet wioska większa, ma coś w rodzaju kasy zaliczkowej. Również rozpowszechnione są lombardy, które służą właściwie za składy rzeczy cennych dla mniej zaможnych rodzin. W tych lombardach, na licytacjach, można dostać piękne okazy starej sztuki chińskiej i rzadkie przedmioty.

Cycykar ma około 70000 mieszkańców. Sam nic nie wytwarza. Jak już wspomniałem, okolica dość jest jałowa, piasek, wymagający dużo nawozu. Sieją przedewszystkiem proso wszelkiego gatunku (budę), bób, groch, sadzą kartofle, włoszczyznę. Rzepa dorasta ogromnych rozmiarów, ogórki również, czerwona rzodkiewka przeradza się w olbrzymią rzodkiew, marchew jest olbrzymia, ale buraki się nie udają. Nie widziałem ich

wcale na targu. Widziałem natomiast dużo pysznej, chrząstkowatej sałaty, którą jedzą na surowo lub gotują z mięsem zamiast słodkiej kapusty. Cycykar jest przedewszystkiem punktem tranzytowym: tu krzyżują się drogi z Hirynu, z Mukden, z Aziche i Władywostoku, nareszcie z Błagowieszczeńska, dokąd wkrótce ma być przeprowadzona odnoga kolei żelaznej. Taka odnoga połączy kolej Mandżurską i z Hirynem.

Na północ idzie stąd zboże, masło bobowe i lniane, *hanszyn* (wódka z prosa), bydło opasowe, wszelka manufaktura, broń, wyroby żelazne, obrazy, siodła, galanterya, garnki, porcelana, wyroby miedziane...

Handel hurtowy z Mongolią i Amurem tu ma swe składy i kantory. Miasto bardzo brudne, zakurzone, wietrzne... Wiatr wieje tu wciąż i wznosi tumany pyłu nawet w kilka godzin po deszczu. Stąd szara barwa miasta, nieba, ludzi, budowli i wątlých, rosnących gdzieś drzewin. Pośrodku miasta jest rodzaj małej forteczki, otoczonej wysokim murem. Miasto też jest otoczone murem, a prowadzą do niego ogromne bramy, zamknięte dawniej o zachodzie słońca, z wielkimi wieżami nad sklepieniem. Wchodzi się do bramy wprost, ominąwszy murowany przyczółek. Mury, jak wszędzie w miejskich bramach, bardzo grube

i bardzo wysokie, mogły w dawnych czasach służyć za doskonałą obronę przeciw najezdnikom stepowcom. Obecnie żadnej nie mają wartości. Chińczycy doskonale to rozumieją, i stąd to zaniebdanie murów i ich ruina.

W Cocykarze dużo jest świątyń. Zwiedziłem niektóre z nich. Wszystkie, zarówno buddyjskie, jak i innych wyznań, mają ten sam charakter; nawet meczet mahometański zbudowany jest w tym stylu. Różnica polega jedynie na wewnętrznym urządzeniu. W meczecie niema ani ołtarzy, ani posągów. Jest to obszerna, niska sala, podparta dwoma szeregami drewnianych lakierowanych słupów; w głębi wisi tablica z napisem z Koranu, i leży Koran na małym stolyczku. Ze stropu zwieszają się lampy. Mahometanie ogromnie się ucieszyli, gdym ich powitał muzułmańskim „salamalej-kum“ i pozwolili mi nawet sfotografować wnętrze meczetu. Z pośród obecnych ci tylko nie dali się sfotografować, którzy mieli na głowach białe zawoje. Mahometanie zamieszkują w Cocykarze osobną dzielnicę, zdaje się, południowo-zachodnią. Słyną z odwagi i buntowniczego ducha. Głowę noszą hardo i patrzą śmiało. Do tego stopnia nienawidzą Chińczyków innych wyznań, że sprzyjają nawet cudzoziemcom. Skarżyli mi się, że nie pozwalają im wzniesić minieratu.

Świątynie buddyjskie, daurskie, oraz inne zawsze mają w głębi ołtarze. Często świątynia składa się wyłącznie z takiego ołtarza i wielkiego krużganka dla modlących się. Przed ołtarzem stoi stół z kadzielnicami, ze świecznikami, z emblematami, a na ziemi na podstawkach stoją bębny, dzwony, gongi oraz inne instrumenty muzyczne, w ich liczbie nieodzowna, drewniana trupia głowa, czerwono lakierowana.

W świątyni Lisa (Chu) uderzyła mnie przede wszystkim ogromna liczba tablic z napisami; wiszą one w krużganku oraz na murach dokoła. Objąśniono mi, że to są napisy dziękczynne ludzi uzdrowionych lub wspomóżonych przez Lisa. W ołtarzu, który, jak i inne, miał trzy przedziały, dostrzegłem te same siedzące poważnie chińskie postaci złożone i malowane, co w świątyni „Szou“ lub „Fo“ (Buddy). Główna figura trzymała w ręku coś w rodzaju ludzkiej piszczeli, co w zestawieniu z upiększeniami narożników w kształcie łbów słoni wskazywało jakby indyjskie pochodzenie kultu. W lewym ołtarzu po lewej ręce bałwana siedziała kobieta, w prawym jakiś sędziwy jegomość. Nigdzie nie znalazłem wizerunku lisa, ale szukając po kątach, spostrzegłem z boku w ścianie naśladowaną norę lisią, przed którą i w której palono świece i skła-

dano ofiary, co widać było z resztek papieru i popiołu.

W świątyni u wrót północnych widziałem osobną kapliczkę na osobnym podwórku, ogrodzonem kamiennym murem, gdzie w małej, drewnianej altance rzeźbionej i jaskrawo czerwono malowanej stała tabliczka ze złotymi hieroglifami panującego obecnie bogdochana.

Obok tej świątyni mieścił się teatr, w którym od 11-ej zrana do wieczora grała muzyka i aktorowie w maskach i bogatych strojach dawali przedstawienia. Tłum zbity stał tam wciąż, i nie było sposobu się przezeń przedostać. Skorzystałem więc, że pewnego rana nikogo nie było, i zwiedziłem teatr. Otwarta scena, wzniesiona na 8—9 stóp nad ziemią, nie miała wcale dekoracji. Za kulisy wiodło dwojdrzwi po obu stronach, zakrytych zasłonami. W małym przedziale na prawo mieściła się kuchnia i kipiały imbryki. Jakiś aktor malował pośpiesznie białą farbą afisz dzisiejszego przedstawienia. W sąsiedniej obszernej izbie znalazłem dużo aktorów, zwykłych chińskich prostaków, którzy pili herbatę, głośno rozmawiali i kręcili się po szopie. Przyjęli mnie dość wrogo, i tłumacz ciągnął mię za rękaw, szepecząc: „Chodźmy, to hołota!”

Ale chciałem jeszcze obejrzeć ubrania i broń, które leżały porządnie złożone na półkach. Były to wszystkie świetne stroje z taniej materyi, szychu i złotego papieru. Cudaczne maski wisiały rzędem na ścianach, a w rogu na ziemi stały instrumenty muzyczne: bębny, gitary, arfy i gongi. Kobiet wcale nie było; powiedziano mi też, że nocować, wogóle spać w budynku teatralnym nie wolno, że aktorzy mieszkają gdzieindziej.

Tego dnia po obiedzie zwiedziłem więzienie. Mieściło się w smutnej, bezludnej ulicy, gdzie szary mur wznosił się wysoko po obu stronach, jak skały, wąwozu. Przez małe drzwiczki wszedłem do sieni odwachu. Na prawo było pomieszczenie dla żołnierzy: brudne, zasłane matami, ubogie „kany”. Na ścianach tanie rysunki; zapach opium, spite i odpychające twarze żołnierzy... Nigdzie nie dostrzegłem broni. Z odwachu przez małe podwórko szło się do właściwego więzienia, zamkniętego mocnymi drewnianymi drzwiami z małym okrągłym okienkiem; na lewo były drugie takie drzwi do kobiecego więzienia. Weszliśmy na dość obszerny, pusty dziedziniec. Kilka wątłych ilm rosło na nim. Znaczłą część zajmowało jakieś obszerne rumowisko; w głębi stała niska murowana szopa, której zewnętrzna, zaklejona papierem ściana zabita była kratą z grubych, dębowych palów. Kilku więźniów

wyszło na nasze spotkanie. Jeden spał na garści słomy, a słońce piekło mu obnażoną głowę i ciało. Naczelnik straży więziennej nie chciał mię puścić do wnętrza i nie chciał mi towarzyszyć. Gdym wszedł, ujrzałem szopę czarną, straszłą, brudną, cuchnącą, pełną ludzi; stali tłumnie w wązkim przejściu, leżeli na niskich tapczanach po obu stronach lub siedzieli tam szyjąc, wiążąc coś, pracując... Nie byli zakuci, ale nad głową każdego wisiały kajdany... Skarżyli się, że mało im jeść dają i prosili o pieniądze. Kilku leżało chorych, zdaje się, na tyfus, oczy im w gorączce płonęły; jeden, skazany na śmierć, siedział koło słupa z głową opartą bezwładnie, z oczyma nawpół przymkniętymi i drżał drobnym ruchem febrycznym. Widocznie osławiona obojętność Chińczyków wobec śmierci nie jest prawem ogólnem...

Większość więźniów byli to ludzie rośli, tędzy, o posępnem spojrzeniu. Długie, stargane włosy, czarne od brudu twarze i strzępy wiszących na ciele łachmanów potęgowały wrażenie odpychające i pełne grozy...

— Pan się nad nimi lituje, a to są zbroje, okrutnicy... każdy z nich już niemało pomordował ludzi...— mówił mi tłumacz, gdym się stamtąd dostał.

Wśród więźniów znalazłem oroczona, którego

wieźli w jednym ze mną pociągu. Miał skute ręce i nogi, a pilnujący go Mandżur wiódł go za łańcuch, zamknięty obrozą na szyi. Uprowadził podobno 160 koni i spełnił rozmaite gwałty. Skazano go na śmierć, a prawą rękę w czasie badania zupełnie mu opalono i ogołoco z palców. Gdyśmy wychodzili, wielu więźniów powstało i wyszło na zewnątrz; a było ich tu 70 ludzi. Brama była otwarta, straż bezbronna i nieliczna, coś pięciu ludzi; dziwiło mię więc, że ci, nie nie mający do stracenia ludzie nie rzucają się na nas i nie uchodzą. Stali spokojnie, niezadowoleni, że ich fotografujemy. (Chunchuzi nie pozwalają się fotografować z obawy, aby ich nie poznano). Powiedziano mi, że nie zawsze tak bywa, że przed kilku tygodniami 30 zbrodniarzy uciekło z tego więzienia. Dlaczego nie uchodzą wszyscy?—pozostało dla mnie tajemnicą. Przy takim dozorze nasi zbrodniarze europejscy dnia jednego nie zostaliby w więzieniu.

Do żeńskiego oddziału więzienia nie chciano mię puścić. Twierdzono, że tam nikogo niema, lecz... drzwi się zlekka uchyliły, i wyjrzała z poza nich straszna, siwa głowa. Prosiłem stanowczo, aby mi drzwi otworzono, opierając się na pozwoleniu dziań-dziunia. Znalazłem tam dwie kobiety: starą, nawpół obłąkaną, wyschłą, jak szkielet, która tu już siedziała od niepamiętnych czasów, i mło-

da, dość przyjemnej powierzchowności kobietę. Była ogromnie wystraszona i zmieszana widokiem tyłu obcych mężczyzn. Męża jej podobno zabili chunchuzi, lecz ponieważ nie było świadków, zapodejrzano ją o udział i zamknięto w więzieniu do wyjaśnienia... Za co siedziała stara, nikt nie umiał objaśnić. Bełkotała coś, tocząc po nas wzrokiem błędnym i wylekłym...

Znów siedzę w wagonie, który bądź co bądź, tu, w Mandżuryi, jest miejscem wypoczynku dla podróżnika. Noc wietrzna i zimna. Ciemna, słabo sfalowana równina ledwie odrzyna się na bezgwiezdnym, zasępionym niebie. W taką noc przyjemnie jest mieć elektryczne światło nad sobą i siedzieć z książką w ręku na miękkiej, czystej sofie. Podróżnych pełniutko. Jadą Niemcy, Anglicy, Francuzi, znalazłem nawet dwóch Polaków, z którymi los szczęśliwie pomieścił mię w jednym przedziale. Przeklinają kolej za brak wygód i porządku, wymyślają na Mandżurję.

— Piękny kraj, niema co mówić, piękny kraj! Prócz gołego stepu i gór nic nie widzieliśmy dotychczas! Tu, zdaje się, nikt nie mieszka. Nawet ptactwa, z wyjątkiem kawek, nie widać! Gdzież te osławione bażanty?

— Przed wojną było tu ludno. Teraz Chińczy-

cy odsunęli się od kolei, a z Chińczykami odeszły i bażanty. One trzymają się zbóż!

-- Aha, rozumiem wybornie i Chińczyków, i bażanty. Właściwie po co im ta kolej?

Zaczyna się długa ekonomiczno-polityczna rozmowa.

Trzecia klasa pełna Chińczyków. Przypuszczam, że nie robią tego przez skąpstwo, lecz unikając... towarzystwa Europejczyków. Widziałem też, jak na jednej stacyi jakiegoś bardzo przyzwoitego Chińczyka „dla braku miejsca“ nie puszczono do klasy drugiej, choć miał do niej bilet.

Przestrzeń między Cicykarem a Charbinem uważana jest za niebezpieczną. Na stacyach i miejscami na linii widzę patrole, szczególnie koło mostów na rzekach. Miejscowość tutaj niska, błotnista, w lecie gęsto porasta szuwarem, gdzie doskonale pono chowają się „chunchuzi“.

Legenda chunchuska ogromnie jest dogodna. Pociąg się wykoleił—chunchuzi; popełniono śmiały rabunek lub morderstwo, złoczyńcy nie ujęci—chunchuzi; dostawca zatracił gdzieś po drodze towar—chunchuzi; spłonął sklep wysoko zaasekutowany—chunchuzi. Podobno są; pokazywano mi ujętych, ale grasują wyłącznie wśród Chińczyków; są to rabusie i złodzieje o wiele lękliwi i mniej po-

mysłowi od europejskich. Pod względem bezpieczeństwa Mandżurya nie jest gorsza od Kaukazu i Syberyi.

Za główne źródło przygód i niepowodzeń należy tu, jak wszędzie, uważać niezajomość języka. Kto umie po chińsku lub ma dobrego tłumacza i dobry w kieszeni rewolwer, śmiało może puszczać się w podróż po Mandżurii do najdalszych nawet jej zakątków. Poznałem ludzi, którzy samotni z towarami docierali do bardzo odległych wsi i miasteczek. Było to co prawda przed wojną, ale wyprawy te dowodzą, że charakter mieszkańców z gruntu nie był ani okrutny, ani dziki, ani Europejczykom wrogi. Wojna popsowała stosunki. Znowu wspominać o niej, gdyż w wagonie spotkałem się z cywilnym jej uczestnikiem, który uciekał do granicy z obozem, ściganym przez Chińczyków. Cierpieli chłód, gdyż bali się palić ogniem w nocy, aby ich nie wystrzelano; zabrakło im jedzenia i nabojów, padły zwierzęta pociągowe; wlekli się ledwie żywi; byli z nimi starcy, kobiety i dzieci... Kto został, o tym już nikt nigdy nie usłyszał.

— O jednej tylko kobiecie, żonie telegrafisty, ranionej kulą w piersi, doszły potem pogłoski gorsze od śmierci... Chińczycy znaleźli ją umierającą i wyleczyli... Potem ten pierwszy, który wziął ją do niewoli, sprzedał ją drugiemu, tamten po nie-

jakim czasie trzeciemu, i tak przechodziła z rąk do rąk, aż doszła wieść do naszych wojsk już na południu, że jest w niewoli u Chińczyków. Zażądano jej zwrotu — wróciła, aby umrzeć w szpitalu na chorobę straszną, jak trąd... Nie chciała mówić, co się z nią działo; tylko płakała, powtarzając: Pomoście mnie wykupili? pomoście mnie wykupili?

Przelatywaliśmy długi most na skutej lodami Sungari; przez okna wagonów widać liczne, świeżo zbudowane lub budujące się gmachy i domy... Wśród nich uwija się mrowie ludzkie. W oddali słychać łoskot pracujących machin, syk pary, gwizdawki. To Charbin, miasto kolejowe, węzeł północnej linii Mandżurskiej, południowej i wschodniej. Tu jest prócz tego wielka przystań na Sungari. Dworzec obszerny, ale brudny i brzydki, natłoczony przejezdny. Przed dworcem stoi długi szereg dorożek, ale żaden dorożkarz nie chce jechać, gdyż podejrzewa, że pasażer blisko wyśiadzie.

— Niech pan ma litość; za 20 kop. stracę kolej, a tyle czasu czekałem. Niech pan weźmie z końca!

Ale i z końca nie chcą jechać. Nareszcie jeden się zgodził. Śpieszę więc do głównego zarządu kolei, aby zmienić bilety.

Miasto bardzo rozrzucone, niezregulowane, nieporządne. Nie ma wodociągów, ale ma... operę, gdzie w tych dniach miano dawać... Tannhäusera. Łatwiej tu o dobrego szampana, niż o dobrą wodę. Drożyzna niesłychana. Kurz, śmiecie, brud, wapno, cegła, budulec zwalone kupami i pomieszane bezładnie. Znosi się na coś potężnego, czuć rozmach w planie. Punkt wybrany bardzo umiejętnie.

Za Charbinem pola uprawne już ścielą się nieprzerwaną płachtą. Lód jeszcze miejscami błyska w kałużach, ale wieśniacy już krzątają się na roli, czernieje nawóz rozłożony niewielkimi kupkami w szachownicę co kroków kilka. Coraz częściej na dolinie zjawiają się niskie, szare, z błota budowane wioski, a wspaniałe ilmy wznoszą wysoko nad nimi swe cienkie, węzłowate gałązki. Małe kapliczki, często ubrane kwiatami, bieleją wśród pól.

Coraz częściej też dostrzegam cmentarze rodzinne. Jakże odmienne sprawiają wrażenie od niechlujnych, zaniedbanych miejskich cmentarzy! Są to zazwyczaj grupy małych, odarniowanych pagórków, ocienione drzewami, sosną lub świerkiem—żałobnem drzewem Chińczyków. Miłe, czyste, widocznie troskliwie pielęgnowane—wcale nie zajmują tak dużo miejsca, jak o tem krzyczą Euro-

pejczycy. Na każdym działku wieśniaczym jest taki mały zakątek umarłych. Rozumiem Chińczyków; przyjemnie myśleć o tem, że się będzie spoczywało po ciężko przepracowanym życiu wśród ukochanych pól, w pobliżu ukochanych istot.

Ciche wzgórki nieboszczyków nabierają szczególnego wdzięku wśród tych niw uprawionych z tak skrętną zabiegliwością, wśród tych wychowanych ogrodów, gdzie cal ziemi nie przepada... Mówią one o jakichś wyższych potrzebach, silniejszych nad biedę i wyrachowanie... Nie należy sądzić Chińczyków z ich miejskich obyczajów i osobników. Miasto chińskie, nawet najstarsze i najbogatsze, ma zawsze według zdania Chińczyków charakter targowiska, zajazdu, jarmarku, chwilowego pobytu człowieka. Jedyne na wsi człowiek pracuje dla przyszłości, pewien, że żaden wysiłek jego nie pójdzie na marne. I pojęcie to odbija się w najmniejszym szczególe wiejskiego i miejskiego życia... Weźmy najzwyczajniejsze przydrożne drzewo. I w mieście Chińczy drzewa nie zrabie, gdyż uważa to za przestępstwo hańbiące człowieka, lecz nie widać na tych drzewach tej pieczołowitości, co na drzewach wiejskich, zawsze w porę podciętych, oczyszczonych i leczonych, gdy są uszkodzone.

To samo przebiega się w innych rzeczach, w łaździe i porządku, jakie widzimy w wioskach, szcze-

gólnie na oddzielnych fanzach—folwarkach, i nieładzie, nieporządku i brudzie miast, jakie spotykamy nawet w zamożnych domach. Wieś jest ogniskiem chińskiego życia, miasto jest tylko do niego dodatkiem. Europejczyk, przyzwyczajony do wręcz odmiennego porządku, często fałszywie sądzi o chińskich zwyczajach.

Okolice stają się znów górzystą. Mijamy Czen-tu-fu z jego czerwonymi, poszarpanymi skałami. Wiosna w całej pełni. Górą w błękitach leżą klucze ptaków przelotnych. Na czerwonych, dymiących się w słońcu polach widać luźne figury niebiesko odzianych wieśniaków; orzą małymi pługami lub kopią motykami glebę. W kilku miejscach widziałem nawet siewców (26 marca), siejących rzędem ziarno za pomocą dziurawych tykw. Na drogach szeregi wozów i pieszych podróżnych, niosących na nosidłach ciężary i kosze. Jadą lub wracają z miast, których mgliste kontury rysują się w dali za siatką drzew, za szeregami wiosek. Zdradzają je tylko rogaty baszty i pagody i smuga jednostajnie ciemnego muru. Poznać też łatwo po tych dachach rogatych świątynie wioskowe. Domy zwykłych wieśniaków mają dachy płaskie. Przed świątyniami stoją szeregi wysokich żerdzi dla choraągwi, wrota świątyń są czerwono malowane z niebieskim i zielonym gzymsem. Pięknie to odbija na

szarem tle wioski i roli. Rogate dachy i smok w ornamencie są tak nieodzowną częścią miejscowych budowli, że dostały się nawet do kolejowych domów i stacyi. Trochę zabawnie one tam wyglądają, ale cóż robić, skoro Chińczycy nie wypalają innej dachówki?

Pociąg przebiega tuż koło dużego miasta Tielin nad spławną rzeką Czaj-che. Ma 60,000 mieszkańców. W pobliżu znajdują się kopalnie żelaza, które dały miastu nazwę: Tie-lin—żelazny. Niegdyś dobywano tu srebro. Tielin prowadzi handel zbożem i drzewem. Widziałem niedaleko stacyi kolejowej szeregi ogromnych, cylindrycznych, plecionych z trzciny składów gaolianu (rodzaj prosa). Każda taka budowla miała ze 7 sążni wysokości i ze 3 sążnie w przecięciu. Nakryte były stożkowatym daszkiem. Są to bezwarunkowo prototypy naszych elewatorów. Pociąg leci dalej. Mija na drodze resztki rozbitych niedawno wagonów i lokomotywę, leżącą kołami do góry. Słońce stoi wysoko i rzuca cień krótki. Po obu stronach doliny ciągną się góry, szafirowe pod słońcem i liliowe naprzeciw. Zauważyłem, że brzozy chińskich pól nie zawsze trzymają się prostej linii, czasami zataczają półkola, nawet zygzaki, zależnie od słońca i spadku wody. Chińczycy nawet cień brzozy wyzyskują i sadzą w nim rośliny nie lubiące słońca. Na dwa przejazdy pod

Mukdenem musieliśmy czekać godzin kilka, gdyż jakiś dygnitarz kolejowy przejeżdżał i jadł obiad w Mukdenie. Wskutek tego zamiast po południu dostałem się do Mukdenu o zachodzie słońca.

Tłum Chińczyków rzuca się na mój bagaż i ciągnie ku swym wózkom. Są to słynne japońskie „dzinrykisz” w skróceniu „ryksze”, które się przyjęły na całym tutejszym побереżu. Jest to lekki, lakierowany wózek na dwóch kołach, z ceratową budką od deszczu, w który wprzega się człowiek i wiezie. Wolałem jednak zwykły trzęsący wóz, ciągniony przez konia, uprzejmie mi ofiarowany przez towarzysza podróży — doktora.

Znów fatalny kurz i zapach ementalrzy podmiejskich.

Ale gdy wjechałem na główną ulicę Mukdenu, byłem nagrodzony za tę małą przykrość. Słońce już zgasło, i zaciéniona ulica wyglądała jak ciemne rojowisko. Ponad tem, w górze, w promieniach zorzy gorzał słoneczny tuman złożonych znaków kupieckich, rozwiewały się czerwone i żółte chorągwie, kołysały barwne latarnie. A poza tem w dali majaczyły mgliste, rogate wieżycy. Oczu oderwać nie mogłem od tego cudownego, oryginalnego obrazu, nie wiedząc czemu się przyglądać: czy mierzchnącym szybko deseniom światła w górze, smokom i oka-

pom wygiętym, czy świetnym wystawom sklepowym, dziwacznym, jaskrawo ubranym postaciom, przesuwającym się w dole. Jechali i szli, konni, piesi, na wózkach i „rykszach”. Ubrani w jedwabne powłóczyste stroje, wyszyte bogatymi, barwnymi haftami, przewijali się przez tłum szary i niebieski zwykłych przekupniów i robotników, jak barwny szlak gzymsów w ich świątyni przewija się w zmroku zaciénionych pował. Dotychczas nie widziałem jeszcze takich procesyi znakomitych, bogatych i wytwornie odzianych Chińczyków. Poczulem, że jestem w jednym z ognisk ich cywilizacyi... Mylę się: nie było to ognisko, lecz skarbiec, gdyż myśl i serce Chin, rozdrobnione na miliony cząsteczek, spoczywają i pracują po wsiach. Dlatego to można zawojować i zniszczyć miasta chińskie, ale niepodobna zmienić i zniszczyć Chin.

Za wskazówką doktora udałem się do „Hotelu Mukden”, jedyne w mieście. Była to dziura tak obmierzła, brudna i cuchnąca, że czempredziej się cofnąłem. Przypuszczam, iż żadna chińska oberża nie byłaby mogła przewyższyć niechlujstwem tego pokoju, który mi pokazali. Innego nie mieli gdyż pozostałe trzy zajmowali „artyści”. Wychożąc z hotelu, usłyszałem rozmowę, która ostatecznie wyjaśniła mi sytuację.

— Ach, to pan! Myślałam, że pan już nie przyjdzie... Mężczyźni tak są zmienni...

Wojska opuszczały miasto. Wywołało to dużo ruchu i zamętu. Pałac cesarski był już zapieczętowany i zwrócony Chińczykom. Aby go zwiedzić, musiałem uzyskać specjalne pozwolenie władz wojskowych i dnia-dziunia (gubernatora).

Nim to nastąpiło, włóczyłem się po rozmaitych dzielnicach miasta, zatrzymywałem przed kupami pomarańcz, od których biła żółta łuna jaskrawa, zaglądałem do warsztatów złotników, gdzie na drżących listkach złota i srebra zręczne ręce chińskie naklejały barwne piórka ptasie i śliczną emalię; zachodziłem do kuźni, do warsztatów stolarskich, garbarni, farbiarni, tkalni. Wszędzie proste niezmiernie narzędzia, wielka zręczność i wielka pracowitość robotników. Każdy pracuje w domu; większych zakładów mało. Fabryk nie widziałem wcale. Wiem, że są dwie fabryki porcelany, że są gorzelnie i fabryki broni, widziałem nawet w Cycykarze porzuconą mennicę z wysokim kominem... ale wszystko to dotychczas wcale nie wpływa na charakter pracy i przemysłu Chińczyków. Znalazłem to, o czym wiedziałem oddawna z opisów — Chiny, państwo wieśniacze i rękodzielnicze. Zauważyłem jedynie w wystawach sklepowych bardzo dużo wyrobów europejskich oraz zupełny

brak dobrych obrazów, rysunków, przedmiotów chińskich... Wszystko to wykupiono, zabrano i wywieziono do Europy. Za pozostały brak zakupnie żądają szalonych sum...

Zwiedziłem znakomite świątynie, między innymi słynną świątynię „Sądu ostatecznego“, gdzie liczne figury wyobrażają losy, czekające grzeszników. Wydało mi się, że słyszę opis tego „sądu“ w jakimś zapadłym polskim kościółku: płaczą baby, wdychają chłopci... mimo to grzech uparcie gnieździ się w ich sercach.

Kazałem się zaprowadzić do świątyni „Nieba i ziemi“, zwanej tu „Phy-tha-ten-ty-fo“, ale to nie była ta świątynia, której szukałem. „Daj-miao“, chińska świątynia narodowa, gdzie cesarz odprawia nabożeństwo. Była to zwykła, nawpół rozwalona buddyjska świątynia z olbrzymim strasznym czerwonym „Gniewnym Buddą“ na ołtarzu. Bóg trzymał w objęciu kobietę i był otulony żółtym płaszczem, który zresztą za kilka groszy zgodził się bonza usunąć. Po obu stronach ołtarza na ziemi stały wielkie drewniane i gliniane malowane figury geniuszów i demonów. Równolegle z ołtarzem na kilkunastu stopniach stało kilkaset wyobrażeń Buddy. Bonza mówił, że ich jest 1000.

Świątynia była niewielka, niegdyś pewnie ładnie utrzymana i odwiedzana, obecnie w zanie-

dbaniu; murowane ogrodzenie rozwała się, skrzydła boczne z glinianymi figurami rozpadły się. Pozostały jedynie piękne sosny i bardzo piękny pomnik starożytny, gdzie na marmurowej tablicy, niesionej przez wielkiego kamiennego żółwia, spisana była cała kronika.

Pomnik, według słów przewodnika i miejscowego bonzy, był postawiony za dynastji Min, jak również piękny pomnik ze lwami i banią na wierzchu, stojący obok świątyni. Pomnik ten bardzo mi kształtem przypominał mongolskie „obo“. Tak sam pomnik widziałem i bliżej pod miastem. Chińczycy zwą je „tatarskimi“, a świątynię, którą oglądałem, „mongolską“. Leży ona o dwie wiorsty przeszło za miastem, niedaleko drogi, wiodącej do grobowców cesarskich (bliższych).

Znacznie ciekawszą wydała mi się świątynia „Lisa“ u południowo-wschodnich wrót miejskich, w malowniczym, zacisznym zakątku, gdzie z murów zwieszają się stare drzewa, gdzie niema ani kramów, ani przechodniów, tylko roje dzieci bawią się nad brzegami samotnej sadzawki. I w tej świątyni znalazłem to samo, co w cecykarskiej: na podwórku i w portyku wrót dużo tablicie dziękczynnych. W głębi wyłożonego taflami podwórka, w małym budyńeczku, stał ołtarz, przed nim naczynia buddyjskie, lichtarze, emblematy buddyj-

skie (ale nie wszystkie) i wielka czasza miedziana z popiołem, do wtykania zapalonych świeczek z drzewnego rdzenia. Towarzyszący mi oficer chiński. Ciuj-szań-siań, wcale przyzwoity, miły i ogładzony chłopak, który służył mi za tłómacza, ukląkł przedewszystkiem w świątyni, trzykrotnie czołem uderzył przed ołtarzem, poczem wrzucił pieniądze do skrzyneczki, wziął pęczek świeczek, zapalił je, znowu czołem uderzył, przyczem obecny bonza uderzył w bęben; potem bonza podał memu oficerowi naczynie z drewnianymi bierkami. Temi bierkami oficer potrząsał, potrząsał, aż wypadła jedna na ziemię. Wtedy, według znajdującego się na niej napisu, bonza odszukał odpowiedni listek w zeszytach wyroczni, wiszących koło wejścia na prawo.

— Długo będzie—powiedział z westchnieniem Ciuj-szań-siań.

Poprzedniej nocy okradli biedaka, i teraz oto chciał się dowiedzieć, jak rzeczy znaleźć. Wyrocznia ciemna, jako jej przysłało, obiecywała dać wskazówki dopiero w lecie.

O Lisie (Chu) Ciuj nic mi nie umiał powiedzieć; twierdził, że to nie buddyjski święty.

— Był sobie taki lis, który nikomu nie złego nie zrobił i za to został człowiekiem — objaśnił mię wreszcie.

Za to pomógł mi Ciuj wystarać się o obrazy „Pięciu braci lisów“; były to bardzo poważne osoby z chińskimi twarzami i w chińskich strojach; z „Lisa“ nie zostało śladu. Choć nie: został drobny ślad; szperając po kątach i zaułkach świątyni, znowu znalazłem z boku w ścianie podobiznę nor lisich, pełnych ofiarnego popiołu.

Podobno w świątyni, leżącej w pobliżu Portu Artura w Ciń-szou-tin zachowują jako relikwie czerep zwierzęcia. Są to ciekawe zabytki kultu, niegdyś szeroko rozpowszechnionego w tym kącie Wschodu.

Jest on w Korei, jest w Japonii, gdzie w każdej prawie szintojskiej świątyni można znaleźć kapliczkę „Cie-nia“ „Szoriczi-inali (dziń-sia)“ ¹⁾ z dwoma co najmniej posążkami lisa (ki-cu-ne). Czasami jest ich tam bardzo dużo na małym drewnianym ołtarzyku w szafeczce, cały tłum listków rozmaitej wielkości z porcelany, bronzu, złoczonej gliny i drzewa.

Nazajutrz zwiedziłem pałac cesarski, a raczej jego ruiny. Kryty polewaną żółtą dachówką, su-to ozdobiony laką czerwoną, niebieską, zieloną, złoczoną, rzeźbioną, ze ścianami wyłożonemi śliczną majoliką, musiał on niedys stanowić piękny

¹⁾ Dziń-sia, świątynia.

okaz chińskiej architektury. Obecnie wszystko to opadło, pokruszyło się, poblakło; obszerne dziedzińce gęsto porosły zielskiem koleczastem; lwy kamienne potraciły nosy, majolika połupała się, laka poczerniała. Nawet piękna baszta „Feniksa“ wygląda jedynie jak zrudziały szkic ślicznego pawillonu. Wewnątrz pusto: śmieci, opadłe tynki, kurz. Cenne przedmioty: rękopisy, obrazy, odzież, insygnia i regalia, zamknięte w pudła, spoczywają w szafach, niby w sarkofagach. Nikt z nich nie korzysta, nie widzi ich, tleją zwolna, nie słysząc nawet głosów ludzkich, gdyż nikt tu nie chodzi, z wyjątkiem dzień-dziunia, który z obowiązku to czyni raz na rok. Teraz na chwilę wydobyły je nazewnątrż ręce zdobywcy, i znów obecnie opisane i ponumerowane, pokładły się na dawne miejsce, umierać w spokoju.

Są tu cenne portrety najstarszych protoplastów panującego obecnie domu, są śliczne naczynia z nefrytu, porcelany, bronzu, albumy starych monet, sięgające niepamiętnych czasów... Biblioteka pełna ciekawych dzieł, wszystko marnieje bez użytku w starym pałacu, gdzie zaciekają sufity i wał się ściany. Szczury jedynie mają wielkie używanie.

Smętne myśli przychodzą do głowy, gdy się patrzy na tę byłą wielkość. Gdy wyrzały na mnie

z mroku wspaniałe, złożone smoki Nurchaciego, odtworzyłem sobie w myśli czasy, gdy tu roilo się od dygnitarzy w jedwabiach i złotogłowi, gdy nieci polityczne połowy Azyi tu się zbiegały, gdy chińscy posłowie Hań-ciuń prosili o pomoc, nie mogąc sami dać sobie rady w domowych rozterkach, gdy bitne wojsko mandżurskie obradowało na placu „Ośmiu Znamion“ przed okrągłym pałacem. W bibliotece, skąd śliczny otwiera się widok na zamglone miasto, władca naradzał się z mędrkami, pytał o wskazówki, kazał szukać w księgach i mapach. W pałacu „Feniksa“ i w niewielkim głęboko schowanym ogrodzie, pełnym obecnie zeschłych liści i rumowisk, pod cieniem olbrzymich ilm, po ścieżkach ustrojonych kwiatami, błędziły księżniczki, cały harem bladych i wiotkich piękności... Nie przypuszczały pewnie, że z czasem będzie tu chodził barbarzyńca i myślał o nich, a wokoło będzie ruina, pustka, śmierć... i że śmierć zajrzy w samo serce dynastyi.

— Nie chcemy jej — mówił mi z gniewem ukształcony, rozumny Chińczyk: — ona gubi nas, sprzeciwia się wszelkim zmianom. Ale cóż? Europejczycy ją podtrzymują. Oni chcą nas w ten sposób zgłębić...

— Wszystko mamy, wszystko! Nie mamy je-

dynie... człowieka! — powiedział mi na rozstaniu poczciwy Ciu-j-szań-siań.

To właśnie jest bolesne w tym zgonie, że lepsi Chińczycy go odczuwają. Jak zwykle w chwilach rozkładu, nastąpił zupełny upadek cnót obywatelskich. Powiadali mi ludzie, dobrze o tych rzeczach poinformowani, że w Chinach niema obecnie nieprzekupnych dygnitarzy, że sam Li-chungczang był nieraz przez rozmaite państwa opłacany, że wprowadzenie reform byłoby powitane przez większość ludu radośnie, ale reform tych nie wprowadzają, a natomiast wprowadzają nowe podatki i nadużycia. Lud, obciążony podatkami, ucimieżony, odzierany przez swoich i obcych, burzy się; patryoci snują rozpaczliwe plany... powstają co chwila nowe spiski, organizują się częściowe powstania. Potężny naród, zapracowany i zajęty po wsiach, burzy się i kołysze kiedy niekiedy, jak ocean, i jak ocean nie jest zdolny wyjść z brzegów, stworzonych przez własną historię. Zerwać ich niepodobna: trzeba je z mazołem i męką przerobić. Gdyby Chińczycy nie byli zmuszeni podlegać zewnętrznyemu wpływowi, przeróbka taka nie przeraziłaby ich; ojczyzna ich tyle już przeniosła zmian, przetrwała burz... ale w takich warunkach słabnie i wiara w przyszłość, odwaga i ochota do pracy.

Wogóle Chińczycy przedstawili mi się bardzo

sympatycznie, i ze stosunków z nimi wyniosłem dla nich współczucie i szacunek. Lud prosty jest wesół, życzliwy i sprytny; inteligencya posiada wysokie wyrobienie towarzyskie, z nadzwyczajną łatwością i subtelnością odczuwa ruchy duszy swego gościa, nawet cudzoziemca, i stara się je uszanować.

Po zwiedzeniu pałacu byłem u pewnego generała i poznałem całą jego miłą rodzinę. Z całą uprzejmością pozwolił mi zwiedzić swój dom, nawet dalsze podwórze i pokoje, gdzie poza przykniętymi oknami migały cienie młodych kobiet.

Nazajutrz byłem z wizytą u generał-gubernatora (dziań-dziunia). Upředzono mię, abym nie zdejmował czapki i wierzchniego odzienia. Nie dostrzegłem zresztą żadnych śmiesznych ceremonii, przeciwnie, wszystko odbyło się nadzwyczaj prosto, a te drobne odmienne szczegóły chińskiej etykiety, jak: własnoręczne podanie herbaty, ukłon z zaciskaniem pięści i t. d., wykonane były z takim wdziękiem i zręcznością, że nie powstydzilaby się ich najbardziej dystygowana europejska dama. Gdym odchodził, siwy i poważny dygnitarz odprowadził mię nietylko do drzwi, lecz nawet do bramy, choć go usilnie prosiłem, by tego nie robił, a uczynił to z taką uprzejmością, że wyglądało to nie na paradę, lecz na istotną chęć pozostania

ze mną i pogawędzenia jak najdłużej. Rozmowa oczywiście krążyła dokoła... architektury pałacu, jego starożytności etc.

Żał mi uprzejmego generała, gdyż słyszałem, że w Pekinie nie są zadowoleni z jego rządów, szczególnie z przeprowadzenia linii kolejowej koło samego Mukdenu, gdzie są groby cesarskie. Mówili mi Chińczycy w Mukdenie, i potwierdzono to gdzieindziej, że po odejściu wojsk z Mukdenu wezwą go do stolicy, co się nigdy dobrze dla dygnitarzy nie kończy... ¹⁾

Pozostały mi jeszcze do zwiedzenia cesarskie grobowce, które po zwróceniu ich Chińczykom są równie, jak pałac, niedostępne dla Europejczyków. Leżą one o pięć wiorst na zachód od miasta, w ślicznym lesie sosnowym. W bezleśnej naglej równinie już samo tak duże zbiorowisko ogromnych drzew robi wspaniałe wrażenie. Gdym się znalazł w długiej alei niebotycznych sosen, zielonych, jak malachitowe kolumny, od porastających je glonów, i gdy doleciał mię mistyczny szum ich dalekich koron, mimowoli zacząłem stąpać ostrożniej po wyłożonej płytami drożynie, prowadzącej ku sarkofagom.

¹⁾ W marcu roku bieżącego po wypowiedzeniu wojny przez Japonię depesze doniosły, że mukdeński dziań-dziui zmarł śmiercią gwałtowną, prawdopodobnie otruty.

Aleja była długa, zupełnie prosta, jak myśl o śmierci, z wąską nitką błękitu wśród konarów w górze. Na końcu jej stała piękna pagoda, a raczej wrota, mające na rogach rzeźbione dziwacznie obeliski, ukryte w klombach drzew. Stąd szło się w głąb, ku właściwemu mauzoleum. Był to obszerny, starannie brukowany dziedziniec, otoczony grubym, wysokim, zębatym murem, z pięknymi na rogach pagodami, ze śliczną bramą wejściową. Mały, wzniesiony na stopniu budynek stał wewnątrz przy ścianie przeciwnie. Budynek był zamknięty, i klucz miał dziań-dziuń, który tu co rok przyjeżdża się modlić. Była to kapliczka z tabliczkami cesarskich przodków, podobna do wielu innych. Znacznie ciekawszy był mur z tyłu poza nią, stojący przed otworem katakumb i chroniący je od złych wpływów (feg-szui), podobnie jak u żywych chronione są w domach wszelkie drzwi i okna. Ozdobiony prześlicznymi rzeźbami smoków i zwierząt, złoconych i majolikowych, wznosi się on wysoko ponad kapliczkę. Smoki wszystkie były na złotych łańcuchach — ostrożność niezbędna, skoro dwa smoki sąsiadują z sobą.

— Inaczej pobijają się, i z tego może wyniknąć wiele kłesk i nieszczęść — objaśnił towarzyszący nam wszędzie Chińczyk.

Po zrujnowanych schodach kamiennych weszliśmy na mur i, idąc wokoło, dostaliśmy się na szczyt właściwego grobowca. Sądzę, że jedynie piramidy przewyższają wspaniałością tę górę ziemi usypaną nad drobnem ciałem śmiertelnika. Murowany z olbrzymich głazów czworobok, wysoki na 10 prawie sążni, 60 długi i tyleż szeroki, wypełniono ziemią. Na tej podstawie wznosi się równie, jak ona, wysoki kurhan, okrągły, pokryty z wierzchu cementem dla ochrony od deszczów. Na nim rośnie kilka krzywych ilm. Był to kawałek północnego mandżurskiego stepu, wzniesiony wolą władcy nad ziemią i oddzielony od świata — miejsce, usposabiające do dumań i wspomnień o kolebce i namiotach praojców.

Poza grobowcem cesarza, w gaju, ciągnie się łańcuch formalnych wzgórz, lasem porosłych. Wszystko to są sztucznie sypane pagórki i osłaniają półkolem grobowiec.

Od grobowca wróciliśmy znowu do wyjścia, które jest jedno, a stąd poszliśmy do słynnej marmurowej bramy głównej przez niemniej słynną aleję kamiennych zwierząt: słoni, wielbłądów, koni, renów i dzików.

Pierwsza brama prowadziła za mur. Miała śliczny dach i śliczne ozdoby ze smoków w kształ-

cie medalionów majolikowych, płaskorzeźbionych, żółtych, zielonych... Od tej bramy po szerokich schodach szło się na dół ku drugiej bramie marmurowej, całej rzeźbionej w delikatną koronkę. Trudno oddać wrażenie lekkości, powietrzności prawie tej doskonałej budowli, która jakby zapraszała, wabiła przychodnia do wejścia po schodach, wiodących poza nią ku górze, gdzie cicho szumią sosny...

Ile razy dostrzegłem później zamysłonych Chińczyków, owo dziwnie smutne, właściwe im spojrzenie, spojrzenie narodu mądrego, który dużo w swem istnieniu przebolewał i przedumał, tyle razy wspominałem tę wytworną, lekką bramę, wiodącą ku wieczności, te pokruszone, strzeżone przez lwy schody i czarne, ciche sosny w górze...

Piąta wystawa powszechna
w Japonii.

Piąta wystawa powszechna w Japonii.

Osaka, gdzie urządzono piątą z kolei powszechną wystawę japońską ¹⁾, jest jednym z najbardziej przemysłowych miast Japonii. Ma doskonałą komunikację wodną i lądową nie tylko z różnymi częściami kraju, lecz i z całym światem, gdyż leży nad śródziemnem Japońskim morzem, przy ujściu rzeki Sogawaty, wypływającej ze słynnego, górskiego jeziora Biwa. Miasto, zbudowane na wyspach, przecinają liczne kanały z pięknymi, żelaznymi i murowanymi mostami. Ulice dość wąskie, niebrukowane, lecz szosy, jak wszędzie w Japonii. Mimo to, dzięki starannemu utrzymaniu i ciągłemu polewaniu, niema prawie kurzu. Wo-

¹⁾ Pierwsza w 1877 r., druga w 1881 r. i trzecia w 1890 r. odbyły się w Tokio, w parku Ueno, czwarta w Kioto, najstarszym mieście japońskim.

zów Japończycy używają rzadko, ciężary i ludzi wożą zwykle na ręcznych wózkach, a tam, gdzie dowóz ciężarów jest większy i stały, budują natychmiast kolej. Z gór dowożą ciężary na jucznych koniach i bawołach.

Według spisu ludności z 1898 roku Osaka posiada 921,000 mieszkańców i dokonywa obrotów handlowych na 500,000,000 jenów ¹⁾ rocznie. Miasto składa się z parterowych lub jednopiętrowych zwykłych, japońskich domów, i choć ściśle zabudowane, zajmuje ogromną przestrzeń. Gdym z murów starożytnej twierdzy O-sziro spojrzał na miasto, przedstawiło mi się ono jako morze szarych dachów z tysiącami powiewających nad nimi barwnych chorągwi i setkami kominów fabrycznych. Patrząc na te kominy, przez których dym z trudnością przebłyskiwał na widnokręgu błękitno-srebrny pas morza, pomyślałem sobie, że Japonia zadała kłam wszelkim teoryom ekonomicznym i w 50 niespełna lat zrobiła skok od feudalizmu i naturalnego gospodarstwa do kapitalizmu z bajeczną łatwością. Ponieważ znałem już nieco ogromnie rozważny i praktyczny charakter Japończyków, więc zdanie, słyszane w Europie, że Japonia robi to wszystko „przez naśladownictwo“,

¹⁾ Jen - 98 kop.

wydało mi się wysoce zabawnem. Z tego też względu byłem bardzo ciekawy wystawy japońskiej.

Aby dostać się z małego drugorzędnego hotelu „Nippon Kitakama“ na wystawę, musiałem przebyć całe prawie miasto. Porównanie tego drugorzędnego hotelu z naszymi pierwszorzędnymi tak dalece wypadłoby na niekorzyść tych ostatnich, że wolę się w nie nie wdawać. Zaznaczę jedynie, że w Japonii wszyscy codzień się kąpią, i dlatego nawet usmoleni i zabrukani przy pracy ludzie nie robią wrażenia brudasów; czystość panuje wszędzie wzorowa; nawet w ubogich zaułkach, gdzie ciasnota i zajęcie bardzo utrudniają ludności schludność, nie widziałem nigdzie tego obrzydliwego europejskiego brudu, który narasta bez przeszkody warstwami w ciągu całych lat. Tu miotła i woda *wciąż* są w robocie, nie zaś sakramentalnie *raz na dzień*. Gdy tylko kobieta, mężczyzna lub dziecko mają chwilkę wolnego czasu, biorą miotłę i przedewszystkiem zmiatają śmiecie, jeżeli je zostawili. Japończycy organicznie nie znoszą śmieci. Następnie nie znalazłem dotychczas ani jednego Japończyka lub Japonki, którzyby nie umieli czytać i pisać (a umyślnie ich o to pytałem). Nawet ten ubogi „dzinrikisza“ ¹⁾, który ciężko pracuje na chleb

¹⁾ Dorożkarz, który jednocześnie jest koniem.

literalnie dzień cały, gdy ma chwilę wolną, wyciąga z ukrycia gazetę lub książkę i czyta.

Lud prosty, nie mówię już o sferach inteligentnych, jest w obejściu nadzwyczaj grzeczny i miły; tłumy zachowują się nadzwyczaj wzorowo. Widziałem je w czasie wielkiego podniecenia, kiedy przejeżdżał mikado. Lud stał cicho w wielkim porządku, blisko. Zdawało się, że niema entuzjazmu, lecz tłum ten od dziewiątej zrana do pierwszej stał cierpliwie pod pałacem słońcem, aby tylko swego monarchę zobaczyć... Umyslnie obserwowałem stojących; byli to wciąż ci sami: starcy, dzieci, wieśniacy, kobiety z ludu... Gdy siwowłósy, przyjemnej powierzchowności i wielkiej powagi starzec przejeżdżał z uprzejmym uśmiechem, cichy szmer, jak wielkie westchnienie, przeleciał jedynie nad tłumem...

Policja jest grzeczna, usługowa i uważna. Spytany przeze mnie o drogę lub wskazówkę, policjant nie tylko starał się odpowiadać jak umiał najdokładniej, lecz często przeszedł całą dzielnicę, aby mię należycie skierować. Urzędnicy na kolejach, konduktorowie, kontrolerzy, kasyerzy nie udają wielkich panów, uprzejmie odpowiadają na zapytania, dają krótkie, ściśle, rozumne informacje i, skoro widzą bezradność pasażera, pomagają mu chętnie. Widziałem, jak robili to nie tylko dla cu-

dzoziemców, lecz i dla swoich nieraz ubogich podróżnych z trzeciej klasy.

Przechodzeń japoński, spytany o coś, nigdy nie odburknie, choćby się bardzo śpieszył: da najgrzeczniejszą, najściślejszą odpowiedź, na jaką go stać, często napisze na kartce adres lub narysuje plan.

Pociągi nie spóźniają się tu, choć ich jest dużo i ruch na kolejach poprostu zawrotny. Listy nie giną, rzeczy zafrachtowane w całości dochodzą na miejsce. Nikt *nie żąda* napiwków, a tam, gdzie nie bywają cudzoziemcy, *nie znają* ich zupełnie. Zwracano mi nieraz naddatki i pytano: co one znaczą? W miastach portowych oraz w miejscowościach odwiedzanych przez turystów już jest inaczej, lecz wszędzie są taksy, i odpowiedzialność za zepsucie obyczajów całkowicie pada na rozmaitych „głotraterów“. W takich miejscowościach „dzin-rikisza“, w skróceniu „ryksza“, stał się już podobnym trochę do naszego dorożkarza, nie klnie jednak i... nie bije batem pasażera, który mało dał, lecz grzecznie dowodzi, że mu się więcej należy. Nie widziałem dotychczas na ulicach bójki, i choć słyszałem sprzeczki, nie słyszałem przekleństw i wymysłań. Za to często dostrzedz można miły uśmiech, którym Japończyk stara się i siebie i innych wyprowadzić z kłopotu. Zarzucają im, że są przebiegli, chciwi, samolubni... Oni są bardzo rozsą-

dni, oszczędni i wyrachowani... Ale we wszystkim znają miarę, gdyż cecha ta jest jedną z zasadniczych cech nie tylko sztuki japońskiej, lecz i ich życia. Pojęcie o prawach człowieka i sprawiedliwości stoi tu (ile zdołałem zauważyć) o wiele wyżej, niż w Europie. Co zaś do zarzutu samolubstwa, to powiem, że widziałem ofiarne jednostki, lecz nie widziałem ofiarnych ludów. Oby zjawily się ludy choć... sprawiedliwe!

Wracam do wystawy w Osace.

Wziąłem hotelowego „ryksze” i za 25 senów (kop.) pojechałem na drugi koniec miasta o pół mili prawie. Dzień był słoneczny i długa wązka ulica, przez którą jechałem, czarowny przedstawiała widok: tysiące barwnych latarni i chorągwi, przeważnie czerwonych, trzepotało się niewysoko nad nią, zwieszając z dachów i balkonów.

Pod tem świetlanem, tęczowem sklepieniem snuł się tłum ludzi, pędziły lekkie „ryksze”, mięły wielkie, jasne parasole, jaskrawe sukienki dzieci i dziewcząt, wesołe, uśmiechnięte twarze, ciekawie spoglądające na przejezdnych cudzoziemców. Wystawy sklepowe, otwarte, podobne do naszych kramów, świetne sprawiają wrażenie, gdyż wystawione są w nich wszystkie towary; wszystko to w kolorach jaskrawych, słonecznych w malowniczych stosach odrzuca barwne odbłaski na

słoneczną, śmiejącą się, ogromnie kolorową ulicę. Niebo, dzięki nizkości dachów, sklepia się w górze swobodną, obszerną kopułą; nie ma się wrażenia, jakoby się kończyło tuż za krawędzią posępną kamienicy.

W miarę, jak zbliżamy się do wystawy, tłum wzrasta. Plac przed wystawą czerni się od ludzi. Na placu tym, od strony stacyi kolejowej, stoi wielka brama tryumfalna, utkana z wierzchu, jak sukmem, jodłowemi gałązkami; na tem tle zielonem pysznie odbija żółty deseń japoński i cyfry mikada. Tłum wciąż przepływa przez kołowrotki, gdzie kontrolerzy odbierają bilety. Policja stoi gdzie indziej, prawieniedostrzegalna, ale porządek mimo to wzorowy: nikt się nie śpieszy, nie szturcha, nie tłoczy, i ta atmosfera spokoju i pewności przyjemnie działa na przybysza, nie znającego języka i zwyczajów. Wmieszałem się w ten tłum i poszedłem z nim.

Wystawa nieduża, ale bardzo miła. Podłużny plac, ozdobiony pośrodku trawnikiem i kwiatami. Z białego pawilonu, oświetlonego wieczorem elektrycznością, lały się wodospady. W dali, na górze, wśród klombów zieleni białął Pałac sztuki, a przed nim olbrzymia postać Kwannon—bogini miłosierdzia z dziećmi, bawiącemi się u jej stóp. Był to

piękny wodotrysk, szczególnie efektownie wyglądający w nocy przy świetle elektrycznym.

Wszystkie budynki wystawowe białe, z gęsto powiewającymi nad nimi białymi japońskimi chorągwiemi z czerwonym „wschodzącym słońcem“. W pierwszym gmachu na prawo od wejścia mieścił się dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa, po drugiej stronie naprzeciw pałac przemysłu.

Udałem się tam przedewszystkiem. Chciałem sprawdzić to, co mi mówiły o przemyśle japońskim nieprzychylne usta. Nie będę opisywał poszczególnych działów; byłoby to długo, i nudnie, i nadaremnie. Powiem jedynie, że najświetniej przedstawiał się dział tkanin. Tkaniny były wogóle piękne, nadzwyczaj tanie, a jedwabie niektóre wprost zadziwiającej piękności. Nie jestem kobietą, a jednak czułem, że mógłbym się zrujnować na te śliczne, wzorzyste, zda się z powietrza i barwy utkane zasłony. Jedwabie japońskie pod względem koloru, rysunku i taniości stanowią na całym świecie stoją poza konkurencją. Powiadają, że chińskie są lepsze i trwalsze. Być może, ale nie widziałem jeszcze chińskich tak ładnych.

Drugi dział wystawy bardzo poważny był garncarski: porcelany, fajansu, zwykłych glinia-

nych wyrobów, majoliki i nareszcie pysznych „cloisonné“, które już należą do emalii. Już to jednej rzeczy długo starczy im na wywóz, mianowicie artystycznego smaku. Słusznie zwa Japonię „Włochami i Grecją Wschodu“. Mam nadzieję, że Japończycy będą umieli ten skarb swój ustrzedz od zepsucia, choć widziałem na wystawie rzeczy o barwach i kształtach już skażonych, trącających tandetą europejską. Zdaje się, że ma ona popyt właśnie pośród Japończyków.

Oglądałem pilnie słynne laki japońskie, których dużo było na wystawie, lecz wyznaję, że piękności ich nie odczuwam, na trwałości się nie znam—sądzić więc o nich nie mogę.

Najsłabiej reprezentowane jest górnictwo. Wprawdzie dość dużo było okazów kamiennego węgla, koksu, ciosowych kamieni—granitów, marmurów, lecz znać było, że metalów, a więc podstawy współczesnego przemysłu Japonia ma mało. Żelaza posiada, zdaje się, jedną tylko kopalnię; ruda jest w dobrym gatunku i daje dobry materiał, ale go jest mało.

Dział chemiczny przedstawiał się już o wiele lepiej, i przypuszczam, że Japończycy przy swym sprycie, dokładności i zręczności mogą go utrzymać na wysokim poziomie.

Bardzo ładne były i w dobrym gatunku wyroby papierowe i skórzane, które zadziwiają swą taniością. W tych działach często można zobaczyć rzeczy, należące pięknoscią formy, barwy i delikatnością wykonania do przedmiotów sztuki. Sławne są wyroby z wyciskanej skóry.

Z działu przemysłu poszedłem do działu szkolnictwa, który stoi tuż obok. Dział jest wybornie ułożony i bardzo bogaty. Dziwił mnie ogromny tłok, jaki tu panował. Przypomniałem sobie, jakimi pustkami świeci ten dział zwykle na innych wystawach i jak bywa po macoszemu traktowany. Wszędzie na ścianach mapy, tablice, diagramy, na ważniejszych i angielskie napisy. Właściwie cała wystawa miała wychowawczy, domowy charakter. Wszędzie objaśnienia, wszystko ułożone w kolejke logiczne i mniej więcej zakończone. A Japończycy nie omieszkali z tego korzystać: wszędzie widziałem dużo osób, szczególnie młodzieńców, skrętnie zapisujących spostrzeżenia w notesach.

Dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa przedstawiał się wspaniale. Ułożony był wprawdzie geograficznie—wszystkie produkta danej miejscowości razem — co specjalistom utrudnia bardzo porównanie, ale dla publiczności miało o wiele więcej znaczenia. Tłum był też w tym gmachu, przeważnie ludzie prości, kobiety z dziećmi na plecach,

wyrostki, uczniowie szkół. Ile tu gatunków zboża! Jaka moc odmian grochów! Jaki piękny ryż—słuszną chluba Japonii, gdyż jest najlepszym na świecie...

W dziale rybołówstwa—modele statków, nici, konserwy z ryb. Japończycy mało używają mięsa; stąd płynie drożyzna ryb i ciągły ich brak pomimo obfitości łowów na morzu i rzekach.

Bardzo szczegółowo było przedstawione jedwabnictwo. Wszędzie tablice statystyczne oraz zielniki roślin pożytecznych, roślin szkodliwych, okazy szkodliwych owadów, mikro-organizmów, ptasich i czworonogich szkodników, krótki opis ich życia i sposobów walki z nimi.

Dział machin najmniej imponująco wyglądał. Dział zwierząt domowych, których w Japonii wogóle mało, jeszcze słabiej.

Na wypoczynek poszedłem obejrzeć „Pałac sztuki“. Nie silę się na oddanie tych artystycznych wrażeń. Widziałem tam płaskie hafty, wyszyte kolorowym jedwabiem tak pięknie, iż myślałem, że ceny poprostu nie mają. Tymczasem *najdroższe*, jakie pamiętam, kosztowały 5,000 jenów. Pyszna była głowa lwa, gdzie układ nitki naśladował doskonale układ włosów i grzywy.

Japończycy, wyborni akwareliści, subtelni znawcy linii i koloru, tracą te przymioty z chwilą

gdy biorą do ręki paletę i farby olejne. Te ich olejne obrazy, które widziałem na wystawie, to szereg brudnych, nieudolnych płócien, jakich powstydziliby się każdy uczeń malarstwa. Jakże rażąco odbijają one od takich obrazów, jak widok Fudżijama, wystawiony na schodach, lub choćby małego drobiazgu, ocenionego na 50 jenów, a przedstawiającego dziewczynę patrzącą w zamyśleniu na pajaka. A ile tam wśród tych akwarel i haftów ślicznych ryb, zwierząt, kwiatów, wdzięcznych „muś-me“, zabawnych dzieci! Jacy rycerze na koniach! Jacy natchnieni starcy! jakie krajobrazy! Na co ludziom, którzy umieją tworzyć takie rzeczy i wydobywać wodnemi farbami tak silne efekty, babrać się w oleju i terpentynie?

Kilkakrotnie zwiedzałem Pałac sztuki, i zawsze wypraszano mię z niego ostatniego; posługacz, który salę obchodził, już mię znał i, potrząsając swym dzwonkiem, uśmiechał się życzliwie, jak gdyby przepraszając, że nie pozwala mi się dłużej cieszyć areydziałami swoich rodaków.

Po pięciu minutach musiałem opuścić Osakę i wystawę. Zbyt krótko byłem, abym mógł wypowiedzieć o niej jakiś sąd poważniejszy. Wyniosłem z tego pobytu wrażenie, że Japonia posiada ogromny rynek wewnętrzny, który słusznie bardzo jest głównym przedmiotem troskliwości rządu i społe-

czeństwa. Wszystko tu rozumnie jest skierowane ku potrzebom, wygodzie, zdrowiu i oświeceniu szerokich mas ludowych. Nie są one dodatkiem i podnóżkiem dla innych sfer, lecz są celem ich istnienia i ich pracy. Japonia dąży rozsądnie do zadowolenia własnymi siłami wszystkich swych potrzeb, stara się więc wszystkie przedmioty, dostarczane jej przez Europę, wyrabiać na miejscu, co z mniej lub więcej dobrym skutkiem jej się dotychczas udaje. Stąd szybki rozwój jej przemysłu. Ale Japonia ma mało metalów, brak jej żelaza i nafty. Dlatego to sfery rządzące dążą do zabrania Korei, dlatego to, zupełnie zresztą bezpodstawny, strach bankructwa i usiłowania o zwiększenie za jakąbądź cenę wywozu. Dotychczas import przewyższa eksport ¹⁾. Według mnie, jest to oznaką zamożności i zwiększającego się bogactwa ludu, lecz fachowi finansiści inaczej o tem myślą.

Przykre robi wrażenie w Japonii wojowniczość gwałtem wszczepiana ludowi z natury już wojownicemu. Dzieci w szkołach mustrują się i ma-

¹⁾ Import w 1896 r. 180,035,189, w 1897 r. 261,390,156, w 1898 r. 324,760,910, w 1899 r. 229,058,767, w 1900 r. 313,358,225 jenów.

Eksport 1896 r. 118,052,631, w 1897 r. 163,574,496, w 1898 r. 166,198,521, w 1899 r. 218,331,970, w 1900 r. 209,562,900 jenów.

szerują, śpiewając hymny wojenne. To wpłynie bezwarunkowo ujemnie na charakter narodowy, lecz Japończycy są pod tym względem tylko pilnymi uczniami Europy. Patrząc na małych bębnow, maszerujących z karabinami na ramionach, żal mi było tych duszyczek wesołych, dobrych, łagodnych, zaprawianych do mordów, lecz jednocześnie pomyślałem, że rośnie z nich potęga.

Przy wielkiem uświadomieniu, patryotyzmie i bitności Japończyków, walka z nimi nie byłaby łatwa nawet dla najpotężniejszego mocarstwa. Stanęliby wszyscy jak jeden mąż...

DWIE WYCIECZKI.

I. Volcano Bay.

Z Hakodate, jednego z południowych portów wyspy Jesso, do Muororanu, drugiego południowego portu tejże wyspy, parostatek pocztowy odchodzi co wieczór o godzinie dziesiątej. Większe statki zatrzymują się dość daleko od brzegu, skąd widok na miasto prześliczny. Rój światel miejskich, rozsypanych na stromych zboczach górzystego przylądka, wygląda w ciemnościach, jak stado świetlików, zapadłych w gęstwinę spiętrzonego lasu. Co chwila od tego roju oddzielają się drobne ogniki i lecą nad słabo połyskującym morzem wśród ciemnych plam śpiących na kotwicach okrętów. Skoro ogniki te wpadną w smugi rzadkich, sączących się z parostatków światła, widać, że to są latarki sampanów, wiozących ludzi i towary. Umieszczona u rudla latarka ma zielone szkła od strony wody a malinowe od wnętrza łó-

dzi i mieni się przy zwrotach, jak dwuskrzydły motyl. W słabym jej blasku mającą splątane, brązowe członki pracujących wiosłarzy, migają rękojeści wiosel, bieleją rąbki rozpiętych nad nimi żagli, czerniejących na mrocznym tle nieba, niby ogromne nietoperze skrzydła, wzniesione i ostre.

Oto jeden z sampanów przybił do naszego parowca. Plachta napiętego żagla obwisała, w dole i w górze zagadali ludzie, zazgrzytały bloki, dzwielekły łańcuchy, zagwizdały sygnałowe świstawki. Wielkie, kwadratowe paki, schwyte szponami lewarów, bujają u boków okrętu w słabym świetle ognia, bijących z szeregu okrągłych kajucianych okien. Po schodkach tymczasem wstępuje na pokład procesja ciemnych postaci. Każda niesie węzelek, parasol i ogromne białe jaje papierowej latarni, rozświetlonej z wewnątrz mdłym światłem świecy. Na pokładzie latarnie zostają złożone, gasną wkrótce, a pasażerowie, zrzucając klekocące, drewniane sandały, nikną cicho w jasnych lukach statku.

Jęknął wreszcie dzwon okrętowy, wydzwaniając dziesiątą, zapiszczała rozkazująco na mostku kapitana piszczałka, z pod pokładu na dziobie wyskoczyli majtkowie, zabłyśły światła sygnałowych latarni, poderwanych na szczyt masztu z szybkością rakiety. Zasapały głośniejsze maszyny, zawar-

czał lewar kotwiczny, statek drgnął, i ciemna kita gęstego dymu powiała nad grubym jego kominem. Z sykiem przewinęła się u jego spodu pasażerska łódź parowca. Podniesiono schodki. Z górnego mostku padają coraz częstsze rozkazy. Machina ryczy ochryple, lewar warkocze, ciągnąc kotwicę. Parowiec zaczyna drgać miarowo i sunie.

Na wschodzie, nad chmurą, ku której płyniemy, stoi sierp młodego miesiąca. Chmura spelzła nad samo morze i miesza się z falami, z brzegami, z czarną Hakodacką górą. Płyniemy w głęboką ciemność. Parowiec drży coraz silniej, pochyła się, zataczamy półkole. Wlokąca się za nami smuga czarnego dymu w łuk się wygina na niebie, a pod nią wygina się na morzu biała, fosforyzująca brzoźda naszej drogi.

Oczu nie mogłem oderwać od splotów tej dziwnej piany. Nie jest to mętna piana mórz północnych. Ta piana żyje! W każdej jej kropli płonie błękitna isierka, mieni się, gaśnie, znów błyska, niby blaszka szronu, miotana wichrem w cienkiej smudze słońca. Potem światelko zapada gdzieś w głęb i niknie błękitne, wciąż świecąc w przepaścistych, szafirowych odmętach. Tam, wśród zdziwionych ryb i porostów pada wciąż z pod dna naszego parowca cały deszcz takich gwiazdnych

skier, sunie nad niemi świetlna chmura i oświetla je przelotną błyskawicą.

Nie więcej nie widać. Śliczne okolice Hakodate pokryte nocą. Migają jedynie na morzu czerwone, żółte i zielone ognie majaków. Miejskie światła szybko gasną, wysoka, zlaną z chmurą góra zakrywa je i pożera; zostało ich zaledwie kilka. Nareszcie i te znikły za wyolbrzymiałą do pół nieba skałą. Jedynie skrzą się w niezgłębionym mroku rzadkie ogniki znaków, stróżujących jej niebezpiecznych, ostrych, podwodnych odnoży. Minęliśmy morską latarnię na przylądku Tobec, mrużącą i otwierającą swe żółte oczy z nużącą jednostajnością. Jesteśmy w gardzieli zatoki. Księżyc znalazł gdzieś otwór w obłokach i rzucił płamę srebrnej, drżącej łuski na dalekie wody. Wiatr gwałtowny powiał nam w twarz. Ogromny parowiec zaczyna się mocno kołysać. Fale z szumem uderzają o jego boki. Wciąż nawracamy na lewo, omijając Hakodacką skałę. Mdłe światło miesiąca zgasło. Nie nie widać. W grubych ciemnościach czuć powiew czegoś potężnego i ruch pełen majestatycznej mocy. Słaba to ledwie pieszczota, a jednak statek po potoczystych falach zlatuje, jak łupina, i gwizdzą w wietrze liny okrętowe.

Z dzioba okrętu długo wpatrywałem się w wirujące przed nami ciemności. Jużem chciał odejść,

wtem zaciekał mi błysk nagły i dziwny. Tak błyska uchodząca burza. Ale to nie mogła być burza, gdyż błysk siał się zbyt nisko! Więc to może wulkan Osozeran za cieśniną otwiera swą paszczę? Albo reflektor wojennego okrętu łypie, szukając przemytników? Nie, i to nie. Daremnie siliłem się odgadnąć przyczynę zapalających się dość miarowo, to tu, to tam połysków. Majtek Japończyk stał nieruchomo na warudze, nie odzywając się, jakby mnie nie widział i nie słyszał... Nie miałem kogo zapytać. Pokład był pusty, wszyscy już spali. Zagadka nęciła mnie i trzymała na uwieży, aż jedna z przewleklejszych błyskawic ukazała mi daleko, daleko, potężne, gnące się w falach roztocze... Zrozumiałem, że to fosforyzuje kołysząca się pierś oceanu. Byliśmy w obliczu Pacyfiku.

* * *

Niepodobna prawie uwierzyć, że po tak ciemnej nocy może nastąpić tak jasny i błękitny dzień. Statek zatrzymał się w porcie. Dokoła błyszczała gładka, jak lustro, zatoka. Wokoło zielone góry i skały brunatne. Tuż przed nami, na opoczystem zboczu wyciągnęło się w kilka rzędów miasto Muororan, płowe, jak codzienny „kirimon“ japoński z wesołemi tu i owdzie plamkami barw-

nych ogrodów, znaków handlowych i jaskrawych chorągwi. Na wschodzie, tuż nad morzem, po wązkim gzymsie góry, toczył się kłęb białego dymu: to leciał pociąg w głąb wyspy do Sapporo. Wkrótce przybyła z brzegu łódź zabrała nas na przystań.

Było jeszcze bardzo rano i nie znalazłem na pomoście ani tragarzy, ani „dzinrikszi“. Jakiś chłopak wziął na barki moją walizę i obiecał poprowadzić mnie do hotelu „Maru-iczi“, gdzie miałem się spotkać z misterem B. Skorzystał jednak filut z mej nieświadomości i zaprowadził do własnego hotelu. Napis japoński nie mi nie objaśnił, na pytania odpowiadano mi stanowczo, że tu Maru-iczi. O pomyłce dowiedziałem się o wiele później. Zresztą i w tym hotelu było mi niegorzej. Dano mi śliczny, czystutki pokój z widokiem na morze, z pięknym rysunkiem rozigranych ryb i olbrzymim napisem jakiejś filozoficznej sentencji w rzeźbionej ramie. Mebli żadnych, za to pośrodku duża mosiężna fajerka, kunsztownie cyzelowana, którą natychmiast ładna, czysto ubrana „muśme“ napelniła gorącymi węglami. Druga „muśme“ weszła z tacą słodkiego ciasta, uklękła, uderzyła przede mną czołem i zaczęła ustawiać na pięknych, brązowych spodeczkach wytworne, herbaciane filiżaneczki. Trzecia „muśme“ przyniosła mi dwa

hotelowe „kirimony“, jeden letni jedwabny, drugi również jedwabny, ale watowany. Czwarta „muśme...“ Nie wiem, co zrobiła czwarta „muśme“! Zdaje się, że rozsunała szeroko papierowe ściany i wpuściła do pokoiku moc powietrza i słońca. Rozumie się, że byłem bez butów, ale to nic, gdyż jużem się był przyzwyczaił do tego, iż mi je zdierano przy wejściu do każdego porządnego domu. Istotnie niema sensu chodzić w butach po podłogach lakierowanych, jak nasze biurka, lub po czyściuchnych, ryżowych matach, miękkich jak kołnierze. Gorzej mi dokuczał brak krzesła. Klekałem, siadałem po turecku, po tatarsku, wreszcie kładłem się po rzymsku koło mego śniadania. Nie pomagała ani historia, ani etnografia; poczucie krzywdy nie opuszczało mnie. Wtedy wyjąłem słownik angielsko-japoński, i zaczęła się rozmowa. Zbiegły się wszystkie hotelowe „muśme“, zeszli się wszyscy słudzy i długo obradowali nad tem, czego potrzeba temu barbarzyńcy, mającemu wszystko, czego tylko może zapragnąć wyobraźnia japońska. Wreszcie z tryumfem przyprowadzono młodego Japończyka, który dość biegle mówił po angielsku. Dostałem niezwłocznie wszystko, czego mi brakowało: stół, krzesło, parę jajek na miękko, kawał białego chleba (europejskiego), trochę masła, porcję befsztyku i... chińskiej herbaty. Gorz-

ka, japońska herbata dobra tylko po obiedzie. Podano mi wszystko z wesołym uśmiechem i miłym wdziękiem...

W parę godzin potem przyjechał mister B., a nazajutrz wczesnym rankiem jużemy płynęli po lazurowej „Volcano-bay“ ku tajemniczemu, brodatym Ainom. Z poza zielonych brzegów i dalekich tumanów wysunęły się nagle liczne, kończaste szczyty zagasłych i czynnych „gór ognistych“, okalających zatokę. Kiu-Muororan (stary Muororan) był pierwszą wioszczyną, do której zawinęliśmy w naszej wędrówce. Siedzi on na brzegu morza, wszczepiony w wąską szczelinę, zarosły kędzierzawą roślinnością, gęsto, jak pachy Aina. Tu spędziliśmy dwa dni, podczas których deszcz lał niemiłosiernie. Mierzyłem krajowców, a mister B. grał im na skrzypcach, uczył śpiewać psalmy i żartował sobie ze mnie, wymyślając rozmaite, godne Dickensa, psoty.

Na trzeci dzień, gdy deszcz ustał, przyprowadzono nam konie, i ruszyliśmy dalej. Szeroka, zupełnie przyzwoicie utrzymana droga pięła się początkowo pod górę, przecinając wysoki, lesisty przylądek. Orzechy, dęby, klony i graby, ciemne tuje, sosny i jasna wierzbina, sploty powoju i pnącej się róży, obmyte przez deszcze, lśniące i świeże, mieszały się w gęstwinie przydrożnej, zwiesza-

ły gałązki nad samą drogą, lub chyliły się w stronę przeciwną, nad głęboką przepaścią, w której płynęła rzeczulka i kryła się porzucona przez nas wioska Muororan. Z grzbietu przełęczy w obie strony błyskała daleko błękitna „Volcano-bay“.

Spuściliśmy się ku błotnistym, zalanym wodą polom, gdzie wieśniacy, w ogromnych, jak parasole, stożkowatych kapeluszach, sadzili flance ryżu. Odtąd droga wciąż biegła wśród pól uprawnych, wśród gęstych krzewów czeremchy, traw i ziół rozmaitych i zarośli końskiego szczawiu, wybujałego powyżej głowy jeźdźcy. Wśród soczystej zieleni płonęły jaskrawo wielkie kielichy czerwonych tulipanów o podartych, jak płomień, płatkach, rumieniły się okrągłe czasze karminowych głógów, kupy białych róż bieląły, jak śniegi, pyszne spireje strzelały w górę, jak okiście perłowej piany, a miejscami słały się nisko rozkoszne bukiety koralowej, nieokwitłej jeszcze, spóźnionej kamelii. A w dali błękitniało morze, poza niem wznosił się wysoko krater różowy wulkanu „Uso“, jeszcze dalej siniał olbrzymi, ciemny, zgasły „Sziribeszi“, i ciągnął się, stapiając zwolna z niebem, błękitny łańcuch gór.

Wypoczęliśmy w czystym, ładnym, tonącym w zieleni miasteczku „Mombecu“ i ruszyliśmy dalej. Za miastem sterczał szereg kominów fabrycz-

nych; tłum niebiesko ubranych robotników siedł ku nim. Drut telegraficzny wciąż nam towarzyszył. Mijaliśmy dostatnie, obszerne budynki szkolne, gdzie brzęczały wesoło głosy dzieci; spotykani przechodnie uprzejmie uśmiechali się do nas; kobiety w szarych sukniach, w barwnych, opasujących biodra „obi“, z kwiatami we włosach, niosące na plecach puciołowe dzieci, pośpiesznie ustępowały nam z drogi i czekały cierpliwie, aż je wyminie cały nasz orszak wędrowny, otoczony kłębami kurzu. Biało ubrany policyant z krótką szablą, przechodząc mimo nas, przyjrzał się uważnie, ale nie natrętnie. Wieśniacy, znajomi mister'a B. machali mu z daleka z pól radośnie kapeluszami. A pola rozpościerały się wkoło, jak okiem sięgnąć, coraz lepiej uprawne i coraz rozmaitsze. Długie, niskie rzędy ciemno-zielonego indyga, starannie opielone i obredlone, ciągnęły się równo, jak ogrodowe grządki; jasny, gęsty i wysoki len już błękitniał od rozpuszczających się pączków, pszenica już żółkła, a jęczmień, miejscami zupełnie jeszcze zielony, miejscami zbielał i szumiał sucho w łagodnym wietrzyku, wołając co rychlej o sierp. Pola nieduże, zmieszane, jak z kawałków zszyty kobierzec, wdzierały się wysoko na zbocza, nawet na szczyty pagórków, na których często stały w błękitnem powietrzu barwne figury kobiet i dzieci, pielących chwasty, lub mi-

gał żółty, parasolowaty kapelusz wieśniaka. Łańny kwitnącego rzepaku, wkropione w to morze sfalowanej zieleni, aż w oczy rznąły swą jaskrawą w słońcu pozlota.

Był to zaiste złoty pożar, w którego łunie szczególnie pięknie wyglądały drzewa melancholijnego, smukłego „kirinu“ z dużymi, jakby zwierzynymi liśćmi. Rosły one gęsto, umyślnie posadzone na miedzach koło chat i wzdłuż drogi, wysoce cenione dla swego białego, lekkiego drzewa, z którego wyrabiają sandały i... arfy. Koło chat drobnych, ale schludnych, przykrytych zazwyczaj słomianymi strzechami, widziałem wszędzie drzewa owocowe i dekoracyjne, kwiaty i ogrody z włoszczyzną. Studnie z daszkami, a przed nimi zwykle mata, aby nie było błota z rozchlapanej wody.

Mosty wszędzie całe lub w toku naprawy, gdy były przez rozlew zerwane. A rozlewy tu bardzo częste i bardzo gwałtowne. W miejscowościach, gdzie z gór woda deszczowa zbiegała z wielkim impetem, stało drewniane koryto, chroniące drogę i urwiska od rozmycia. Wiosek nie widziałem, same folwarki. Zazwyczaj chatki stały wśród pól pojedynczo lub najwyżej po trzy.

Większe skupienia domów znajdowały się jedynie nad morzem; były to po większej części wioski rybackie.

Taką była i wioska Uso nad piękną, okrągłą jak staw, szmaragdową zatoczką u stóp ciemnego ze śpiczastym szczytem z różowej lawy Uso. Wulkan palił sobie dobrodusznie „fajeczkę“, puszcza-
jąc biały dymek bocznym kraterem, ale mieszkań-
cy spoglądali nań z pewną trwogą, gdyż parę dni
temu zaczął mruczeć i rzucać na ich pola głazy...

II. Sachalin.

Dzień pogodny, choć zamglony. Morze spokojne gnie się łagodnie w potoczystych, perłowo błyskających falach. Płyniemy cieśniną. Na wschodzie błękitnieje długi ląd Hokkaido (Jesso), na zachodzie ku południowi widać bledszą odeń wyspę Osziri, a ku północy przed nami rozpościera się bezbrzeżne, stalowe u widnokregu, szafirowe w pobliżu morze. Nasz mały, rybacki paróstatek, ciężko naładowany, dyszy z wysiłkiem, jak objedzona ryba i przewala się z boku na bok, prując z trudnością cicho grające tonie.

Na statku sami Japończycy. Ciasna kajuta pełna subjektów handlowych. Mają piwo, wino i wódkę, ale piją umiarkowanie a więcej... czytają. Czyta dużo i nasz „boy“, szczerbaty, rozczochrany, wesoly posługacz, który na wzór lokajów z wielkich okrętów nosi zwiniętą serwetę w bocznej kie-

szeni zakietu. Serweta jest niezmiernie czysta i świeża, gdyż jej nie używa, stale wycierając naczynia, sprzęty, ręce i nos papierem, który następnie puszcza z fantazją na wiatr. Statek od samego rana jest starannie wymyty. Na pokładzie u masztu siedzi na długim sznurku więzień — bury sokół z żółtymi oczyma; opodal w blaszanych pudełkach pływają czerwone, czochrate rybki japońskie, złote karpiki, popielate węgorze i jeszcze jakieś dziwaczne morskie mieszkanki z purpurową pręgą wzdłuż ciała. Na dziobie statku widziałem pod ochroną wysokiej szczyki kotwicznej mały gaicek z kwitnących irysów. Jest to danina marynarzy japońskich, składana ukochanej przez cały ich lud przyrodzie. Czy to majtek wraca ze zmiany, czy palacz wyjdzie na chwilę z maszynowego piekła, aby ochłodzić głowę, każdy pochyli się nad kwiatkiem, zajrzy do rybek, albo podrażni sokoła. Mężny ptak natychmiast dziób rozdziawi, nadstawi szpony i majtek odchodzi uszczęśliwiony i pokrzepiony widokiem ptasiej dzielności.

— W niewoli a z długim nosem (dumny)!... — mówili mi, wskazując jeńca z uznaniem.

Płyniemy wciąż koło zębatach gór porośłych do szczytu kędzierzawymi lasami. Brzeg stromo opada ku morzu. — Nie widać nigdzie ani wsi, ani dróg... Kraj niedawno tknięty kolonizacją i napo-

zór niezamieszkaną. Lecz gdziekolwiek opoka ma przyczołek płaskiego brzegu, zaraz na piaskach i głazach widnieją szare, lubiane domki japońskie; czołenko kołysze się na fali lub łódź płynie po morzu pod rozpiętymi, białymi żaglami. A gdzie brzeg mniej spadzisty, gdzie zgadnąć można z kształtu ziemi, że w wądołach biegnie rzeczulka lub kryje się słodkie jezioro, tam napewno znajdujemy i zielone schody górskich pól japońskich.

Mijamy wysoki przylądek Motta z prostopadłe połupanemi, bazaltowemi skałami. W górze, na ciemnych szczytach bieleją płatki śniegu. Brzeg dziki, skalisty, pełen pieczar i wylizanych bałwanami zakłęśnieć.

Przecinamy dużą zatokę. Łąd poza nami ledwie się odznacza w kształcie mglistej smugi, a przed nami na perłowych rozłogach leżała nisko blade-błękitna nieć przeciwnego brzegu. W miarę jak zbliżamy się ku niemu, uderzają mnie płomienne smugi i siwe dymy rozrzucone po wiszarach. Myślałem z początku, że to pożar lasu, lecz były to tylko odbłaski ukośnych promieni zachodzącego za chmurami słońca.

Parowiec wciąż sapie i dąży z wysiłkiem ku ciemnemu przylądkowi, który wżarł się daleko w jasne, powietrzne i wodne przestworza. Pofał-

dowany, opoczysty brzeg zdawał się cały skupiać w tym kamiennym rylcu. Oblewa go czerwona łuna zachodzącego słońca, które zanurzając się w wodzie zupełnie stało się podobne do znaku malowanego na sztandarze Japonii. Przylądek ma dwa dzioby, jeden z nich kończy się prostopadłem urwiskiem, przed którym już w morzu stoi samotna, podobna do wspiętego niedźwiedzia, skała. Fale rozbijają się o nią i liżą jej boki. Na urwisku widać czerwoną latarnię morską i małą świątynię. Ten cypel to „Kamui-san“, słynny przylądek, poza który do niedawnych czasów nie wolno było przechodzić kobietom. O nim śpiewają w Hakodate do dziś dnia pieśni, i hakodackie gejsze tańczą taniec, wyrażający tęsknotę żony do męża, trzymanego połowem ryb za Kamui-sanem...

Skoro nie mogę być razem,
Zbliżę się chociaż troszeczkę,
Stanę na brzeżku u wody,
U stóp Kamui-sana...

Stąd skierowaliśmy się prosto na otwarte morze.

W oddali samotny żaglowiec leciał naprzelaj z rozpiętymi żaglami. Szare, północne niebo stało się tam z zupełnie szarą wodą i trudno było odróżnić, czy ten uciekający pośpiesznie od ziemi

statek płynie po falach, czy jest nikłym, sunącym w powietrzu obrazem. Tam już panował zmrok zapadającej nocy, podczas gdy myśmy krajali jeszcze płachtę miedzianego blasku, rzuconego przez zachodzące słońce na wodę. Było coś bajecznego w mocno wydętych, wyolbrzymiałych płótniskach żaglowca, w ten cichy wieczór, zaledwie słabym owiewany wietrzykiem.

Tak zapewne wyglądał „Latający Holender“ przed wynalezieniem parostatków.

Wkrótce i jego i nas pochłonięły ciemności nocy.

Na parowcu zapalono światło.

Zajrzałem do jednostajnie huczącego, maszynowego przedziału.

Była to głęboka studnia, opatrzona małymi balkonikami i żelaznymi schodkami bez poręczy. Na dnie jej błyszczały polerowane pokrywy tłoków i ochładzaczy, a niżej pod kratą wciąż ruszały się ze stukiem korby i odśrubowce. Półnaczy Japończycy, palacze, siedzieli na ziemi i, kołysząc głowami, obwiązanymi w białe chusty, śpiewali żalosne, krajowe piosenki. Co jakiś czas jeden z nich wstawał, otwierał drzwiczki ogniska i ciaskał w nie nową łopatę miążskiego węgla lub długim pogrzechaczem poprawiał zarzewie. Naówczas

czerwona łuna wypełniała całą studnię, barwiła brązowe twarze ludzi oraz stalowe członki maszyn i buchała na zewnątrz przez otwarte luki. Na pokładzie nie było nikogo, prócz sternika u rudda i pomocnika kapitana na mostku. Z kajuty służbowej na dziobie dolatywał stłumiony śmiech; w jej głębi, tuż u zejścia, grali w maluchne karty marynarze. W kajucie pasażerskiej subjekci, obiadłszy szczelnie stół, czytali. Dwóch grało w szachy, tem się różniące od naszych, że szachownica ma dziewięć pól, nie osiem, niektóre figury chodzą trochę inaczej i że można przystawiać sobie zabrane przeciwnikowi kostki. Wszystkie kostki są białe, ścięte pochyło w jedną stronę i opatrzone napisem, co która znaczy, a partye kostek różnią się tem jedynie, że stoją pochylone w przeciwnie strony.

Wejście moje odwróciło jednak uwagę zebranych od gry i od książek. Zaczęliśmy gawędę o tem i o owem, o starych czasach, starych obyczajach i starym orężu. Każdy prawie z obecnych umiał trochę po angielsku, a resztę trudności usunął tłumacz. Dowiedziałem się, że najlepsze brzeszczoty wyrabiali w Bizen, że takie starodawne ostrze kosztuje półtora, nawet dwa tysiące jenów (rubli), że zwie się „kot-too“ i że ich obecnie już nie robią.

— Taką szablę kuł majster lat dziesięć, szczycił się nią i wkładał w nią duszę... Teraz szable—inne, ciężkie, nieporęczne... Teraz potrzebna broń ognista...—mówili mi z pewnym żalem.

Ogromnie mi te rozmowy o słynnych orężach, o fehmistrzach, o ich sztukach i podejściach przypominały... pana Gerwazego, Maćka Różgę i innych... Kilku z obecnych było synami „samurajów“—dawnej szlachty japońskiej, która nosiła „dwie szable — jedną, długą, na wroga, drugą, krótką, na siebie, aby umrzeć, gdy należało się wstydzić!...“

Mniej waży dziesięć tysięcy gór,
Niżli rozkaz władcy!
I za jeden włos życiem
Można czasem płacić!...

mówi starodawna pieśń samurajska. Potem śpiewaliśmy znaną piosenkę o sercu japońskiem:

Sziki szima no
Jamato gokoro wo
Hito-towa bo
Asa hini nioo
Jama-zakura hana!

Jeżeli spytasz się
O serce japońskich tajniki,
Wskażę ci wiśni kwitnącej

Kołyszące się w słońcu okiście...
 Jasne i wolne są one—
 Takim jest serce japońskie!

Rozumie się, że zwykłą rzeczy kolejną rozmowa przeszła następnie na miłość, i młodzi ludzie na wyścigi pisali mi wiersze w notatniku:

Umiera noc wiosenna,
 Lecz nie umiera ma miłość.
 Minał znów wieczór,
 Znowu noc nastąpiła głęboka
 I zgasła lampa oliwna
 I leci serce ku Tobie...

O jakże słodko dźwięczy srebrne „kanzaszi“ w Twej
 [głowie,
 Gdy stuka w biegu o ziemię Twoje drewniane obuwie!...
 kreślił zarządzający gospodarstwem parowca Hirosawa!

— To nie moje wiersze—dodał skromnie—to wiersze słynnego poety!

— Poczekaj, ja ci lepsze napiszę... Też cudze, ale ładne... — przerwał młody samuraj Takimura.

Na spotniałym koniu
 I w żelaznej zbroi
 Minęła mi wiosna.
 Gdym wracał, wiatr jeno
 Omiała twarz z kurzu,
 A gdym się upijał,

Śnił mi się nie mędrzec,
 Ale śniła mi się
 Wciąż piękna kobieta!...

Rozmowa zwolna ześrodkowała się na Japonii. Gdym chwalił piękność ich ojczyzny, trwogą i radością mieniły im się rysy.

— Ach, niechby już była sobie brzydka, taka... do niczego! — przerwał jeden.

— Wy, Europejczycy, tylko chodźcie wszędzie i wypatrujecie!... — wybuchnął drugi.

— I twoja ojczyzna była pewnie i słodka, i ładna... — z delikatnem niedomówieniem dodał Hirosawa.

Przyjazny nastrój rozwiął się, gawęda urwała. Wyszedłem z mocno zadymionej kajuty, aby się orzeźwić.

Czarny nasz parowiec wśród czarnych, cichych wód biegł, drgając miarowo z jednostajnym marmrotem ku mglistej północy. W kajucie cienkimi dyszkantami śpiewali Japończycy:

Kimiga jowe czijoni-ja-czijoni,
 Sadzarej-iszi no iwaoto narite,
 Kokeno musumade...

Niech Dom Twój, Władco, trwa wiecznie,
 Aż mały kamyk wyrośnie
 W wielką, omszoną opokę...

Nazajutrz obudziło mnie wołanie:

— Wstawaj, polski podróżniku! — Góra... północna Fudzijame!

Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na pokład.

Wprost z morza wznosił się wysoko wspaniały, szmaragdowy stożek wulkanu z białymi plamami śniegu na szczycie i szarem miasteczkiem u stóp, u samej sienie wody. Była to wyspa Riszri — ostatni pilon zielonej Japonii. Soja — krańcowy przylądek Jesso — mglisto rysował się w dali. Wkrótce minęliśmy go, a ponieważ wiatr wzmacniał się i był pomyślny, napięliśmy żagle.

Ziemia znikła we mgłach. Czarne morze faloowało coraz gwałtowniej. Zrobiło się tak zimno, że musiałem włożyć grubszą odzież. Statek nasz chylił się, obsuwał po ślizkich bokach bałwanów i uderzał o ich dno, aż piana wybrygiwała wysoko z pod niego na pokład. Czasem wodne pagórki wzdymały się wyżej burty i wówczas światło dnia, przeświecając przez czochrate ich czuby, zamieniało je w śliczne, zmienne grzędy roztopionego opalu i szmaragdu.

Ale pośrodku cieśniny Laperusa, gdzie ścierają się wichry i prądy Wschodu i Zachodu, morze było tak wzburzone, a ryk fal tak dokuczliwy, że

już nie mogłem w dostatecznej mierze oceniać wspaniałości obrazu. Trzeba się było mocno trzymać za poręcz i strzedz, by wiatr lub czuby fal nie uniosły z głowy kapelusza, idąc zaś, należało więcej patrzeć na taczający się pod nogami pokład, niż na grające morze. Nadomiar złego zaczął mżyć deszcz.

Nie opuścił on już nas od tej pory ani na chwilę... Płynęliśmy wciąż w szarym obłoku i za jedyłą rozrywkę służyły nam często pojawiające się stada delfinów, które, ścigając się wzajem, wyskakując z fal i koziołkując, starały się nas koniecznie wyprzedzić.

Pod wieczór we mgłach zarysował się na wchodzie dziki, jednostajnie urwisty brzeg Sachalinu.

Noc ciemna, choć oko wykol; przycichłe morze szumiało łagodnie pod gęstym tumanem.

Japończycy znowu mieli ochotę urządzić literacko-muzykalny wieczór, ale moje serce łaknęło samotności; myślałem o spotkaniu, dla którego przedsięwziąłem tę długą podróż. Do późnej nocy stałem na dziobie, oparty o burtę i patrzyłem na blade wiry, kotłujące się pod sztabą parowca. Żal bezbrzeżny, jak to nocne morze, dusił mnie...

Nazajutrz znów mgła, deszcz, szary poranek i szary dzień. Ale chwilami przez obłoki prześwie-

cało mgliste słońce i rzucało na ołowiane fale, ładne, srebrne błyski.

Na wschodzie wciąż ten sam ciemny, opoczysty, nieprzystępny, jak wał forteczny, brzeg Sachalinu bez szczyby, zatoczki, przystani i bez śladu mieszkańców. Czasami czajka przyleciała stamtąd, w milczeniu okrążyła nasz parowiec; czasem sznur czarnych kaczek pomknął nisko nad wodą, ku wyspie. I nie więcej! Morze schłostane wichrem i deszczem, brzegi zasnute tumanem i nasz skołatany parowiec... W nocy znów morze przycichło, jakby przyduszone zsiadłymi opary. Chwilami jedynie pojedyncza, zbuntowana fala wzdymała się wysoko i z łoskotem spadała na tył okrętu.

Weześnie pokładli się spać Japończycy, aby wypocząć dobrze przed pracą, oczekującą ich po przybyciu do Aleksandrowska. Usnąłem wreszcie i ja. Obudziła mnie cisza i nieruchomość statku. Nie dyszał już, nie warczał, nie sunął. Dobiegł mnie rumor zarzucanej kotwicy. Przez zapocone okno nic nie mogłem zobaczyć, wyjrzałem więc za drzwi. Niedaleko, za siatką dżdżu czerniał skalisty przylądek, a przed nią, w morzu, jedna za drugą trzy ostre skały, pochylone jak trzech modlących się mnichów. To byli słynni sachalińscy „Trzej bracia“.

Ileż was oglądało już oczu smutnych i znękanych?...

Za skalistym przylądkiem w jednostajnie mglistem, perłowem przestworzu rysowała się podłużna plama lądu, a przed nim w otwartym prawie morzu wznosił się szary, nędzny pomost z drewnianych pali. Fale wciąż tłukły się o niego i pluły pianą do góry. Na prawo od pomostu, wzdłuż brzegu piał się na zbocze drewniany wodociąg, na długich, cienkich, jak u komara nogach, a na lewo w dali szarzało niewyraźnie miasteczko.

Wszystko siekł niemiłosiernie deszcz. Zrozumiałem, że parostatek nieprędko się w tych warunkach dowoła rządowej łodzi z przystani, i chroniąc się od zimna, położyłem się napowrót w ubraniu na posłanie. Nie usnąłem jednak, lecz liczyłem z niecierpliwością wybijane na wancie godziny. Wreszcie usłyszałem charakterystyczne sapanie małej, parowej maszyny, zabrzmiały dźwięki mowy słowiańskiej... Zerwałem się i skoczyłem do drzwi. Na pomoście stało dwóch ludzi w urzędniczych czapkach z gwiazdkami.

— Nie wiedzą panowie, czy Adam S. już wyjechał?

— Nie jeszcze. Pan pewnie jego brat?! Jestem doktorem S.—przedstawił się jeden z nich.

— Policmajster T. — rzekł drugi, wyciągając rękę.

Czekają tu na pana z niecierpliwością.

— Panowie mię zabiorą?

— Owszem, z przyjemnością. Ale przedtem musimy załatwić formalności z Japończykami.

Doktór przerzucał papiery okrętowe, policmajster rozglądał się po statku.

W kwadrans potem już siedziałem w łodzi parowej. Z sykiem, w płasach biegła ona z fali na falę, a moi towarzysze wypytывali mię o rozmaite nowiny ze świata... Nie wiem, com im odpowiadał, lecz przypuszczam, że dowiedzieli się niewiele.

Na przystani doktor przez telefon dał znać bratu, że przyjechałem. Policmajster tymczasem ofiarował mi uprzejmie chwilowy przytułek. Wyszliśmy za wrota pomostu, strzeżone przez odźwiernego w uniformie i pierwszy obraz, który ujrzały me oczy, był tłum skazańców pogolonych i zakutych w łańcuchy. Pchali, Ignąc w błocie, wagon naładowany drzewem. Wokoło stał konwój z bagnietami i nabitą bronią. Skazańcy przyglądali mi się posepnie, z podełbą, siląc się zapewne odgadnąć z grzeczności policmajstra, co im niosę: nowe cierpienia, czy możność nowych zbrodni?...

W mieszkaniu gościnnego urzędnika znalazłem wszystko, co mi było potrzeba; lecz nie zdążyłem się przebrać, gdy już brat i siostra stali przede mną. Brata ostatni raz widziałem przez małe okienko w chwili, gdy biegł za uwożącą mię karetą; siostry nie widziałem od dzieciństwa... Burze rozrzuciły nas na różne krańce świata...

— Biedni, biedni!... — powtarzałem, ściskając ich gwałtownie.

— Milcz!...

Policmajster patrzył na nas ciekawie, ale ze współczuciem...

Hakodate, 23 lipca 1903 r.

KAWAŁEK JAPONII.

(WYJĄTEK Z DZIENNIKA).

19 września 1903 r.

„Pochlebstwo przyjemne,
lecz prawda stokroć lepsza“.

Nie zażyłem rozkoszy w Hokkaido. Japończycy uważali naszą podróż za wojenną, wywiadowczą wyprawę, dokuczali nam i koniec końców musiałem przed czasem przerwać moje studia.

Ale... człowiek nienawidzi wyrazu *nigdy!*

Gdy ruszyliśmy i śliczna Hakodacka zatoka zaczęła mi błędnąć w oczach i zasnuwać się zakrętami gór, serce dziwnie mi się ścisnęło. Z chciwością niepoprawnego żarłoka zacząłem wchłaniać widoki tych blado-zielonych, wyniosłych brze-

¹⁾ Ekspedycja składała się ze mnie, Bronisława Pilsudskiego, wybornego znawcy życia Ainów i mówiącego dość biegle po ainsku, oraz z sachalińskiego aina Toronciego, który umiał czytać i pisać po japońsku i służył nam za japońskiego tłumacza.

gów, cudnie malowanych na błękitie nieba i morza. Tyle razy zachwyciałem się nimi i nigdy nie miałem ich za wiele. Tymczasem amfiteatr miasta, rozsypany na stokach skały „Leżącego Byka“, szybko malał. Już małe domki japońskie wyglądały jak gniazda jaskółcze, już dachy ich niknęły wśród zieleni ogrodów, podobne do drobnych, jasnych taffi, już jaskrawe, czerwono-żółte flagi, miotające się tu i owdzie nad nimi, zmalały do wielkości skrzydeł motyli. Liliowa gaza odległości przysłańiała wszystko. Sieć masztów okrętowych w porcie stała się podobna do pajęczyny. Jedyne biała iglica kościoła protestanckiego strzelała wyraźnie ku niebu na lewym boku groźnej skały, a na prawym wznosił się wspaniały zrąb cyprysowy świeżo zbudowanej, szintojskiej świątyni. Byłem na jej poświęceniu. Dokoła rzeźbionych, zaledwie postawionych słupów, kapłani w zielonych i żółtych szatach oprowadzali z kwiatami w rękach biało odziane dziewice, przepasane wzorzystymi „obi“.

Był śliczny dzień majowy, tłum barwną ścianą oblegał miejsce uroczystości, wieszal się na pomnikach sąsiedniego cmentarza, na dachach sąsiednich budowli... Miarowo huczał dzwon, grały bębny i samuisey. Rzeka chorągwi żółtych, czerwonych, zielonych, niebieskich, wyciętych w kształ-

cie ryb, węzów, smoków, popstrzonych dziwacznyymi znakami, przelewała się nad miastem opustoszałem na chwilę...

Z obu stron miasta dwie błękitne, gładko wcięte zatoki z łagodnym szumem wyrzucały białe, węzowe sznury pian...

W środku lata widziałem znowu otwarcie doków hakodackich i zdumiony byłem dekoracyjnymi zdolnościami Japończyków. Z kilku brudnych, szarych żagli, z czerwonych tułowi odnawianych statków, z jodłowych gałęzi, z całego obłoku powiewnych skrawków jedwabnych, baniastych, kolorowych latarni, migotliwych strzępów złotego i srebrnego papieru, stworzyli oni tak malowniczy obraz, że pewny jestem, iż na jego widok Pankiewicz mrugnąłby z zadowoleniem okiem, a Jacek Malczewski usiadłby i złożył ręce.

Ba! Mieli za tło południowem słońcem nasyczone, przeczyste powietrze lazuruowe i morze!

Teraz była jesień, dzień chmurniejszy, barwy bledsze; miasto, nieubrane jakoby, żegnało się ze mną w rzewnem zamyśleniu...

„Co przyniesie mi twój pobyt, cudzoziemcze?! Czy aby mię nie skrzywdzisz?“

Zawracamy gwałtownie. Dwa łuki spienionych fal biegną za naszym parowcem, krzyżują się i, biejąc w zapasach, wspinają do góry. Porwane

przez nie po drodze małe czółno rybacze kołysze się, jak łupina: goły rybak ledwie wiosła w dłoniach utrzymać może, czerwony pływak portowy, rzucony w lazur zatoki, niby oderwany kwiat granatu, to ginie wśród zwojów bałwanów, to znowu się wynurza.

Miasto już znikło, w głębokiem wcięciu zatoki bieleją jedynie na zboczach zacięzionych gór domki wiossek, widać długą, czarną sylwetkę więzienia i zalotne budowle zakładu kąpielowego Iunokawy, gdzie mają zwyczaj kąpać się razem wesole „gejsze“ i miejscy dandysi. Już nie nie widać, je-no zielonawo-płowy wnek wyniosłego brzegu, nad perłowem wody roztoczem i na rogach jego z jednej strony strome, malachitowe wiszary „Leżącego Byka“, za które schowało się miasto, a z drugiej, z poza gór, wygląda różowy, niezrównany w swych liniach i cieniach krater „Komagatakie“. Fale tłuką się o spadające wprost do wody głazy „Leżącego Byka“, zaś wydrążony stożek Komagatakie, rysując się wyraźnie na błękitnem niebie, ginie spodem, wśród mgieł liliowych. Oba wyglądają tak uroczo, a jednak oba kryją pioruny. Komagatakie wybuchał w 1856 roku; zaś na wyglądzonym wierzchołku „Leżącego Byka“ uważne oko dostrzeże bez trudu ślady ludzkiej ręki. Samotne słupy telegraficzne, wybiegłszy na krawędzie skał,

ostrzegają, że tam czuwają zatajeni ludzie, że proste linie wiszarów to brzegi blanków i szanów. Zresztą każdy wie, że tam jest groźna forteca, uzbrojona w ciężkie działa, że cała zatoka podmienowana jest torpedami i parowiec nasz płynie po ludzkim, zalanym wodą wulkanie. Forteca stoi na tem samem miejscu, skąd w 1868 r. działa zwycięskiego mikada, z wielką zręcznością i wysiłkiem wciągnięte z nieprzystępnej strony na wierzchołek góry, zgromiły twierdzę zbuntowanego daimosa Inomoto. Twierdza stała wówczas na dole, tam, gdzie obecnie doki, i broniła wejścia do portu. Daimos Inomoto był wówczas młodym marynarzem, który wrócił właśnie z Ameryki, gdzie się kształcił. Dowodził flotą Szoguna Iokugawy i uszedł z nią na północ do Hokkaido (Jesso). Powiadają, że chciał utworzyć na wyspie samodzielną rzeczpospolitą i w tym sensie złożył deklarację cudzoziemskim przedstawicielom. Lecz zręcznie zaskoczony w Hakodate przez wojska mikada, zbombardowany z góry, ukrył się w twierdzy Goryo-kaku, na przeciwnym brzegu zatoki i niedaleko stamtąd, na pochyłościach gór stoczył walną bitwę, w której większość powstańców zginęła. Sam Inomoto z 80 stronnikami, dowiedziawszy się o przegranej, już gotował się w salach zamku do zbiorowego „harakiry“, gdy wpadł poseł

mikada, niosąc mu przebaczenie, wezwanie do dworu i powrót łask. Inomoto oddał z czasem znaczne usługi swej ojczyźnie, został admirałem i odznaczył się świetnie w ostatniej wojnie chińskiej.

Tak Japonia zwyciężała swych buntowniczych synów!

Obeenie znów wojna wisi nad wyspą i serce boleśnie zamiera, przysłuchując się głuchemu biciu fortecznych armat, strzelających do celu. Jakoś umysł nie chce wierzyć, aby w tej czarownej okolicy mogła płynąć krew, aby pułki walczących ludzi znów paliły domy, poniewierały wdzięczne kobiety z kwiatkiem we włosach, mordowały skrętnych, zabiegliwych pracowników.

Statek nasz wybiegł na środek cieśniny i długie, majestatyczne fale oceanu Spokojnego zaczęły go mocno kołysać. Mżył deszcz przy słabym ale zimnym wietrze. Schroniłem się do kajuty. Wkrótce przyszedł mnie odwiedzić Amerykanin, z którym zaznajomiłem się w Sapporo. Miał tylko jedną nogę, ale dawał sobie dzielnie radę z kulami nawet na obślizgłym i kołyszącym się pomoście. Szukał przez trzy lata naftę na Hokkaido, ale znalazł jej zbyt mało, by przedstawiała „business“. Choć źródła naftę na Hokkaido należą do rzeczy mniej fantastycznych, niż na Sachalinie, lecz dotychczas nie znaleziono jej wytrysków. Są jednak

obfite jej ślady, gdy tymczasem mówiono mi, że na Sachalinie trzeba dla pocieszenia przedsiębiorców nalewać do wierconych dziur nafty, kupionej w składzie. Praktyczny, kulawy Amerykanin pogodził się ze stratą i wycofał z interesu, zostawiając odkrycie trafowi.

Deszcz padał coraz większy. Szaruga zasnęła zupełnie brzeg przeciwny i nie widziałem na odjeździe olbrzymiego „Osoresan“—„Góry Przerazenia“.

W Aomori cztery godziny spędziłem w hotelu w towarzystwie Japończyka, którego dwa okręty były właśnie schwytane przez okręt wojenny rosyjski na morzu Ochockim i skonfiskowane. Twierdził, że niesłusznie, że miał wykupione świadectwa, że miał wszystkie papiery w porządku. Pochodził z południowej Japonii, z Kang, gdzie posiadał dom, ziemię, gdzie mieszkali jego rodzice i krewni. Ale sam przeniósł się już był dla interesów do Hakodate z żoną i dziećmi i prowadził rybołówstwo w szerokich rozmiarach na Hokkaido i Sachalinie. Mówił o swej stracie—a ocenił ją na 20,000 jenów¹⁾—bez goryczy, jak mówi się o pożarze, gradobiciu, powodzi. Otaczał mnie uprzejmą opieką, choć miał mię za Rosyanina.

¹⁾ Jeden jen równa się 98 kop.

Wogóle Japończycy znają tylko „polityczne“ narodowości oraz najbliższych swoich sąsiadów. Wszystkie narody romańskie: Włochów, Hiszpanów, Rumunów, Portugalczyków uważają za Francuzów; Szwedów, Duńczyków, Szwajcarów — za Niemców; wszystkich Słowian — za Rosyan. Ale jednocześnie rozróżniają Amerykanów od Anglików, oraz wiedzą coś niecoś o Holendrach, ponieważ ci w dawnych czasach uważani byli za wasalów Japonii i na tej wyłącznie zasadzie dopuszczani do handlu z Japończykami.

Spotykałem wprawdzie wykształconych Japończyków, którzy wiedzieli cokolwiek z historii o Polsce, lecz takich bardzo mało. Nie istniejemy w wyobraźni tego ludu i zawsze miałem na poczekie kłopot z listami rekomendowanymi do Warszawy, których nie chciano przyjmować na zasadzie, że takiego miasta nie ma. Dopiero mozolne poszukiwania w grubej księdze „pocztowego żywota“ i wykrycie, że istnieje tam pewne miasto, zapisane jako „Warschau“, dawało mi broń do ręki, choć znowu musiałem staczać walkę, aby nie pisano „Germany“, gdyż we wszelkich spisach i tablicach na Dalekim Wschodzie Niemcy zabrali nas już sobie.

Okropnie zabiegliwy naród!

W Aomori zaczyna się kolej żelazna.

Byłem znużony i wyznaję, że bałem się już jakiegokolwiek zatargów, a nawet styczności z ludnością z północnych prowincji, podrażnionych grozą wiszącej w powietrzu wojny. Nie wszyscy są tu tacy uprzejmi, jak ten kupiec z Kang. Wziąłem więc bilet pierwszej klasy, miejsce sypialne i ruszyłem pociągiem nocnym. Wagony japońskie są nieduże, ale bardzo starannie utrzymane, przyzwoite i dość wygodne. Nasz wagon podzielony był na dwie części: jedna miała posłania, druga była salonikiem czystym, skromnym, ale gustownie urządzonym. Do niego przylegał bufet, gdzie za trzydzieści kilka kopiejek dostałem wyborną, europejską wieszczerkę z leguminą i deserem.

W Japonii pierwszą klasą jeżdżą wyłącznie cudzoziemcy, oraz miejscowa arystokracja, dygnitarze lub wyżsi urzędnicy. Nawet bogaci kupcy i przemysłowcy nie odważają się wsiadać do tych wagonów, nietyle przez oszczędność, co prawdopodobnie ze zwyczaju, pozostałego z niedawnej przeszłości, kiedy nawet materyał i forma odzieży była dla rozmaitych klas prawem przepisana.

W przedziale zastałem jakiegoś Japończyka, który pośpiesznie zdzierał z siebie europejskie ubranie, aby wciągnąć lekkie, powiewne, japońskie „kimono“. Gdybym miał takie, sam byłbym wdział. W głębi wyspy wciąż je nosiłem, gdyż

jest to odzież bardzo prosta i wybornie zastosowana do tutejszego gorącego, wilgotnego klimatu. „Kimono“ jest wcale przyzwoitym strojem, choć człowiek czuje się w nim, jakby cokolwiek „nieubranym“. Zszyty jest z prostych, całych sztuk materii, której wcale nie tknęły nożyczki. Zwiejszające się, kwadratowe rękawy przedstawiają małe woreczki, które wybornie zastępują kieszenie. Nosilem w nich nawet rewolwer. Piękne panie trzymają w tych rękawach chusteczki do nosa, wachlarze, flakoniki, lakocie, słowem cały buduar. Taki rękaw ma jeszcze tę wielką dogodność, że bardzo łatwo wciągnąć w jego otwór rękę, pogrzać palce pod pachą, gdy zmarzły, lub złapać jakiego dokuczliwego owada, których moc w tym kraju, błogim dla wszystkiego, co żyje.

Lud prosty nie nosi w lecie nic, prócz „kimono“ i... waziutkiego pasa wstydlivosti. Kobiety, zamiast tego pasa, owijają dokoła bioder sztukę tkaniny. Bogaci wdziwiają na ciało krótką koszulkę i obszerną spódnicę, zszytą pośrodku w kształcie szarawarów. Jest to ubiór galowy; szarawary znaczą tyle, co u nas frak. Niedgdyś na dworach cesarskich oraz Daimosów używano długich, niezwykle sutych szarawarów, których końce wlokły się daleko po ziemi. „Kimono“ opasuje się pasem, za którym noszą Japończycy zegarki,

notesy, portmonetki, papierosnice i nie gubią ich nigdy. Kobiety mają dwa pasy, jeden wazki dla podtrzymania odzieży, drugi dla ozdoby, zawsze ładny, malowniczy, szeroki, zadzierzgnięty na plecach w wielką ukośną kokardę bez końców. Zwie się on „obi“ i stanowi główną chlubę i troskę japońskiej strojnisi. Na nogach drewniane sandały na wysokich podstawach.

Ubranie Japończyków jednostajne, zazwyczaj ciemne, krojem i kolorem wcale się nie różni w rozmaitych okolicach kraju.

Mój towarzysz podróży nosił już jednak europejskie obuwie i bieliznę. Idąc spać, zrzucił wszystko i wdział jedynie jasne, nocne „kimono“. Robił to zupełnie otwarcie przy mnie, gdyż w Japonii na nagość inaczej się zapatrują, niż u nas.

Pamiętam, jak raz w Omaba, zwiedzając siarczane kąpiele, wszedłem wypadkiem do żeńskiego przedziału i znalazłem się wśród grona młodych „jo“ i „muśme“, pozbawionych nawet figowego listka. Okazało się, że tylko ja sam się zmieszałem; one, nawet nie mrugnawszy okiem, ubierały się dalej. Na brzegu tymczasem policyant spędzał opryskliwie gołych, muskularnych gentlemanów, którzy wyszli z łaźni pogapić się na nasz parowiec. Jestem pewny, że zrobił to na żądanie szczerbowatych Angielek, które były przyjechały ze mną.

Choć byłem bardzo zmęczony, nie mogłem długo zasnąć. Pociąg rzucił się, kołysał, trząsł na zakrętach i zjazdach, jak wściekły, gdyż Japończycy jeżdżą szybko, a koleje mają pobudowane w takich wertepach, jakie znaleźć można jedynie we Włoszech lub Szwajcaryi.

Myślałem wciąż jednak z rosnącą radością, że z każdą wiorstą przebytą bliżej jestem kraju.

20 września 1903 r.

Szaro-zielony brzask przedarł się przez spuszczone story wagonu i obudził mię. Był szary od dżdżu, zielony od niesłychanie bujnej roślinności, pokrywającej przebiegane przez nas okolice. Już co prawda, to prawda, że roślinom chyba najlepiej w Japonii: mają słońca i wilgoci podostatkiem. Stąd pewnie płynie wielka sława tutejszych ogrodników, którzy przesadzają drzewa i duże i małe bez żadnej ceremonii, kaleczą je, gną, wykręcają... Ale w tem cudownem powietrzu można z drzewami robić, co się chce, a one nie umrą. Tu pozostały gatunki, które już dawno wymarły lub schorwały na całym świecie. Patrząc na potworne drzewa kamforowe, na olbrzymie, jak skały, pnie widłaków, przedstawiamy sobie dopiero, czem były lasy przedpotopowe, że łatwo w nich było błądzić mamutom, bo wyglądały jak myszy.

Północną część Niponu, słynną ze stad koni i bydła, których dostarcza dla całej nieledwie Japonii, przebyliśmy w nocy. Są tam obszary wywłaszczone przez rząd na pastwiska dla stadnin rządowych, koło Sambongi, Koma, Szimboda. Przelecieliśmy moc długich i krótkich tunelów i jeden niezwykle wielki koło „Iezi-no-hi“, z którego wylotu otwiera się śliczny widok na górę „Szju-no-matsu-jama“, unieśmiertelnioną w zwrotce japońskiego poety:

Kto, ślubując kochać wiecznie,	Czigiriki na
Obiecuje kochać,	Katami ni sode wo
Póki grzywy morskiej fali	Szibori tsutsu
Nie przepłyną Szju-no-matsu,	Szju-no-matsu jama
Ten ślubuje kochać wiecznie...	Nami, konasai to wa..

Znałem tę drogę, gdyż jadąc do Hokkaido, przebywałem ją we dnie. Chętniebym jednak obejrzał po raz wtóry. Pamiętam, że uderzyła mnie naówczas wielka ilość drewnianych dachów na polach i szop, zbudowanych dla ochrony linii kolejowej od śnieżnych zawałów. Pociąg leciał szybko, mijając pomniejsze stacje. Gdym siadł do śniadania, konduktor wywołał „Sendaj“, wielkie miasto, leżące na pół drogi do Tokio, stolicę prowincji Rikuzen, niegdyś siedlisko najpotężniejszych na północy Daimosów, Dajt Mutsu-no-Ka-

mi. Sendajczycy słyną z wierności, są uważani za dobrych urzędników i żołnierzy. W Sendaj jest dużo chrześcijan, przeważnie prawosławnych.

Gdy pociąg ruszył dalej, z żalem patrzałem na piękne, ciekawe miasto, w którego okolicach znajduje się słynna świątynia „Żywego Lisa“, pragnąłem i postanowiłem ją zwiedzić, ale nie mogłem tego zrobić teraz wskutek „zmienionych okoliczności“.

Pola ryżowe bez końca — bure od dojrzewających kłosów, żółte już, dojrzale i jeszcze zupełnie zielone. Każde oramione ciemnym szlakiem bobu, albo innej rośliny ogrodowej. Niektóre gęste, aż się pokładły od ulew i ciężkiego ziarna. Mówią, że ten rok dla ryżu urodzajny. Na rzadszych niwach, z pod lasu zbóż przeblyskują ukryte wody. Czasami zamiast bobu opasują pola szeregi wysokich, trzcinowatych „kibi“, rodzaju prosa — czarnego ryżu, jak mi go nazwał Japończyk. Dużo też pól porasta kukurydzą, i coraz częściej przesuwają się przed lecącym pociągiem plantacje młodej jedwabnicy.

Wjeżdżamy w okrąg Fukiszima, ognisko jedwabnictwa. A ot, i samo miasto Fukiszima ze starym zamkiem rodziny Itakura i wulkanem Azumajama w oddali. Wulkan wybuchał niedawno, w 1893 r., zabił i pokaleczył około 80 górników.

pracujących w kopalniach siarki, przysypał też popiołem na 5 stóp wysokości okolicę na odległość półtóry mili. Daimosi, dawniej bardzo wybuchowi, stali się o wiele mniej groźni. Mieszkają przeważnie wszyscy w Tokio, gdzie odcinają spokojnie kupony od obligacyi, otrzymanych za swe przywileje. Siedliska ich dymią się obecnie nie od ognia obozowych, lecz od kominów fabrycznych, których liczba szybko wzrasta i bardzo szpeci piękne krajobrazy Japonii.

Fukiszima należy do takich zadymionych miast, których już od samego Tokio ciągnie się cały szereg. Fabryki są to przeważnie przedziałnie jedwabiu. Z pomiędzy nich miasteczko Akabane wydało mi się najbardziej fabrycznem.

Pociąg biegł, zatrzymując się tylko na znaczniejszych stacyach. Robiło się ciepło, parno... Czuć było, że biegniemy szybko na południe. Znać to było i po roślinności coraz rozmaitszej i rozkoszniejszej. Wśród jasnych pól ryżowych, koło białych i szarych domków kupiły się całe kępy drzew owocowych, gruszek, jabłek, słodkich kasztanów, orzechów, granatów, fikusów oraz tuż ciemnych, wspaniałych widłaków, cisów i cyprysów japońskich. Wszędzie piał się bluszcz, a na skałach rosły ogromne, ażurowe paprocie. Wkrótce okolice przeistoczyły się w jeden śliczny, do-

brze uprawny ogród, gdzie mieszały się z sobą winnice i plantacye brzoskwini oraz moreli, rozpiętych szeroko na altanowatych rusztowaniach. Do kwater jakichś nieznanych mi, łopianowatych roślin jadalnych wcisnęły się działki równie szerokolistnych, wybujałych lotosów, dla kwiatów hodowanych na sprzedaż. Widziałem również dużo kawonów, melonów i wreszcie masę rzodkwi i olbrzymiej cebuli (pysznej). Koło domów, z za ogrodzeń strzelały wysoko w górę ogromne, jasnozielone, podłużne liście bananów i ciemne, wielopalczaste wachlarze palm, coraz częściej wysuwających się z kup wzorzysto przetykanej gęstwiny ogrodów. Gdzie zaś czernił się gaj starych, krzywych sosen, tam na pewno stał rząd „tori“, a w głębi ślicznie rzeźbiona, z dachem wygiętym, jak damski kapelusik, buddyjska lub szintoiska świątynia. Często również widziałem wśród pól małe, dobrze mi znane kapliczki „Lisa“, opiekuna pól ryżowych i władcy obłąkanych. Gdym się bliżej przyjrzał życiu wieśniaków japońskich, zrozumiałem, dlaczego go tak czczą i tak się lękają...

Ten lud nerwowy i wrażliwy łatwo podpada obłędowi, ryż zaś jest dlań wszystkim i sprawiedliwie zwą się sami Japończycy „ludem z granic dojrzewania ryżu“. Stąd to tak gwałtownie pcha ją się do Korei i na Filipiny, choć mają mało je-

szeze zaludnione, śliczne Hokkaido z klimatem Europy środkowej. Lecz łatwiej nawet wyemigrować, niż zmienić sposoby gospodarowania: do tego potrzebne nietylko pieniądze, ale i wiedza, która nawet wyłożona w szkole, nie może zastąpić zaczerpniętej w dzieciństwie przez pracę na roli, razem z rodzicami.

Tu nie nie pomogą żadne rozumowania: wieśniak japoński pragnie i umie uprawiać jedynie ryż, a pszenicę, jęczmień i żyto ledwie poznawać zaczyna. Obszar pól ryżowych nie może być już zwiększony we właściwej Japonii, kultura jego posunięta została do ostatnich granic... Pola ryżowe w Hokkaido z wielkim mozołem i stratą czasu trzeba zdobywać z pod osuszonych moczarów... Tymczasem ludność wzrasta, a choć Japończyk bardzo niechętnie porzuca na zawsze ojczyznę, lecz musi, bo mu tu za ciasno. Rzecz więc zrozumiała, że pcha się do sąsiedniej Korei, zbliżonej klimatem i posiadającej wyborne, niewyzyskane jeszcze pola ryżowe... Oto źródło kwestyi koreańskiej, z powodu której ważą się teraz losy wielu ludzi żywych a na śmierć skazanych...

Ta kwestya ma jeszcze inną stronę.

— „Ktokolwiek weźmie Koreę, chwyci nas za gardło! — mówią zupełnie słusznie Japończycy. — Żaden nasz okręt nie będzie mógł przemknąć się

obok półwyspu bez pozwolenia jego władców, a przecież... my tyleż prawie mieszkamy na morzu, co i na lądzie!“

To prawda. Dość przepłynąć kilka razy o wschodzie słońca wzdłuż brzegów Japonii, dość widzieć tę armię białych żaglowców, ten wieniec setek tysięcy statków, łodzi, łódeczek, odbijających codzień od wysp archipelagu, aby zrozumieć, że są oni istotnie ludem ziemno-wodnym i swoboda żeglowania jest dla nich warunkiem życia lub śmierci... Ryba, ryż i handel morski — są to trzy najważniejsze ostoje ekonomiczne tego ludu...

21 września. Tokio.

Miasto ogromne, z ulicami tak szerokimi, jak gdyby chodzić po nich mieli nie mali Japończycy, lecz potomkowie cyklopów i oceanid... Kanały pełne cuchnącej wody morskiej, na nich rój łodzi, wielkich statków i parowców. Nie będę opisywał Tokio... Ciągły deszcz. Brzydko. Wrócę tu jeszcze 3 października, na święto Chryzantem i opowiem, co wtedy zobaczę...

22 września.

W drodze z Tokio do Nagasaki.

Tym razem pojechałem drugą klasą. Wolę jeździć drugą klasą: tu więcej życia i... Wschodu. Jeździłem już trzecią, ale tam już tego... Wschodu za dużo, w dodatku często się trafiają pijani europejscy majtkowie. Stąd zwady, w których i spokojny podróżny może coś oberwać. Przyznać muszę, że nieszczególnych europejskich przedstawicieli poznaje szeroki ogół Wschodu.

W wagonie było pełniutko. Miejsce dostałem zle i noc spędziłem niewygodnie, pół drzemiąc, przytulony w kącie. Japończycy jednak spali wybornie. Przyzwyczajeni do ciasnoty swych małych domków, do ciągłego podwijania pod siebie nóg, gdyż krzesła nie mają i siedzą na ziemi, na matkach, umieją jakoś skręcać się w kłębek i zajmo-

wać niezwykle mało przestrzeni. Naprzeciwko siedziała Japonka z dzieckiem i sługą. One nóg prawie nie spuszczały z siedzenia, załatwiając wszystko na wąziutkiej, kolejowej ławce: jadły, piły, spały, przebierały się. Malec biegał od matki do nianki i, choć miał już lat ze cztery, widziałem, jak ssal pierś matczyną, kasał ją i całował ze śmiechem, wywołując wyraz błogości na twarzy Japonki. Wcale nie krępowała się obecnością mężczyzn, choć była dość młoda i ładna; sądząc z ubioru i obejścia, należała do klasy zamożnej i musiała być „postępowa“, gdyż nie miała uczernionych zębów. Jedyne od mojej strony naciągała cokolwiek „kirimon“ na obnażone ciało. Malec też, spotkawszy się wzrokiem ze mną, marszczył brwi i śmiać się przestawał. W jego dziecięcym spojrzeniu czytałem ten sam wyraz oburzenia i niepokoju, jaki nieraz zauważyłem w głuchych kątach Japonii u dorosłych i który znaczył mniej więcej:

— Co to jest? Ten barbarzyńca śmie wędrować po naszej świętej ziemi japońskiej i uchodzi mu to cało? Koniec świata!

Należy pamiętać, że cała Japonia otwarta została dla cudzoziemców zaledwie kilka lat temu, a przez wieki nie wpuszczała ich w swe granice pod grozą śmierci. Wtenczas każdemu wolno było bezkarnie zabić białego. Strach przed nimi i nie-

nawieść ku nim, wpajana przez księgi i kapłanów, wżarła się tak głęboko w duszę Japończyka, że nawet stłumiona przez wykształcenie i pobyt w Europie, śpi na dnie serca w postaci głębokiej nieufności i łatwo przechodzi w odrazę. Niech ukształceni Japończycy nie przeczą temu, bo tak jest; niech będą szczerzy, tembardziej, że myślę o tem bez gniewu, lecz z ubolewaniem, gdyż to jest wielka przeszkoda w zbrataniu się ludów.

Ale w drobiazgach Japończycy są z Europejczykami bardzo „grzeczni“, więcej nawet, niż między sobą. I tym razem w wagonie znalazł się jakiś młody Japończyk, doskonale mówiący po angielsku, który wziął mnie pod swoją opiekę. Był to inżynier; skończył uniwersytet w Ameryce i mówił, że tu w Japonii jego interesem jest węgiel. On słyszał o Polakach i zauważyłem, że tłumaczył moje pochodzenie otoczeniu, uważającemu, jak wogóle Japończycy, wszystkich Słowian za Rosyan...

Na kilka dni przedtem, dnia 17 września, odbyło się w Sendaj, w teatrze Sendaj-za, narodowe zgromadzenie. Przybyły na nie deputacye prowincyi północno-wschodnich (Mijaki, Fukiszima, Jamagata, Akita, Ywada, Aomori), należących do stowarzyszenia „Tajro-Dosikaj“. To stowarzysze-

nie powstało niedawno w Tokio: składają je głównie stronnicy partii politycznej „Sinp-to“; przewodniczy im p. Okuma oraz inni stronnicy księcia Konoj. Jest ono gałęzią stowarzyszenia „Domej-kaj“ i ma na celu utrzymanie niezawisłości Korei, nietykalności Chin i wzmocnienie samostannego bytu cesarstwa Japońskiego.

Na zebraniu tem było obecnych ogółem przeszło 3,000 osób; ogłoszono cały szereg mów o charakterze bardzo wojowniczym. Nadeszła też depesza od księcia Konoj:

„Wyrażam uznanie Sendajskiemu zebraniu za energię, z jaką wypowiedziało usilne żądanie ludu i pewien jestem, że będzie to miało wielki wpływ w kwestyi Wschodniej“.

Członkowie partii „Sej-ju-kwaj“ markiza Ito nie uczestniczyli w zebraniu.

Podobne zebranie, tylko o wiele liczniejsze, ma odbyć się w Tokio 6 października w dzień naznaczony przez Rosyę dla wycofania wojsk z Mandżuryi, w terminie powszechnie tu przypuszczalnego wypowiedzenia wojny.

23 września.

Po nieprzespanej nocy pocieszył mię śliczny poranek. Mineliśmy wielkie miasta Kioto, Osaka. W Kobe zmiana pociągów. Dostałem się do pięknego, widnego wagonu, lecz też zapełnionego podróżnymi. Do tego wagonu weszła także bardzo ładna i młoda Angielka z chorym ojcem. Zajęła niewygodne miejsce, ale nie chciała go zamienić na proponowane przeze mnie. Widziałem pewne zdziwienie na twarzach Japończyków, którzy zrozumieli treść naszej rozmowy. Zwłaszcza dziwił się mój sąsiad, kupiec jedwabiu z Osaka, który zdażył się już ze mną zapoznać i „wprawiał“ się w te kilka angielskich wyrazów, które umiał. Wyglądało to dosyć zabawnie, gdyż najczęściej powtarzał pytanie: „do you speak english?“ ponieważ wymawiał je najlepiej. Pytał mię, co ja chciałem od tej młodej kobiety i czy ją znam. Zauważyłem, że Japończycy o wiele są uprzejmiejsi

względem mężczyzn, niż kobiet. Damy japońskie zwykle idą w tyle o jakie pół kroku i więcej za swymi mężami; przy spotkaniu zawsze z drogi ustępuje kobieta. W teatrze one zajmują gorsze miejsca i nigdy nie biorą udziału w żadnych uczciach i przyjęciach z mężczyznami. Nawet w domu jedzą osobno i to dopiero, jak nakarmią i napoją „koronę stworzenia“. A przecież są o wiele miłsze, subtelniejsze, rozumniejsze od tej „korony“. Nawet pewien zażarty nieprzyjaciel Japończyków mówił, że ludzkość nieby nie straciła, gdyby nagle zniknęli wszyscy Japończycy, lecz straciłaby bezwarunkowo, gdyby wraz z nimi zniknęły Japonki. Nie są one ładne, lecz mają dużo wdzięku, są łagodne, spokojne i wyrozumiałe. Do zamążpójścia korzystają z wszelkich swobód, chodzą, gdzie chcą, nawet romansują, co bynajmniej nie jest uważane za przestępstwo.

— Moja żona miała dwunastu kochanków, ale dzieci miała dopiero ze mną! — mówił zupełnie spokojnie pewien przywoity Japończyk w rozmowie o przyczynach płodności lub bezpłodności małżeństw. Po ślubie wszystko się zmienia; Japonki są bardzo wiernymi żonami. W domu rządzą wszystkiem mimo pozorną uległość, okazywaną mężowi. Majątkowo i prawnie nie są od niego bardzo zależne. Mają swoją własność i nie są wo-

bec męża tak bezbronne, jak Francuzka lub Polka. Ale i tu czuć Wschód pod ludzkim poszyciem: za niewierność mąż ma prawo żonę wygnąć natychmiast, nawet wsadzić ją do więzienia; kobieta nie ma prawa żądać rozwodu nawet w razie jawnej niewierności męża. Wogóle u Japończyków nie istnieje pojęcie o niewierności mężczyzn, którzy otwarcie nieraz trzymają nałożnice w domu. Wymieniono mi znanego kupca w Hakodate, który w każdym nieledwie mieście, gdzie bywa, ma dom a w nim żonę... W Hakodate zaś, gdzie mieszka stale, ma ich kilka.

— Zazdrosna żona jest gorsza, niż brak żony — powiedział mi wesoło japoński miłośnik kobiet.

Tak się to już ułożyło, że Japonki patrzą przez szpary na stosunki mężów z gejszami, na ich wycieczki do... Josziwara wszelkiego rodzaju. Dopiero, gdy stosunki te grożą znacznem nadwężeniem majątku, występują one w obronie bytu swego oraz dzieci i prawo bierze je naówczas pod swą opiekę.

Z Kobe pociąg biegnie samym brzegiem Śródziemnego Japońskiego morza, które jest ładne, ale nie do tego stopnia, jak je w swoim czasie opisywał Kipling. Przepłynąłem je, byłem i na parowcu, a nawet miałem małą przygodę, gdyż w naj-

węższym przesmyku o mało okręt jakiś nie wpadł na nasz statek. Ryki, ogłuszające syreny, dzwonki, przejmujące sygnały kapitańskiej piszczałki, tupot biegnących nóg, brzęk łańcuchów, drzenie wstrzymanego nagle i cofniętego kontrparą statku, następnie cisza. Wszyscy, rozumie się, wylegliśmy na pokład. Na skałach pobliskich brzegów pęłgały czerwone łuny płonących u wody majaków. Gorzał tam cały szereg ogromnych beczek z naftą i wyglądało to wszystko złowrogo, jak pożar. W krwawym zmroku, wśród krwawo połyskujących wód, o kilkanaście zaledwie sążni od nas, kołysał się czarny, wyniosły dziób wielkiego parowca i, chyląc się, łypał na nas szeregiem oświetlonych okien kajutowych. I tam też widać było niepokój: zielone, czerwone i niebieskie światła latarni sygnałowych migały trwożnie na masztach.

Miejsce było wąskie, kręte i statki się nie spostrzegły na zwrocie. Po jakimś czasie ruszyliśmy dalej a winowajca pozostał na kotwicy w cieniu wysokiej góry. Pasażerowie rozeszli się bardzo zadowoleni z niebezpieczeństwa, które już minęło, a którego nawet „nie było“, jak twierdził kapitan. Wroszę ze słów niektórych, że nie rozumieli całej grozy położenia. Patrząc na spienione fale, bijące w strome oślizgłe skały, na wartki prąd,

widziałem jasno, że nikt z nas by stąd cało nie uszedł i długo stałem na pokładzie, myśląc o kraju. W parę tygodni potem przeczytałem w gazetach, że niedaleko od tego miejsca poszedł w podobny sposób na dno japoński parostatek, wiozący kompanię „gejsz“ wracających z Osaka, gdzie tysiąc ich brało udział w religijnej procesji tysiąclecia jednej ze świątyń. Szesnaście dziewcząt i wielu innych podróżnych utonęło i nawet ciał nieszczęśliwych nie znaleziono. Kogo woda nie zalała od razu, tego bałwany rozbiły o głazy. Prądy tu zdradliwe i skały nieprzystępne. Za to wyglądają bardzo malowniczo. Na wierzchołku jednej z nich, ostrej jak igła, samotnie wznoszącej się wśród zatoki, niedaleko Kobe stoi śliczna, mała latarnia morska, podobna do orlego gniazda.

Kolej wciąż biegnie, mając z jednej strony perłowe morze a z drugiej pola ryżowe bez końca. Pewnie to już drugi zbiór ryżu, gdyż widziałem na północy łany o wiele dojrzalsze. Ponieważ kompost rybi staje się coraz droższym, Japończycy próbują zastąpić go inną mierzwą: bobowymi wytlókami oraz zielonym nawozem. W tym celu zasiewają na zimę pola ryżowe koniczyną, którą następnie przyorują. Sadzą też i inne rośliny, ale wszystko to nie może zastąpić śledziowego kompostu, który daje najwyższe gatunki ziarna, naj-

zwięźlejsze, najobfitsze i najmniej obsypujące się kłosa, oraz słomę trwałą, niełatwo pokładającą się od wiatru i deszczu. Ponieważ znaczną ilość takiego kompostu nabywa Japonia od Rosyi z Sachalinu, gdzie są nieprzebrane połowy śledziowe, stąd wyłania się nowa strona stosunków rosyjsko-japońskich, pewna ekonomiczna zależność Japonii od Rosyi, skłaniająca do zgody i mogąca dać dobre rezultaty dla obu państw, gdyż Japonia przedstawia doskonały rynek dla rosyjskiego rybołówstwa, poczynającogorozwijać się na pobrzeżach oceanu Spokojnego. Lecz czy Rosya zechce się z tymi względami liczyć? Japonia zaś jest dość zawzięta, aby, w razie doznanej przykrości, zamknąć swe rynki dla towarów rosyjskich nawet ze szkodą dla siebie. Przecież przez setki lat była niedostępną dla wszystkich cudzoziemców.

Lecę przez te pola wychuchane, przez te okolice pełne ładu, zamożności i prastarej kultury, mijam porządnie zabudowane miasta, wioski śliczne i oddzielne kolonie, widzę gładkie, równe drogi, wysadzone krzywemi sosnami, malowniczo odbijającemi na błękitnem tle morza gmachy szkolne, które tu wszędzie są najokazalszymi budynkami, patrzę na współtowarzyszów podróży, przeważnie pogrążonych w czytaniu książek i gazet, a znając

poszanowanie Japończyków dla prawa i ich chciwość wiedzy, wspominam jednocześnie inne wsie, inne miasta i inne obszary...

Widoki z okien otwierają się coraz piękniejsze. Próbuje niektóre fotografować w biegu. Aparat fotograficzny w rękach cudzoziemca bardzo jest nieprzychylnie widziany przez ludność miejscową. Moje próby wywołują sensację. Stary jegomość z vis-à-vis, z zaplecioną w warkoczyk siwą brodą, bardzo mi się przygląda. Jedyne kupiec z Osaka nadal mię proteguje, skończył jednak wręczeniem mi adresu swego sklepu.

Morze to zjawia się, to znika. Czerwone, piaskowe góry, porośnięte sośniną, krążą i tańczą dokoła nas. Raz w raz pociąg przeszywa je w otworze tunelów. A między górami z obu stron nawodnione pola ryżowe, otoczone wałeczkami gliny. Na tych wałeczkach rośnie zwykle jakaś ciemna roślinność, ostro odrzynająca granice białych łąnów zbożowych. Jesienne, czerwone kwiaty błyskają na grzędach, koło zgrabnych domków wieśniaczych, na stokach nasypów kolejowych. Kępy bambusowych zarośli ciemnieją na jasnym od słońca krajobrazie, niby wachlarzowato złożona garsć misternej, zielonej koronki. Znow wśród krętych sosen, wśród ciemnych cyprysów i tuj mi-

ga ślicznie wywinięty dach świątyni, bieleją kamienie ukwieconych i umajonych, wcale nie smutnych cmentarzy japońskich. Białą wstęgą drogi idzie sznur ludzi w dużych, stożkowatych kapeluszach. Niektórzy dźwigają na plecach lub nosidłach ciężary, lecz wielu idzie swobodnie z wielkim parasolem z naoliwionego, żółtego papieru i ciemnymi pręcikami, podobnym do skrzeli jakiejś morskiej ryby. Dama z jedwabną liliową parasolką i czerwonym kwiatkiem w czarnych włosach jedzie na leciuchnym, dwukołowym wózku, ciągnionym przez półnagiego kurumę (dorożkarza). Koń-człowiek biegnie, zda się, bez wysiłku; jego tegie, z brązu odlane, słupowate nogi miarowo biją o biały tok drogi. Znów góry rozdarły się i morze błękitne, zamglone morze, zmieszane z zamglonem powietrzem, ukazało się, poplamione ciemnymi przylądkami i dalekimi, górzystymi wypami. Białe żagle płyną od nich i ku nam. Wszędzie pracowicie, ludno, ale spokojnie. Na polach pojedyncze głowy wieśniaków, pielących zboża, wystają ponad kłosa, lecz niewprawne oko łatwoby je mogło wziąć za strachy na ptaki, gęsto rozstawione wśród niw i przebrane w japońskie „kirimony“; ruchy ciągle, lecz spokojne pracowników ledwie zauważyć się dają i nie świadczą wcale o wysiłku, lecz o pilności.

Na stacyach tłumy, ale niema zamętu. Biegają jedynie posługacze w czerwonych czapkach, pytając o bagaż, oraz przekupnie napojów i jadła, wykrzykujący monotonna swoje: bento! cza!

Za parę groszy można kupić śliczny gliniany imbryczek z filiżaneczką, pełny gorzkiej, japońskiej „cza“—herbaty. Herbata-by uszła, lecz Japończycy nie mają pojęcia o przegotowanej wodzie. Według nich niema żadnej różnicy między ciepłą wodą a wrzątkiem, a ponieważ są oszczędni a otrzymanie ciepłej wody mniej kosztuje, więc używają jej wyłącznie. Wskutek tego nie radzę podróżnikom dać się skusić ładnym kształtem miluchnych imbryczków i pić tę japońską herbatę... Skutki mogą być fatalne! Taką herbatę podają też wszędzie w japońskich herbaciarniach, chyba że doświadczony podróżnik każe przy sobie zagotować wodę, o co nietrudno, gdyż fajerka z gorącymi węglami zawsze stoi tuż przed nim.

Z napojami można się jeszcze pogodzić, ale o wiele gorsze są potrawy. Do tych żadną miarą nie mogłem się przyzwyczaić i przypuszczam, że japońską książkę kucharską układał jeden z tych morskich potworów, jakich kawałki stale znajdują się w każdym japońskim podaniu. Kilkakrotnie, aby próbę przeprowadzić do końca, nie bra-

łem z sobą żadnych zapasów i kupowałem sprzedawane na stacyach „bento“.

Wygląda ono nadzwyczaj zachęcająco: czyściuchne, z nowego drzewa, cienkie, jak papier, pudełeczko lubiane składa się z dwóch części, dolnej i górnej, i jest misternie związane włóknem roślinnem, zadzierzgniętem na misterny kołeczek... Istna bombonierka! W górnej — ryż biały, przezroczysty, wyborny ryż... Hm — rzecz wcale niezgorsza, gdyby choć.. ziarenko soli lub cukru, ale bez tego ten niepokalany ryż smakuje jak klajster introligatorski... Otwieramy drugie pudełko: może tam schowana szczypta soli? Cudny widok: jakieś bursztynowe, żółte, czerwone i fioletowe kompoty, ułożone w bajecznie kolorową mozajkę... Szkoda ruszyć! Owszem, owszem! Lepiej nawet nie ruszać, gdyż cacka te, włożone do ust, wywołują okrzyk zgrozy i wyciskają łzy z oczu, tak są gorzkie i zjadliwe... Nawet Anglicy z juchtowemi podniebieniami wykrzywiają się od nich. Te bardzo przyjemne dla oczu płody, to zwykła rzepa, rzodkiew, czosnek, cebula, pieprz strączkowy — wszystko odpowiednio wymoczone i umalowane. Znajdzie się jeszcze w pudełku kawalek ryby solonej, suchej jak trociny, skrawek macki głowonoga, jakieś wąsy, jakieś skrzela...

Wreszcie pierożki grochowe lub kartoflane, także ładnie malowane, lecz mdłe, jak emetyk.

Bywałem na bardzo sutych i wykwintnych ucztach japońskich, lecz i tam to samo: na nieskończonej ilości miseczek lakowych, ślicznie malowanych — ślicznie malowane i gustownie ułożone obrzydliwości... W dodatku Japończycy wszystko jedzą zimne lub półzimne, jedynie wódkę ryżową piją ciepłą. Wszystko jedzą jednocześnie, dziobiąc pałeczkami to w tej, to w innej miseczce... No, stanowczo trudno Europejczykowi zasmakować w ich kuchni!

Na szczęście w pociągach pośpiesznych są wagony restauracyjne. Wehodge i szukam miejsca. Dość tam o nie trudno. W głębi siedzi poseł rosyjski ze swym sekretarzem. Jedzie właśnie do P. Artura, wezwany na naradę przez tamtejszego generał-gubernatora. Kłaniamy się sobie z daleka. W Tokio musiałem mu się przedstawić. Mój kupiec z Osaka, który też siedzi przy jednym ze stolików, spogląda na mnie bardzo nieżyczliwie. Może żałuje nawet, że dał mi adres swojego sklepu. Nie, prawdopodobnie rozważa, o ile podnieść cenę przypuszczalnie sprzedawanych mi towarów. Zręczna usługa japońska, dbała, abym się czekaniem nie znudził, wsuwa mi do ręki spis potraw. Taniość zadziwiająca: filiżanka bulionu, ryba sma-

żona, chleb, masło, rostbef, butelka wody „Hirano“, owoce, herbata, wszystko za cenę sześćdziesięciu kopiejek.

Przez szerokie, kryształowe okna widać cudny krajobraz, sunący z obu stron pociagu. Wiosek, jak nasiał. Rzadko tworzą większe skupienie, jak na północy. Zwykle są rozsypane grupami, po kilka domów, po całej dolinie. Dachów słomianych niema, wszystko pokryte popielatą dachówką. Na zamożnych domach ma ona polewę i biały, ładny deseń wzdłuż krawędzi i na szczycie. Mało też budowli drewnianych, większość z białej, żółtej gliny. Na polach widać często jakieś budynki na słupach, których znaczenia z początku nie rozumiałem. Potem dopiero spostrzegłem, że pełne są popiołu, że służą do spalania słomy, chwastów i śmieci na nawóz. Uderzyły mnie piękne, muryrowane śpichrze, zawsze białe, piętrowe, z przewiewnymi asymetrycznierzozmieszczonymi oknami.

Słońce świeci jaskrawo. Woda na polach ryżowych skrzy się w jego blaskach i migoce poprzez gęstą ścierną zboża. Krajobraz nabiera szczególnej powietrzności... Nawet pola na stokach gór zdają się wisieć w błękitach... Pociąg często mknie po wysokim gzymsie urwiska; w dole szumi rzeźczułka i ścielą się łany pól aż po sine morze. Widać wioski i miasteczka. A po drugiej stronie,

często o wiele wyżej nad pociągiem, też łany ryżowe, drzewa ogrodów, zagony bobu, cebuli, łopuchy, lotosu, domki i świątynie na stromych, pociętych w stopnie zboczach. Czasami cała góra do szczytu wygląda, jak oparta o niebo „drabina Jakoba“, a na wierzchołku wychyla się z zieleni domek zgrabniuchny. Przez otwarte ściany widzę siedzących tam mężczyzn przed wrąbanem w podługą kwadratowym ogniskiem. Pyzaty imbryk, pełen herbaty, wisi na sztucznie ruchomym, metalowym wieszaku, a obok kłęczy kobieta.

Gorąco. Nizka szerokość geograficzna daje się czuć dosadnie. Coraz częściej pierzaste, lśniące palmy kędzierzawią się w ogrodach. Są one tu o wiele okazalsze, niż na północ od Tokio. Ogromne, jasne liście bananów strzelają wysoko ponad dachy chat. W zaroślach, na nizinach, przeważa bambus, na górach kręta sosna japońska, w sadach tuje, widłaki, cisy, granaty, drzewa figowe, klony, cyprysy japońskie, no i rozumie się, że wszędzie ukochany, lekki i dźwięczny „kirin“ z miękkimi liśćmi. Ślicznej wierzby japońskiej, ozdoby gajów północnej i środkowej Japonii, oraz tamtejszych dębów, czerwonych sumaków i olchy nie widać. Dość rzadko również spostrzegam plantacje kopulastych krzewów herbacianych i wcale nie widzę szkółek młodej jedwabnicy, podobnej do starej

maliny, których oglądałem tak dużo w środkowej Japonii. W budowie domów, w rozkładzie i gatunku roślinności wyczuwać się daje o wiele silniejszy, niż na północy wpływ chińszczyzny. Są to te same, japońskie domki o rozsuwających się ścianach—jasne, przewiewne, schludne, wyłożone żółtymi matami „pudełeczka“, doskonale przystosowane do tutejszego wilgotnego, gorącego klimatu, w którym wszystko łatwo pleśnieje, lecz... w wygięciach dachów, w ozdobach okapów i narożników już niema tej prostoty i swobody układu, co w gładko strzyżonych, ryżowych strzechach Północy i Środka, gdzie wszystko jest niezbędne, zrozumiałe i... proporcjonalne.

Znów duże miasto. To Fukujama, stolica prowincji Bingo, słynąca z wyrobu grubych, żółtych mat, używanych do wykładania podłóg. Plantacye sitowia, służącego do ich plecienia, dostrzegałem często wśród mijanych pól ryżowych. Za miastem, na podgórzu dwa zamki tutejszych Daimosów, białe, o kilku piętrach i kilku dachach, podobne do pagód chińskiej struktury.

Tracimy z oczu morze. Lecimy wśród gór doliną, na której dnie kręto wiję się rzeczka. Widoki śliczne, ale różniące się między sobą tak drobnymi szczegółami, że opisywać ich niepodobna. Łuk mo-

stu, rzuconego nad potokiem, z gromadką idących przezeń dzieci, mały młyn wodny, cicho klekocący u drobnego upustu—rzadkość w tym kraju, gdyż ryż nie potrzebuje pomiołu. Wiatraków tu wcale nie znają, zarówno jak nie znają nawet na północy kominów w chatach—dym wychodzi przez boczne dymniki w dachach. Palą tu mało i wyłącznie dla potrzeb kulinarnych, a ogrzewają pokoje fajerkami z węglem. Często na szczytach stoją beczki na wypadek pożaru.

Znów śliczna, zielona kępa bambusów wśród żółtych pól.

Znów miasto nad perłową zatoką. To Onemici. Przelatujemy środkiem niego, ocieramy się nieledwie o ściany domów, trącamy o dachy. Na ich szczytach wisi dużo tkanin kolorowych, suszących się w słońcu. Są w Japonii wszędzie prawie na szczytach domów małe rusztowania, na których farbują, odnawiają lub bielą do odpowiedniego tonu barwne, domowe materye. Zwykle na tych małych platformach, otoczonych galeryjkami, gospodarują kobiety. Właśnie jedna z nich schodzi i jest na jednym poziomie z oknami wagonu; zastygła nieruchomo na schodkach z wyciągniętą nóżką w białej pończoszcze, kolorowa luna bije jej na twarz z przyciskanego do piersi stosu kolorowych tkanin, a oczy w zamyśleniu patrzą na lecący pociąg. Po-

za nią przepaścisty błękit nieba, które tam miesza się z morzem. Powietrze tak czyste, że widać wyraźnie duże szpilki we włosach kobiety. Brzeg morza zabezpieczony tu jest od zalewu fal wysokim wałem kamiennym, którego grzbietem biegnie czystość, równa jak stół, biała droga... Tu i owdzie krzywe, ciemne sosny ocieniają ją szeregiem, czasem mignie wśród drzew zgrabna figurka Japonki pod jasną parasolką, z motylowem „obi“ w pól pasa. Ślicznie to wszystko wygląda na tle dali, prześwieconem odbłaskiem zatoki.

Wśród pól, na wydartem morzu nadbrzeżu, widzę duże, szare płaszczyzny, podzielone na kwadratowe, płytkie baseny: tu odparowują wodę morską dla wydobycia z niej soli. Nietęga sól japońska: gorzka, czarna, i ryba posolona nią niesmaczna.

Na morzu siedzą duże i małe wyspy, często zupełnie podobne do szerokich bukietów zieleni, płynących po lazurze. Koło nich, niby motyle, krążą duże żaglowce...

Wioski, wioski, samotne sadyby, kaplice, rude stożki przeszłorocznej słomy ryżowej, żórawie studni do polewania ogrodów, wieśniacy pod parasolami lub w niemniejszych od parasolów kapeluszach, stukające sandałami i kołyszące się w ruchach dziewczęta,

filgranowe ryksze, toczące się bez hałasu, bawoły objuczone ciężarami, na mijanych stacyach towarowych stopy kul ryżowych, zaszytych w rogoże. Pociąg wdiera się w góry. Ich czerwone fałdy już zakryły wdzięczne miasteczko Mihara. Morze zobaczymy dopiero koło Hiroszima. Pociąg przerzuca się z boku na bok doliny, pnie się po gzymsach skał, nad parowami strumieni, pieniających się w kaskadach, wśród szarych złomów. Słońce chyli się ku zachodowi, znika za szczytami, pozostawiając za sobą złotą, łagodną, jak stara laka, zorzę i różowy odbłask na dalekich, czerwonych szczytach. Dołem pokładły się długie, świeże, wilgotne cienie. Nad wieśniaczymi domkami unoszą się dymy błękitne i gdzieś tam migają czerwone skry wieczornych ogní. Krótki zmierzch szybko w mrok przechodzi. Nad urwistym szczytem skały błysnął sierp umierającego miesiąca. Już oko nie rozróżnia kędzierzawych bambusów w zacienionych wnękach gór. Noc ciemna zakrywa krainę przed wzrokiem znudzonym, lecz wciąż jeszcze chciwym tych ślicznych widoków...

Patrzę w czarny kwadrat otwartego okna, przez które widać właśnie nad zębatego górą daleką gwiazdę północną, wciągając z rozkoszą chłodne, słonawo-wilgotne, morskie powiewy i rozmyślam o widzianym kraju i ludzie.

Kraj jest bajecznie piękny. Lud, jako „sztafaż” tego kraju, wiele pozostawia do życzenia.

Japończycy naogół są brzydey. Mają nieprzyjemną, ziemistą cerę, oczy małe i bez wyrazu, ohydne krzywe i prognatyczne zęby. Ogromnie dużo spotyka się wśród nich chorób skórnych, osobników skrofulicznych, liszajowatych, niedokrwistych, owrzodziałych lub pokrytych szramami, chorych na oczy, ociemniałych... Może to pochodzi z lekkości obyczajów, a może jest rezultatem ich codziennych wspólnych kąpieli, gdyż wszyscy mieszkańcy tego samego domu, nawet hotelu, zwykli się kąpać *w tej samej wodzie*. Bardzo to wprawdzie zaoszczędza paliwa, gdyż Japończycy używają niezmiernie gorących kąpieli, lecz koniec końców... w czystej Japonii nie mniej widziałem chorób skórnych, niż w brudnych Chinach.

Japończycy są bardzo wytrwali i dość silni; członki mają muskularne i wyrobione. Ale ustępują znacznie Europejczykom i w sile i w zdolności do nagłego wyładowania energii. Wogóle robią wrażenie rasy przeżytej, jakiejś starczej, wymagającej koniecznie fizjologicznego odrodzenia. Czują to pewnie sami, gdyż często słyszałem pytanie: „Jak osiągnąć fizyczne odrodzenie narodu?” Do zakładów szkolnych wprowadzona jest obowiązkowa

gimnastyka, młodzież ciągle odbywa wycieczki, zabawia się w gry angielskie na świeżem powietrzu. Rząd stara się usilnie zaszcześcić wszędzie zwyczaj używania krzeseł, gdyż przyjęte przez Japończyków klęczenie w zgiętej pozie w domach źle wpływa, według zdania lekarzy, na rozwój płuc i działalność serca. Z tego pewnie pochodzi i głównie jest rozpowszechniona wśród Japończyków straszna choroba „beri-beri.”

Przypuszczam jednak, że donioślejsze znaczenie będzie miała zachodząca powoli zmiana w odżywianiu, musowe wskutek wyczerpania się ryby zastąpienie jej mięsem, jajami, nabiałem oraz dążenie do większej czystości *obyczajów*, nad którą usilnie pracuje obecnie publicystyka młodej Japonii.

Co tu tać? Zimna rozwiązłość głęboko przeniknęła byt tego ludu i jest traktowana, jako wesoły żart. Sprośne rozmowy bardzo są lubione we wszystkich sferach. Drastyczne obrazki, książki i rzeźby bardzo rozpowszechnione, choć przyznać należy, że nie zawierają i setnej części tego wyrafinowania i cynizmu, co chińskie. U każdej prawie Japonki, zwłaszcza z warstw średnich i niższych, nietkniętych wpływem europejskim, można i dziś jeszcze znaleźć w jej małym, zgrabnym portfeliku,

zatkniętym za pas, nieprzyzwoity obrazek „szjunga“, noszony jakotalizman „od złych oczu“. Matki, ciotki, babki, wogóle starsze w rodzinie kobiety niedawno jeszcze wkładały dorastającym dziewczętom do pudełek z noworocznymi podarunkami podobne obrazki, aby je skłonić do prędszego pójsia za mąż i powiadomić o oczekujących je kolejach... Takie obrazki dawała żona mężowi, odjeżdżającemu na wojnę, aby... tęsknił itd. To, co u nas już się kryje w ciemnych, sromotnych zaułkach, tu jest jeszcze pół jawnym, przyjętym zwyczajem i... wywołuje nie zawstydzenie lub odrazę, lecz śmiech...

Ale należy się spodziewać, że ten rak obyczajowy, trawiący i wiele narodów europejskich, rychło zniknie, gdyż Japończycy umieją dopiąć tego, czego pragną, a oni namiętnie pragną świetnej, szczęśliwej przyszłości dla swojej ojczyzny. Rzecz już obecnie powszechnie przyznana, że bez czystości obyczajów niknie dzielność ludów.

Umysłowe i uczuciowe cechy Japończyków też mię pod wielu względami rozczarowały. Tajemnicą pozostanie dla mnie, czem się to dzieje, że ci wyborni gospodarze i finansisci, przewidujący i rozumni mężowie stanu, doskonali inżynierowie i mechanicy, budowniczowie i żeglarze, nieporównani wykonawcy nakreślonych im planów, uczciwi i zdolni

urzędnicy są tacy tępi, tacy umysłowo niemrawi i niepomysłowi. Toć nawet przeciętny Europejczyk ze swoją śmigłą myślą aryjską i ścisłością w mowie i rozumowaniu wydaje się przy nich orłem! Język ich zawiły, wielosłowny, pełen współdźwięcznych wyrazów tak, że w określeniach ścisłych musi się wciąż uciekać do znaków chińskich, które istotnie są kajdanami myśli. Każdy Japończyk traci 5 — 6 lat w dzieciństwie na wyuczenie się 3000 co najmniej koniecznych dlań znaków. Jest to taki ogromny wysiłek pamięci, że musi ona rozwijać się kosztem innych stron umysłu; nie należy się przeto dziwić, że Japończycy nie są pomysłowi.

Wiedzą to przywódcy społeczeństwa i radziby zaprowadzić alfabet łaciński, lecz w kraju tak oświeconym jak Japonia, gdzie wszyscy czytają, gdzie książki są w wielkim obrocie, zmiana taka przedstawia niesłychane trudności i pociągnie za sobą znaczne straty w dokonanej pracy i kapitałach. Nie wiadomo nawet, czy reforma kiedykolwiek nastąpi, gdyż obecnie powstaje przeciw niej podejrliwość japońska, lękająca się uprzystępnienia „wszelkich tajemnic“ Europejczykom, oraz budząca się zupełnie bezpodstawnie narodowa zarożumiałość:

— Chociaż trudno, ale niech się Europejczycy uczą, jeśli chcą nas poznać! — odpowiadano mi, gdy m zwracał uwagę na hieroglify, jako na jedną z przeszkód do zbliżenia.

Nie tak znowu bardzo ciekawe są duchowe płody Japończyków, aby dla nich przewycięzać cały las niemądrych znaków. Wszystko, co oni tam mają, już było u Chińczyków i zostało przetłómaczone przez uczonych synologów.

Biorąc naogół, Japończycy wydali mi się podobni do tych wysoce nieraz utalentowanych malarzy, którzy wyglądają na ograniczonych, ponieważ dusza ich umie się wyrażać jedynie w liniach i barwach. W przeszłości swej Japończycy nie mieli nawet takich mędrców, jak Konfucjusz i Laotse, których myśl, bądź co bądź, ogarniała bardzo szerokie widnokreśli, nie mieli religijnych reformatorów i marzycieli... Jako naród malarski przedewszystkiem dali ludzkości tylko paru świetnych... akwarelistów. Choć pobożniejsi od Chińczyków, nie są religijni; buddyzm przyszedł do nich w bardzo już pogańskiej formie chińsko-tybetańskiej, chrystyanizm nie krzewi się, szintoizm — religia narodowa — jest zbiorem dziecinnych legend o bohaterach i wodzach narodowych, podobnym do pierwotnego politeizmu Greków.

— To nawet nie religia! — mówili mi sami Japończycy.

A jednak obserwowałem ich często w hotelach i w ich własnych na wsze strony otwartych domach, jak siedzieli godzinami w głębokiem zadumaniu.

— O czem oni myślą? — spytałem raz wykształconego Japończyka. — Czy kiedy myślą o życiu przyszedł, o śmierci?

— O nie! to przedmiot zbyt smutny... O tem myśleć należy w starości!

— Więc może myślą o początku rzeczy?

— To strata czasu, gdyż tego nikt nigdy nie pozna...

— Więc może myślą o sobie... o swych uczuciach?...

Japończyk uśmiechnął się sceptycznie.

— Powiem panu prawdę: oni myślą... o interesach!

Przypuszczam, iż tak źle nie jest. Przypominam sobie nawet, że w parę dni po wyjeździe moim z Nikko utopił się w jednym z tamtejszych wspaniałych wodospadów student z Tokio, zostawiwszy na drzewie napis:

„Tu poznałem, że mogę się dowiedzieć jedynie, iż się nigdy niczego nie dowiem!... Odchodzę więc...”

Ale ten chłopak pono zaczerpnął już dobrze z filozofii europejskiej.

Dusza japońska jest z natury nieco oschła i skłonna do pozytywizmu; uczucia ich są blade i powleczone lekką warstwą sceptycyzmu... Opowiadali mi wprawdzie podróżujący po Europie Japończycy o głębiach niezwykłych, ukrytych w zamkniętej duszy japońskiej, lecz wyznają, że ani mogłem dopatrzeć się ich śladu, ani dowiedzieć o nich od kogokolwiek...

Za to byli tacy i było ich niemało, którzy po długim pobycie w Japonii mówili, że tam nie ma nic!

— Podejrzliwość zabiła w Japonii przyjaźń, a rozpusta miłość—mówili mi oni.

Sami Japończycy przyznawali, że oni wcale nie rozumieją i nie potrzebują tego „udzielania się duszą“, tego „zagłądania na dno serca“, które tyle wdzięku nadają obcowaniu Europejczyków.

— Mówię panu, że nie pokazują serc, bo nie mają tam co pokazywać: w tych szczelnie zamkniętych pudełeczkach niema nic, oprócz fatalaszków i nieprzebranego egoizmu—twierdził ten sam przyjaciel Japończyków.

To stanowczo jest nieprawdą. Przypuszczam, że niema tam owych rzeczy nadzwyczajnych, zapowiadanych przez samych Japończyków, lecz

wśród rozmaitych artystycznych drobiazgów, zasuszonych kwiatów, notatek, wierszyków, czułych wspomnień, malarskich wzruszeń i zwietrzałych cokolwiek filozoficznych refleksyi, kryje się jeden cenny, wspaniały klejnot—gorąca miłość ojczyzny i naiwna, wzruszająca wiara w naukę, że ona wywiedzie tę ukochaną Japonię z sennego, mętnego morza Wschodu na szlaki jasne, wszechludzkie...

Jest to jedyny może przedmiot, zdolny wzbudzić zapał w każdym Japończyku. A skoro naród ma choć jedno bóstwo, które kocha ponad życie i pieniądze, to ma zadatki pięknej i bohaterskiej przyszłości.

Japończycy posiadają w dodatku hartowną wolę i pogardę niebezpieczeństw. Są bardzo waleczni i nie znoszą kompromisów. Noga zdobywcy nie stanęła jeszcze nigdy na ziemi japońskiej. Gdy w swoim czasie jeden z Czingishanidów wysłał był do niej swe niezwyciężone hordy, został sromotnie pobity.

— Trzech wróciło, których oszczędziliśmy, aby powiadomili swoich o klęsce...—opowiadali z dumą młodzi Japończycy.

Ale sława wojenna ma dwa ostrza i jedno z nich porze własne wnętrze zwycięzcy.

Serdecznie życzę Japonii, aby ustrzegła się tego kalectwa, a resztę sił, jakie zdoła zachować,

niech zużyje na kroczenie po tych drogach, na których wcześniej czy później znajdą się wszyscy ludzie dobrej woli, a które wiodą do zbratania się ludów w duchu sprawiedliwości i doskonalenia się.

Na tych drogach czeka Japonię wzniosła rola przewodniczki Wschodu. I Europa z tego skorzysta, gdyż nauczy się nareszcie szanować ludzi innej barwy. Co za szkoda, że większość Europejczyków musi być o tem przekonywana uderzeniami pięści!...

Żegnaj mi, piękna Japonio! Staraj się być lepszą od nas!

Polowanie na wieloryby.

Polowanie na wieloryby.

Wschodnie побережье Korei, Szimpo.

Bursztynowy świt już rozedniał nad zatoką okragłą i cichą, jak jezioro. Ale gwiazdy w niebiosach jeszcze nie poblady; na południu płonął wspaniały Oryon, na północy Wielka Niedźwiedzica ogonem prawie nurzała się w morzu, Wenus, różowa od blasku dalekiego słońca, gorzała jak rubin nad blednącym widnokregiem.

Opuściliśmy tłumnie wielki żelazny parowiec, który był właściwie wielką kuchnią do gotowania wielorybów, i przewiezieni małą łodzią parową, wsiedliśmy na statek myśliwski, norweskiej roboty, 96 stóp zaledwie długi i 18 szeroki, zwięzły, krępy, mocny i zwrotny. Nie posiadał wielkiej szybkości, robił 11 węzłów (11 mil morskich)¹⁾ na godzinę, lecz dla statków tych nietylko ważną jest

¹⁾ Mila morska = $1\frac{3}{4}$ wiorsty.

szybkość biegu, ile sprawność i moc maszyny, wciąż zmieniającej tempo pracy i często gwałtownie szarpanej tam i napowrót.

W godzinę po wyruszeniu już byliśmy w otwartym morzu i płynęliśmy wprost na wschód, gdzie z białych fal w złotym rozświecie wynurzała się krawędź słońca, jak wzgórek purpurowego żarzenia. Chwilę jeszcze, i ogromna ognista kula, podbita przez refrakcję, odskoczyła od widnokręgu, jak piłka, błysła i rozsypała płachtę złotych iskier na majestatycznie kołyszących się wodach.

Dokoła latały białe czajki o załamanych skrzydłach, czarna ostrodzioba wrona morska przyciągnęła wysoko od morza ku opuszczonemu przez nas ładowi.

W prawo o parę stajań płynął drugi parowiec wielorybniczy, należący od tego samego Towarzystwa, a na widnokręgu mgliły się lekkie obłoczki dymu z „norweżczyków“, którzy przez noc drejfowali w morzu, a teraz już polowali.

Niezdługo byliśmy w tem samem miejscu, gdzie wczoraj zabiliśmy wielkiego przegowanego wieloryba.

— Wytrysk — wyrzekł spokojnie gruby sternik, Łotysz nadbałtycki.

-- Gdzie?

Nim odszukaliśmy lornetę, już znikł, a gołem okiem nikt nie mógł zmierzyć się ze starym „wilkiem północnym“.

Statek zwolnił biegu. Stado kaczek poderwało się z pod nas i sznurem pociągnęło ku spiętrzonej, różowo mglistej Korei, przeleciał rój drobnych morskich ptaszków, po których wielorybnicy poznają pastwiska wielorybów. Słońce chyżo szybo wało w górę, jak zwykle w niskich szerokościach; blask jego coraz szerzej złościł sine fale. Wiatr wzmagął się. Znowu wytrysk ukazał się w dali. Tym razem wszyscyśmy w porę dostrzegli jego biały zwiewny obłoczek. Majtek pośpiesznie wdarł się po sznurowej drabinie na szczyt masztu do bocianiego gniazda. Strzelec podszedł do stojącej na dziobie okrętu armaty, nabitej harpunem, i oparł się o nią.

Zmieniamy kierunek, mamy teraz wiatr z boku.

„Pełny“ — mówi sternik maszyniście przez tubę.

Statek zaczyna drgać, jak w ataku febrycznym. Bałwany ciskają się nań, zalewają pianą i mocno kołyszą. Pędzimy im na przełaj ku spostrzeżonemu już dwukrotnie wytryskom.

Z roztańczonych fal znowu bucha wytrysk, już zupełnie blisko. Wtem ogromny bałwan zalewa przód statku, pokrywa strzelca, armatę i zmy-

wa z tarczy zwiniętą w kręgi linę harpunu. Wezwani sygnałem majtkowie biegną po zachłapanym, stojącym co chwila dęba pokładzie, aby ją nanowo ułożyć. Strzelec niedbale strzepuje wodę z czapki i kurtki.

— Bardzo rozkołysało bałwany! — mówi sternik. — Źle będzie strzelać!

Nie zmieniamy jednak kierunku i, wspinając się z fali na fale, ścigamy uchodzący przed nami coraz dalej i dalej wytrysk. Znikł, nie widać go nigdzie. Wszyscy wpatrujemy się z napięciem w siny horyzont, kołyszący się, jak rzucona na wiatr tkanina. I wszędzie bieleją czuby bałwanów. Wiatr zrywa z niektórych pianę i rzuca wysoko do góry; łatwo pomylić się i wziąć je za słupy wody, wyrzucanej przez wieloryby. Wśród tych pian wiją się gromadnie czajki białe, jak piany. Morze granatowe ciska się gniewnie pod niebem, drażniąc jasnym, przestępnym, bez śladu chmur.

— Nie będzie pociechy! — mruczy sternik. — Wielorybów ani śladu, gdzieś się pochowali.

Maszyna ledwie drga. Statek z wytkniętym ostrzem harpuna, niby orzeł w chmurach, kołuje się i nurza wśród skotłowanych odmetów, wypatrując zdobyczy. Chwile wloką się długo, jak godziny. Na mostku cisza.

— Pilnuj! Na prawo! — rozlega się z bocianiego gniazda.

— Pilnuj! Z tyłu! Blizko! — powtarza ten sam głos.

Sternik aż się do podłogi nachylił, obracając koło rudla, wśród pian, wycia wiatru i chlustania bałwanów. Statek, jak fryga, obrócił się prawie na miejscu.

— Pełny! — grzmi przez tubę do maszyn.

Wszystko drga w szalonym pędzie...

„Fale z drogi, wichry z drogi...”

Z niepokojem śledzimy trzy ogromne ssaki, kolejno wynurzające się z wody i ciskające wysoko ku niebu białe fontanny. Brunatne ich grzbiety błyszczą na słońcu, łącząc się z falami w potoczystych liniach.

— Na dno! — mówi ze zniechęceniem kapitan, gdy te potężne grzbiety, opisawszy w powietrzu łuk mocno wygięty, mignęły rozdwojonymi ogonami nad wodą i znikły.

— Jeszcze będzie jeden! — ostrzega sternik. — Nilson, pilnuj!... — woła na strzelca.

Ten już dawno ma się na baczności, nogą odeknął śrubę, tamującą wahadłowe ruchy działa, prawą ręką ujął drewnianą rękojeść, gdzie znajduje się kurek. Ogromny słup rozpylonej wody

wzniósł się tuż przed dziobem statku, poczem wypłynął ciemny, błyszczący i wielki, jak mielizna, grzbiet.

Strzelec pochyłony nad działem wciąż czekał. Wieloryb był zbyt, według niego, daleko; strzelać do niego można harpunem zaledwie na 20 sążni. Jeszcze kilka silnych obrotów śruby i statek go dopadnie... Lecz potwór też nas dostrzegł i zapadł się z sapnięciem, podobnem do łoskotu staczającej się fali.

— Stop, maszyna! — krzyczy w tubę sternik.

— Proszę do kajuty na śniadanie!... mamy czas... Nie prędko teraz wypłynie!... — zaprasza uprzejmie kapitan.

Po śniadaniu to samo. Statek kołuje się wśród sinych, spiętrzonych wód; zalewany przez czuby ich pian i wodną kurzawę, szarpany przez wicher, sili się wciąż, aby wśród tych zawrotów nie stracić z oczu stada ściganych wielorybów. Widać ich dużo na widnokręgu; białe obłoczki wytrysków pękają to tu, to tam, jak małe wulkany. Lecz lepiej ścigać ciągle to samo stado, i sternik bacznie śledzi je wśród krzyżujących się wirów.

Gdy znikają, okręt zwalnia biegu, i zataczając się lub obracając na miejscu, czeka i wypatruje, gdzie się znowu uką. Niekiedy sternik odgaduje drogę stworzeń z kierunku ich zapadających

się grzbietów, z kolei, w jakiej płyną za sobą, w jakiej rzucają wytryski. Wtedy okręt zatacza półkole i mknie całą siłą pary na miejsce domniemanego ukazania się zdobyczy. Ale wieloryby mogą rozwijać ogromną szybkość ruchów i mogą zostawać pod wodą nawet pół godziny, a przez pół godziny robią z łatwością 10 mil morskich (dwie i pół mile nasze). Następnie często już pod wodą zmieniają kierunek. Stąd pochodzi, że nieraz ukazują się z zupełnie innej strony, niż przypuszczają najwytrawniejsi sternicy.

— Dziś szczególnie trudno je śledzić. Grzbiety płaczą się z falami — usprawiedliwiał się sternik.

Wiatr wzmagął się, stawał porywczym i zmiennym. Na niebie zjawiły się wysokie, pierzaste obłoki i utworzyły tam piękny mglisty wachlarz z zawiniętymi spiralnie końcami.

— Zwiastuny tajfunu. Jutro, najdalej pojutrze, będzie burza!

— Ale dziś czy zdążymy jeszcze co upolować? Kapitan odwrócił się w milczeniu.

— Nie należy nawet pytać się o to marynarzy! — ostrzegł mię cicho mój towarzysz.

Fale wielkie, ciężkie, przykre, tłukły się o okręt, który nagle jakby stracił zwinność. Słona wodna kurzawa, zdmuchiwana przez wiatr, dola-

tywała aż na mostek kapitana. Czapka moja i notes pokryły się całe perlistą rosą, wichur nie pozwalając wysunąć twarzy z za żaglowej osłony u burty. Od szumu i kołysania się statku w głowie mi się zlekka mącić zaczęło, a towarzysze moi, wytrawni marynarze, niezdolnymi okazali się w tym razie do współczucia.

Nie więc nie mówiąc, spuściłem się do kajuty, aby się na chwilę położyć. Spokój i ciepła czapka na głowie—to najlepszy środek na morską chorobę. Wyciągnąłem się na posłaniu skołatany i znużony, gdyż ubiegłej nocy nie spałem prawie: wywoływałem zdjęcia fotograficzne zrobione na morzu. Ale usnąć nie mogłem, wszystko wkoło mnie brzęczało i latało, stukał jakiś obluźowany luminator, a przez tubę wystającą nad łóżkiem kapitana dolatywała z maszynowego przedziału smętna, monotonna piosenka palaczów i urywane rozkazy:

— Pełny!... Stop!... Wolno!...

Wkrótce i moi towarzysze zeszli z góry do jadalni, gdzie były w porządku przymocowane kołczkami do stołu talerze, szklanki, butelki, widelce i noże.

Zanim jednak zabraliśmy się do jedzenia, mocne gwizdnięcie wywołało nas na pokład.

— Wieloryb tuż!... — rzekł gburowato sternik.

Nim skończył, morze rozwarło się z łoskotem, słup wody wyleciał wysoko i brunatny grzbiet wynurzył się z wodnych skrętów.

Płynął ku nam naukos wielki jak rafa. Strzelec nachylił się do celu i ścigał go ostrzem harpunu. Potwór zwolna zataczał ponad wodą łuk, dążąc w głąbiny; już mała jego pletwa koło ogona błysnęła w powietrzu...

— Spóźnił się, niedołęga! — mruknął sternik.

Jednocześnie w poświstach wiatru buchnął strzał, i czarna błyskawica rozwijającego się sznurą przecięła blask morza. Dym prochu zakrył na chwilę pocisk i ofiarę. Strzelec podniósł pytająco do góry głowę.

— W wodę... — odpowiedział mu dozór.

Zmieszany Nilson włożył ręce do kieszeni i odszedł od armaty, po chwili jednak opamiętał się i wrócił pośpiesznie. Majtkowie i sternik już biegli z hałasem, aby natychmiast nabić wystrzelone działo.

— Ostrożnie, bydlęta! oczy chcecie mi wybić? — krzyczał gniewnie sternik na marynarzy, ciągnących linę.

— Bomba nie pękła! Ostrożnie!

Zarzucili linkę na stukający o burtę długi, żelazny pocisk, na którego końcu przyśrubowana

była wielka ostra grusza z surowca, zawierająca dwa funty prochu i zapal piorunujący, przywiązany do skrzydła harpuņu. Gdy skrzydła te, szarpnięte przez porażone ciało, otwierają się jak haki zębate, drucik przymocowany przetrze mieszaninę zapalną, bomba pęka i czyni wewnątrz ranionego zwierzęcia straszne spustoszenia.

Chociaż fale wciąż zalewały pracujących, działo szybko zostało nabite i znów żądło jego zaczęło pilnie szukać ofiary wśród odmetów. Lecz wystraszone olbrzymy znikły. I długo kołysaliśmy się i szybowali między krętymi bałwanami, nim dostrześliśmy na widnokręgu nęcące wytryski.

W pościgu za nimi ubiegła i druga połowa dnia. Słońce nisko opadło, do zachodu została najwyżej godzina. Zniechęceni ludzie już pracowali niemrawo. Strzelec z rękoma w kieszeniach, choć armaty nie opuszczał, patrzył gdzieś w bok niedbale.

Jedynie sternik zawzięcie kręcił kołem i parowcem, oraz krzyczał jak przedtem przez tubę:

— Pełny!... Wolno!... Stop!... Nazad!...

Za to wieloryby jakby poczuły, że mogą mniej sobie nas ważyć, krążyły coraz bliżej i coraz dłużej pozostawały na ciemniejącej powierzchni oceanu. Potworne łuki ich grzbietów wydawały się

jeszcze większymi w ukośnych promieniach zachodu. Szczególnie wyzywająco zachowywała się trójka brunatnych olbrzymów. Raz wynurzyły się z boku statku tak blisko, że plusk ich fontan i łoskot sapania wszystkich poruszył. To ich zgubiło. W myśliwych ożył znowu zapal, i zaczęło się wściekle polowanie. Wieloryby, ośmielone zapadającym zmrokiem, dworowały sobie z nas, a może, przyzwyczajone łączyć się w gromady, brały też ciemny kadłub naszego okrętu za żołądek jednego ze swych współbraci. Dość, że sternikowi udało się kilkakrotnie dopaść do nich w chwili wynurzania się i przeciąć im drogę. Strzelec na chwilę nie wypuszczał z dłoni rękojeści armaty. Ale i noc zapadła chyżo, i słońce już tykało widnokręgu.

Wreszcie padł strzał...

— Hurra! Trafiony! trafiony!

Dziób parostatku mocno się pochylił, przycięsnięty potężnie do wody. Lina, nawiązana do sznura harpuņu, z węzowym szelestem rozwijała się z metalowego bębna i snuła dygocąc przez pokład i łóżysko u dzioba w zieloną głębinę.

Tam szybował raniony wieloryb. Wszyscy zbiegli się na przód statku i pochyleni przyglądali

się dygocącej linie. Statek, choć szedł całą mocą pary w tył, sunął jednak naprzód z szybkością 6 węzłów (6 mil na godzinę), wleczony przez morską tytanę.

— Już wybrał 120 sążni!... — zauważył kapitan.

— Niech zahamują linę na chwilę! — rozkazał strzelec, próbując napięcie sznura nogą.

Naciśnięta lewarem lina wolniej zaczęła się z bębna odwijać, ale rychło ją trzeba było popuścić, gdyż idące z głębi szarpnięcia były jeszcze za silne i mogły albo linę oberwać, albo statek uszkodzić. Nareszcie po długiej gonitwie napięcie liny zwolniło i szybko przybierać ona zaczęła kierunek poziomy.

— Łada chwila wypłynie!

Istotnie nie minęło i pięć minut, gdy o ćwierć wiorsty na przodzie statku zakotłowały się fale, buchnęła fontanna, i z zakrwawionych pian ukazał się wieloryb z tkwiącem w grzbiecie żelazem.

Spuszczona ze statku mała szalupa z dwoma wiosłarzami, ślizgając się jak drobna łupina wśród wielkich wodnych pagórków, biegła ku zdobyczy. Pośrodku szalupy stał sternik z niezmiernie długą dzidą, gotową do uderzeń, zawieszoną poziomo na

ramieniu. Wieloryb spostrzegł ich i dał nurka, ale osłabły, już długo pod wodą wytrzymać nie był zdolny i znów po chwili wypłynął, miotając w górę wodę i krew. Morze wkoło niego zabarwiło się purpurowo. Łódź dopadła go w mgnieniu oka, i długa dzida sternika, pechnięta mocno, zagłębiła się jak igła w olbrzymie ciało, szukając serca.

Ogromne, ale łagodne stworzenie ciskało się szalenie od bólów, które go zmysłów pozbawiały, tłukło potężnym ogonem po wodzie, rzucało fontanny, rozwierało szeroko paszczę, ale widocznie nie pojmowało, gdzie szukać nieprzyjaciela i co robić, aby się od niego uwolnić. Łódź skakała dookoła niego, jak drobny listek, lecz nie uchodziła, i okropne, zimne żądło z ręki sternika raz w raz zapuszczało się we wnętrzości ofiary. W podobny sposób męczyły wieloryba jedynie czasem stające rekinów, ale od nich mógł uciec, nawet gdy zdążyły urwać mu pletwę lub wypruć poław sadła. Od tych nowych, nieznanых mu wcale stworzeń biedny potwór uciec nie mógł, coś go trzymało i sprawiało ból tak szalony, że wołał już krążyć na wodzie i poddawać się przejmującym ukłóciom, niż znowu uchodzić w głębie i szarpać obolałe trzewia.

Nareszcie dzida sternika sięgnęła mu serca.

Księżę morza wspiął się na falach i runął z łoskotem w odmęty.

Łódź szybko uciekała do statku.

Słońce zagasło, złoty zmierzch muskał spienione bałwany, na których już spokojnie kołysało się ogromne, podłużne ciało, błyskając wśród pian atłasowo białem podbrzuszem i ostremi pletwami, wielkimi jak uszy mamuta.

Na statku szybko warkotał bęben, ciągnąc zdobywcę na linie. Trzeba było się śpieszyć, gdyż czasami zabity wieloryb tonie i trudno go wydobyć. W dodatku wzburzone fale mogły przy lada niezręczności urwać linę lub obluźować harpun i... zabrać zdobycz.

— Wieloryb wtedy jest nasz, kiedy w kotle! — rzekł właściciel parowca. — Nawet podwiązany u statku urywa się na wzburzonym morzu i idzie na dno. Każdy z nich przecież waży tyle, co stado wołów: siedemdziesiąt sześć tysięcy funtów tłuszczu i mięsa i dziesięć tysięcy funtów kości. Cały, panie, majątek! W zimie, kiedy można świeże jego mięso przewieźć do Japonii, sprzedajemy go za 2000 rubli. W lecie, kiedy głównie na tran go się przetapia, dostajemy zaledwie 1200 rubli za sztukę. Mięso wtedy i kości suszymy i miełemy na kompost, to też cena niezła, ale gorsza niż za świeże lub solone mięso. Za świeże mię-

so Japończycy chętnie płacą w Nagasaki 10—12 kop. za funt, jak za wołowinę. Pociętego wieloryba składamy w kosze i stawiamy na pokładzie w przewiewnym miejscu. Wiatry w zimie wieją chłodne, i w ciągu dwóch dni przejazdu stąd do Japonii mięso się nie psuje. Mięso jest smaczne, podobne smakiem do wieprzowiny. Na targach japońskich bywa w mgnieniu oka rozechwytywane. Interes byłby dobry, gdyby zawsze można odgadnąć, gdzie te szelmy wypłyną. Ale nieraz po kilku dniach upędzania się zaledwie jednego uda się złapać, a wydatki na utrzymanie statków, załogi, urządzenie kuchni pływającej, przenoszą z górą 1000 rubli dziennie. Prawda, że bywają dni, kiedy dwa nasze statki myśliwskie złowią trzy, nawet cztery wieloryby, albo złapią „siniego“ wieloryba, który za cztery starczy i daje za 4000 rubli towaru, ale to zdarza się rzadko. Zwykle liczyć można zaledwie na jedną lub dwie sztuki dziennie. Wieloryby tutejsze są o wiele mniejsze od północnych, których wartość dochodzi do 20000 rubli, ale za to wciąż je łowić można. Polowanie trwa rok cały, z przerwami, gdy szaleją burze lub śnieżne zamiecie.

— Czyż tu bywają śnieżne zamiecie?

— Panie, tu w zimie na morzu nieraz tak zimno, jak w Syberyi; liny tak marzną, że rozwijać

się nie chcą, a fala tak samo płóć ludzi, jak dziś. Cóż robić?... Ciężko, ale zimowa zdobycz cenniejsza, bo ją sprzedać można łatwiej i z większą korzyścią...

W czasie naszej gawędy przyciągnięto wieloryba do parowca i przytroczonego na łańcuchach za ogon do dzioba statku, który mocno chyląc się na bok pod ciężarem zdobyczy, ruszył wśród ciemnych, ryczących bałwanów ku niewidzialnemu lądowi.

Jakim cudem umiał kapitan znaleźć drogę w tych taczających się wodach, koło raf i skalistych wysepek, w ciemnościach bez majaków i morskich latarni?—pozostało dla mnie tajemnicą...

Stojąc na mostku kapitana, wpatrywałem się w huczące otchłanie, które znowu wściekle na nas napadły, jakby mszcząc się za zabrane im dziecko. Białe kadłub tego dziecięcia tak wielkiego, że gdyby stanął na ogonie, z łatwością patrzyłby na drugie piętro, włókł się obok statku, mało co mniejszego. Wyglądaliśmy jak mała czarna mrówka, ciągnąca dużą białą mszycę.

Parowiec ciężko dyszał, walcząc z wiatrem, z prądami i z tym wielkim ciężarem. Posuwaliśmy

się wolno. Aby czas skrócić, gadaliśmy o wielorybach.

Okazało się, że o życiu ich wiemy bardzo mało. Pewnem jest jedynie, że żywią się drobnymi mięczakami i że są jedyną wyborną maszyną do przerabiania tych drobnoustrojów na cenne dla człowieka tłuszcze, mięso i fiszby. Te fiszby są to właściwie filtry, rodzaj wąsów osadzonych w paszczy, przez które wieloryb przepuszcza nabrałą w siebie wodę, zacisnąwszy szczęki, aby precedzić schwytane wraz z wodą mięczaki. Wody on wcale przez nozdrza nie wyrzuca, a wytryski pochodzą z wydmuchiwanego przez wodę powietrza, które wyrzuca falę do góry na 15 nieraz sążni wysoko.

Ten ogromny ssak, łagodny i prześladowany, mogący z trudnością przełknąć śledzia i niezdolny nikomu zrobić krzywdy, z wyjątkiem marnych mięczaków, jest jeszcze dość powszechny w wodach koreańskich i dalej na Wschodzie i Północy. Barbarzyńskie jednak upędzanie się za nim człowieka grozi mu rychłą zagładą. Ponieważ niewiadome są ani okresy ciąży i porodu, ani miejsca ich przebywania, nie wypracowano do tej pory żadnych prawideł, ograniczających polowanie na wieloryby. Wielorybnicy bez wielkiej dla siebie

korzyści zabijają cielne matki. Widziałem samki z mlekiem w piersiach.

Wieloryby są bardzo schludne, mają czystą, cienką, delikatną skórę, bez śladu szlamu. Ciało mają zgrabne, cygarowate, zakończone cienkim, wachlarzowatym, potężnym ogonem.

Wyznaję, że było mi żal tych wielkich milczących stworzeń, które karmią się jak my pierśią matczyną. I wołałbym, aby z czasem człowiek nie mordował ich, lecz pał na lazurowych toniach, korzystając z ich nabiału, jak od stad ładowych.

Upłynęły ze dwie godziny, nim czarny pas górzystego ładu wyraźnie zarysował się na nocnem niebie, lecz niepodobna jeszcze było dostrzedz żadnych szczegółów; chmury zasnęły gwiazdy i zmrok rozświecały jedynie piany fosforyzujących fal. Ale od tego dziwaczego blasku zmrok powietrza wydawał się jeszcze głębszym.

Na szczęście, w zatoce oczekiwano nas, i smugi elektrycznego reflektora krążyły po okolicy, jak skrzydła świetlanego wiatraka, strzelały wysoko w powietrze lub śmigały po morzu, wskazując nam drogę.

W tajemniczem, sinawem ich świetle wylaniały się nagle to nagie, dalekie skały, spękane i porośłe krzewami, to płachty hasających, wrzących

pian morskich, to skłębione chmury, zawisłe w niebiosach.

Mała czerwona gwiazdka przeplnęła koło nas, i wiatr przyniósł odgłosy smutnej piosenki koreańskich wioślarzy. Spóźnieni, zaskoczeni przez burzę rybacy wracali do domu.

Z DALEKIEGO WSCHODU.

Taku.—Tientsin.—Pekin.—Szanghaj.

Naszym małym, brudnym i niedbale utrzymanym stateczkiem, należącym do kolei Mandżurskiej¹⁾, porządnie rzucały fale w nocy 12 listopada przy przejeździe z Port-Artura do Czifu. Dopiero w samej zatoce, w której głębi leży port, zmalowały. W oddali mgiły się brzegi czerwone, górzyste, nie tak spiętrzone jak koreańskie, ale równie nagie. Brudno lazuruwe morze kołysało się w ich obszernym wnętrzu. Daleko na urwisku czerniało miasto a w dole pod niem zarysowywał się jasną plamą wśród tłumu ciemnych statków biały kadłub wojennego okrętu. Mijamy dzonki z wielkimi bambusowymi żaglami, żółto przeświecającymi pod słońce, mijamy łodzie rybackie z tępyimi nosa-

¹⁾ Statki te kursują codzień między Port-Arturem Czi-fu; odchodzą wieczorem.

mi. Fala naszego parowca zalewa niskie ich burty i kołysze je gwałtownie. Brudni i oberwani chińscy rybacy patrzą na nas obojętnie. Zarzucamy wreszcie kotwicę w odległości paruset sążni od brzegu i natychmiast oblega nas rój ciężkich, korytokształtnych „sampanów“. Przewoźnicy wrzeszczą, biją się i drą ku nam bezładnie, zaczepiwszy bosakami o burte. Dowiaduję się, że za kilka godzin odchodzi do Tientsinu angielski parowiec „Shenkeng“. Stoi nie dalej jak o 100 sążni od nas. Każę się natychmiast przewieźć nań wraz z rzeczami. Ale po bilet muszę się udać do agentury na brzeg. Kapitan uprzejmy, parostatek czysty i elegancki. Za to drogo: ma klasę wyłącznie pierwszą i za półtora-dniowy przejazd 35 dolarów od osoby.

Biuro zamknięte. Otworzą je punkt o dziesiątej, ani minutę później, ani minutę wcześniej. Korzystam z czasu i idę na śniadanie do najlepszego z tutejszych hoteli „Beach Hotel’n“. Brudno, nieuprzejmie i niedbale. Ani porównania choćby z takim drugorzędnym hotelem japońskim, jak „Daibutsu“ w Czemulpo. Ceny jednak wysokie; za liche śniadanie zapłaciłem *dolara*. Po śniadaniu udaję się do chińskiego miasta. Wąskie uliczki literalnie są zatłkane brudnym, cuchnącym, wrzeszczącym i zajęętym tłumem. Spokojniej za-

chowują się jedynie robotnicy, u straganów z jadem. Przysiadłszy gromadnie na ziemi lub na niskich ławeczkach, cheiwie pożerają oni z małych miseczek rozlewany przez przekupniów niewybredny pokarm, jakieś makarony w brunatnej zupie. Tymczasem mimo przeciągają całe procesy jucznych mułów, osłów i ludzi, zaczepiając się wzajem i wciąż pokrzykując i swarząc. Wokoło dzikie, nieumyte, brązowe twarze, ale spojrzenia dość łagodne i wesołe... Nieraz, spotkawszy się ze mną oczami, uśmiechają się, pokazując białe zęby... Zresztą zapracowany tłum mało na mnie zwraca uwagi. Dopiero gdy wszedłem daleko w miasto, w mniej odwiedzane zaułki, pojawienie się moje zaczęło wywoływać sensację... Z wąziuchnych drzwi, zakrytych od podwórza murowanymi lub drewnianymi tarczami, wyskakiwały dzieci, wychodziły kobiety w szerokich, kolorowych rajtuzach z małymi jak kopytka nóżkami. Piękności te używają bardzo dużo różu i bielidła a o wiele mniej... mydła. Każda ma pośrodku ust plamę karminową, im młodsza jest i ładniejsza, tym jaskrawszą. We włosy wpinają sztuczne kwiaty i szpilki z ozdobami z drzących błękitnych piórek sójek naklejonych na srebro lub złoto. Wszystko to sterczy dość wysoko i chwieje się przy najmniejszym ruchu głowy, gdyż kobieta powinna

być zawsze podobną do kwiatu lub motyla!... Leczący ubogich prostaków zupełnie są podobne do swych mężów, nawet z ubioru i pracują na równi z nimi. Wszystkie jednak mają okaleczone nóżki kopytka i może dlatego jedynie nie noszą takich ciężarów na plecach i głowie, jak wspaniałe niewiasty koreańskie. Wszystkie Chinki, choć często niemyte, mają starannie zaczesane włosy, równo i pracowicie nawinięte na długie i szerokie deszczki.

Zabrnąłem nareszcie w takie brudne uliczki, że od zapachu źle mi się robić zaczęło. Pod szarymi, odrapanymi murami grudy śmiecia, nawozu, trupy zdechłych kotów i psów... Wśród tych obrzydliwych kopców kręciły się jakieś podejrzane, oparszywiałe, kołtunowate ludzkie i zwierzęce postacie. Tu już nie spostrzegałem uśmiechów, lecz niespokojne, błędne spojrzenia śledziły za mną, jak za zdobyczą... Obdartusi zaczęli się zwolna skupiać koło mnie... Wykrzykiwali coś od czasu do czasu, pokazując na usta, lecz choć brała mnie głęboka litość, rozumiałem, iż byłoby bardzo nierozsądnie wyjąć portmonetkę w tem towarzystwie... Cofnąłem się więc, nie zdradzając pośpiechu, znowu ku europejskiej dzielnicy przez kręte, głuche uliczki bez drzwi i okien, podobne do szpar

w splekanych skałach... Obdartusi szli wciąż za mną, pokazując na usta.

Znikli dopiero w tłumie handlowej dzielnicy, błyskawicznie podchwyciwszy rzuconą im monetę, wystraszeni widokiem chińskiego policyanta z grubym kijem w ręku.

Na „Shenkeng'u“ znalazłem samych Anglików. Było paru Francuzów, ale ci mało się udzielali, kryjąc po swoich kajutach. Były dwie panie, jedna, młoda „lady“, bardzo przystojna, dystyngowana blondynka, jechała z Szanghaju na *tydzień* do Pekinu. Nikt jej nie towarzyszył w podróży, ale wszyscy otaczali uprzejmą, spokojną, angielską opieką... Druga była siwa już pani, mężnie dotrzymująca kroku podróżującemu widocznie w interesach synowi. W tem towarzystwie był rozumie się i nieodzowny „globetreader“, udający się do Korei na polowanie na bazanty. Pytał mnie, czy nie wiem, gdzie tam najodpowiedniejsze do tego miejsce...

— Rozumie się, że w górach, lecz uprzedzam pana, że tam pewnie już spadł śnieg.

Ściągnął ramiona z wyrazem przykrego zdziwienia.

Zapadał wieczór, a malinowe słońce, wielkie, matowe, jak to często bywa w Japonii, skryło się

za dalekie, górzyste, chmurne brzegi. Na niebie wysokie, ślimakowate obłoki wróżyły tajfun...

Istotnie w nocy tak nami kołysało, że mój kufer, taczając się po kajucie, wpadł aż na mnie i obudził mię. Nie byłem mu wdzięczny, gdyż już nie mogłem usnąć od niezwykłego łoskotu nacierających na statek bałwanów, zamętu wirujących dokoła ścian i bolesnych wstrząśnień śruby, co chwila wynurzającej się z wody i bijącej w puste powietrze. Na szczęście trwało to zaledwie kilka godzin; musnęło nas jedynie skrzydło burzy.

Gdy nazajutrz obudziłem się, słońce już wyśoko było weszło na niebie i parowiec mknął lekko po sfalowanym, bezbrzeżnym przestworzu, żółtem od żółtych, mętnych fal, jak szata bogdochana. Wkrótce w dali zamajaczyła cieniuchna nitka niskich, błotnistych brzegów. Podbite z dołu słonecznym blaskiem, zdawały się wisieć w powietrzu, jak sznur oddzielnych kropeczek i kresek. Zwolna kropeczki te rosły, łączyły się, wreszcie utworzyły blado-żółty ład, najeżony tu i owdzie masztami skupionych koło przystani okrętów... Zarysowały się ciemne kadłuby domów, zabielały czoła zburzonych w czasie ostatniej wojny fortów, służących obecnie za majaki. Na szczytach ich widziałem pikietę chińskie, japońskie i francu-

skie. Niemcy usadowili się przeważnie dalej wzdłuż kolei...

Wkrótce przybiegł mały parowiec i uprzedził nas, że stan wody w rzece niski i że przejść „baru“ niepodobna. Kapitan uwiadomił nas, że będzie się wyładowywał, a do Tientsinu ma nadzieję dostać się dopiero za dwa dni. Choć więc wszyscy mieliśmy bilety do tego miasta, ruszyliśmy gromadnie dalej koleją. Jest to stanowczo nadużycie parostatków, które znając stan wody, obiecują mimo to zawieźć na miejsce i rozumie się, nie zwracają zapłaty. Jedynie na wiosnę i w lecie warto brać bilety wprost do Tientsinu. W jesieni i w zimie lepiej wysiadać w Taku. To w każdym razie skraca drogę przynajmniej o 5 do 6 godzin.

Na przystani kolejowej gwałt, krzyk, nieporządek... Policyantów aż czterech. Rosłe draby w czarnych zawojach, czarnych opiętych ubraniach z czerwonymi literami na piersiach. Każdy ma w rękę gruby, krótki obuszek. Po co jednak tu stoją, nie wiem, gdyż wcale a wcale nie mieszają się do tego, co się w koło nich dzieje i pozostają zupełnie obojętni na prośby i pytania podróżnych. Co za różnica z japońskimi policyantami, których na takich przystaniach zwykle jest najwyżej dwóch, za to każdy choć trochę rozumie po angielsku i pilnie przestrzega porządku. Ponieważ

w Chinach niema taks, więc przybysz jest wciąż narażony na przykrości i nadużycia ze strony targarzów, woźniców i przewoźników... Zabierają gwałtem jego rzeczy, ciągną go gdzie chcą, i ani opór, ani protesty, których zresztą nie rozumieją, nic nie pomagają! W końcu żądają bajecznego wynagrodzenia, nawet w razie, gdy samowolnie zabrali pakunki i zanieśli je w przeciwną stronę... Szarpia za ubranie, wrzeszczą „money“, wymachują pięściami... Każdy chce „dolara“ za przeniesienie walizki o sto kroków, a żaden z nich, nawet rośli i silny, nie weźmie dwóch choćby najmniejszych węzłków. Znałem już te wszystkie „sposoby“ Chińczyków, więc niewiele sobie robiłem z ich krzyku i zwróciłem się do porządnie ubranego krajowca z zapytaniem, ile im się w istocie należy. Mówił po angielsku, ale mi powiedział jedynie, ile jego rodacy żądają, lecz ile *im się należy*, powiedzieć *nie chciał*... Zawsze to samo: zupełna solidarność wszystkich warstw nawet w rzeczach nieładnych względem Europejczyka! I w tem muszę zaznaczyć różnicę z Japończykami, którzy choć żądają także wyższych cen od cudzoziemców, ale nie pozwalają na nadużycie i wyzysk poszczególny.

Po godzinie mniej więcej oczekiwania stanął nareszcie pociąg przed stacją i podróżni zaczęli

wsiadać. I znowu trzeba było płacić za ładowanie pakunków. Nadomiar złego nie wydają na tej kolei biletów na bagaż. Każdy musi swe rzeczy sam wnieść do wagonu i prosić bagażowego o „opiekę“. Chaos, zamieszanie, ale rzeczy podobno nie giną; z moich też nic nie zginęło, choć trzykrotnie zdawałem je na taką „opiekę“. Na każdym pakunku przykleja posługacz kartkę z nazwą miejsca odbioru i... wyciąga rękę... Jest to ruch, który w Chinach wciąż się widzi; nawet przechodzień Chińczyk skoro dostrzeże, że cudzoziemiec trzyma w ręku portmonetkę, wyciąga rękę... na wszelki wypadek. Doprawdy, nawet Włosi są o wiele skromniejsi. Różnią się jednak Chińczycy od Włochów, gdyż w Chinach można nic nie dać bez narażenia się na wygwizdanie lub szturchańce.

Pociąg przebiega w półtorej godziny 45 mil ang., oddzielających Taku od Tientsinu. Miejscowość wkoło równa, błotnista, pełna sapowisk i solanek. Na stacyach — wojskowe postoje. Trochę dalej od morza pojawiają się coraz gęściej oddzielne fanzy i wioski. Dużo z nich leży jeszcze w gruzach. Sąsiadem moim w wagonie był handlowiec, który tu w czasie wojen służył w milicyi jako ochotnik. Mówił mi, że wzdłuż całej tej drogi, aż do Pekinu po przejściu wojsk europejskich wszystko było spalone i pobite. Trupy mężczyzn,

kobiet i dzieci leżały gęsto na polach i gęściej jeszcze płynęły na rzece Paj-ho...

— I długo tu było pusto i straszno!... Niby ktoś rękę we krwi umaczał i przeprowadził smugę po ziemi!...

Wierzę bardzo i już wcale się nie dziwię, że chińscy wyrobnicy chcą teraz żywcem każdego Europejczyka z mienia obedrzeć. To im się należy.

Stanęliśmy w Tientsinie o zmroku. Nauczony doświadczeniem, nie brałem kulisów, lecz oddałem się pod opiekę agenta hotelowego, Chińczyka z ogromną latarnią, na której czarnymi literami umieszczony był napis hotelu. Posadzono mnie do otwartej półkaretki, zaprzężonej w dwa tęgą muły i ruszyliśmy, roztrącając ludzi, wiozących i niosących ciężary, lektyki, węzłki, latarki... Ten rój światełek, kołyszących się nisko przy ziemi wśród mroku, kurzawy i ludzkich cieniów, nadaje pewien specyjalny koloryt ulicom Dalekiego Wschodu... Światelka płyną, zataczając fantastyczne zygzyki. Nie wiadomo, kto je niesie i dokąd. Od czasu do czasu tylko mignie w ich blasku ręka, noga, twarz przechodnia, wyłoni się z ciemności tułów lub koła przelatującej „rykszy“.

Po drewnianym moście, bez poręczy, szerokim zaledwie 2 i pół sążnia, tak natłoczonym ludźmi, że aż się ugiął, przebyliśmy mętną Paj-ho i do-

staliśmy się do czystej, bogatej dzielnicy europejskiej.

Nazajutrz zwiedzałem miasto. Chińska połowa—brudna, gwarna, ludna—różni się od innych miast chińskich tylko napisami angielskimi na wielu szyldach oraz obecnością cudzoziemców na ulicach. Najwięcej spotykałem Japończyków i sklepy japońskie widziałem też w chińskiej dzielnicy. Europejski „settlement“ przedstawia piękne, niezupełnie jeszcze zabudowane miasto z szerokimi ulicami, wysadzonemi drzewami, z piętrowymi, murowanymi domami, wyglądającymi nieraz, jak pałacyki. Przeważa zresztą architektura handlowo-koszarowa, panują sklepy, biura, banki. Nie dostrzegłem śladów obłężenia. Ratusz odnowiony; gruz z śródmieścia uprzątnięte, pozostały jedynie na brzegu Paj-ho. Znikła też stamtąd wspaniała katedra katolicka, zburzona przez bokserów. Na ulicach pilnują porządku wspaniali „sikhowie“ w kolorowych zawojach oraz najemna chińska policja w mundurach. Każda narodowość ma tu swą pocztę, ale istnieje i poczta chińska, utrzymywana i prowadzona przez urząd celny pod nadzorem Anglików. Działa bardzo poprawnie, lecz listów w głąb Chin nie wysyła. Tam zostały dawne poczty prywatne, utrzymywane przez domy handlowe, lub spółki kupców chiń-

skich. Codzien z Tientsinu odchodzi kilka pociągów do Pekinu, ale najdogodniejszy zdaje się jest pośpieszny, który idzie wprost z In-kou i Szańhaj-guania do granicy mandżurskiej. Do Tientsinu przybywa on o trzeciej po południu. Ma wagon jadalny i komunikację bezpośrednią z Dalnim, gdyż obecnie zbudowano już na rzece Liaohé czasowy most drewniany; można więc dostać się z Warszawy do Pekinu z trzykrotnem zaledwie przesiadaniem, mianowicie: w Moskwie, nad Bajkałem i w Dalnim.

Na stacyi zwykły ruch chiński, gwałt, nieporządek, choć przy odejściu asystuje znowu pociągowi policya całego świata. Miałem przyjemność oglądać prócz „sikhów“ i najemników chińskich, małych, eleganckich, japońskich policyantów, oraz niemieckich, francuskich i austriackich żołnierzy.

Przejazd z Tientsinu do Pekinu trwa 4 i pół godziny. Było zupełnie ciemno, gdyśmy stanęli na miejscu. Odszukałem agenta poleconego mi hotelu i poszedłem razem z nim odbierać rzeczy. W wagonie bagażowym mrowie Chińczyków, każdy coś ciągnie. Nie wiem doprawdy, jak się to stało, że swoje rzeczy odebrałem w całości. Kosztowało mnie to zaledwie dziesiątkę, przyjętą skwapliwie przez bagażowego. Znowu kilku Chińczyków złapało po jednym pakunku, ale hotelowy zredu-

kował ich natychmiast do dwóch i ruszyliśmy wzdłuż wielkiej, czarnej ściany w ciemnościach ledwie rozświetlonych tu i owdzie migającymi ognikami latarni. Przez wielkie wrota sklepione dostaliśmy się do miasta. Od samej stacyi trop w trop szedł za nami jakiś jegomość.

— Po co pando nich idzie? *Oni* biorą siedem dolarów, a my tylko trzy — mówił łamaną ruszczyzną. Znowu Niemiec!

Nie mu nie odrzekłem.

— Doprawdy, wyrzucone pieniądze! U nas wcale nie gorzej!...

— Nie wierzę w niemieckie hotele... Jużem się sparzył!...

— Ależ i tamten niemiecki...

— Taak?...

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tą okolicznością, gdyż mój przewodnik rzeczy na „ryksze“ był ułożył, a do drugiej gwałtem mnie ciągnął.

Hotel istotnie okazał się niemieckim: poświadczyły to śwędzące obrzydliwe lampy, niedbała, nieuprzejma usługa, zła kąpiel, kurz, brud i wiele innych drobnostek bardzo przykrych dla zmęczonego podróżnika.

W Pekinie Niemcy stanowczo „stanęli mocno“; niemieccy żołnierze, niemieckie koszary, niemieckie napisy i sklepy rzucają się w oczy. Rosyjskich żołnierzy, choć ich o wiele więcej, jakoś nie widać.

Pewien Anglik, który mieszka na Wschodzie już lat piętnaście, spostrzegłszy u mnie niemiecką mapę z „rejonami wpływów“, uśmiechnął się ironicznie:

— O tak, rozbiór Chin to kwestya czasu! Niemcy wezmą Pekin i Chiny Północne, Rosya—Mongolię i Mandżuryę. Japonia — brzeg naprzeciw Formozy... Ale co to? Tutaj koło Kantonu widzę, że napisali Francuzów, tymczasem tam przecie od niepamiętnych czasów siedzą Anglicy... Aha, rozumiem!... Nie śmieli napisać *siebie*, ale powolutku mają nadzieję zabrać i to jako terytoryum *sporne!*... Sprytnie....

Właściwie przy takim *podziale* dostałyby się Niemcom dwie trzecie Chin, gdyż dla nikogo nie jest tajemnicą, że Mandżurya i Mongolia, zajęte i strzeżone przez żołnierzy rosyjskich, stają się z wolna wielkimi rynkami niemieckimi. W Mandżuryi, Niuczwangu, Arturze z przyjściem Rosyan znikły istniejące tam przedtem amerykańskie i angielskie domy handlowe, powstały natomiast niemieckie. W Hankau ich liczba szybko wzrasta, skupują fabryki i zakładają sklepy. Ich koncesya uważana jest za najlepszą. Z swoim „billig aber schlecht“ wypierają i biją oni Anglików, nawet w ich własnych koloniach, gdyż „tandeta“ bardziej odpowiada wymaganiom wschodniego rynku. Sprawiedliwość zresztą przyznać nakazuje, że niemieckie „schlecht“ o wiele

jest lepsze od słowiańskiej „doskonałości“ i że dopiero porównanie niemieczyzny z angielskimi wyrobami, uczuciami, pojęciami i obyczajami wykazuje całą bezwzględną ich niższość. Niewątpliwie przypuszczalny rozbiór Chin jest pożądany i korzystny wyłącznie dla Niemców. Oni też tu zapewne odegrają taką samą rolę, jak przy rozbiorze Polski. Rosya z zajęciem Mandżuryi faktycznie już owładła Mongolię. Anglia zadowolona jest z tego, co posiadała i terytoryalnych zaborów nie pożąda. Francuzi jeszcze nie strawili Tonkinu. Dla Japonii rozbiór Chin byłby poprostu klęską. Ona w głębi serca wielbi jeszcze Chińczyków i marzy o sojuszu z Chinami, z Koreą, o olbrzymiej federacji wschodniej, która zbudowana na modłę europejską, oświecona, bogata, szczęśliwa i wolna, stałaby się nieprzebytą tamą dla nienasyconych barbarzyńców z Zachodu. Mówiono mi, że istnieje nawet wśród młodzieży japońskiej tajne stowarzyszenie, zorganizowane w celu rozpowszechniania tej idei, że członkowie jego pozostają w ciągłych i zażyłych stosunkach z takimiż stowarzyszeniami Młodych Chin. Chińczycy i Chinki dążą na uniwersytet do Tokio, gdzie ich chętnie i przyjaźnie przyjmują. W gazetach dość często można czytać wzmianki o chińsko-japońskich zebraniach studenckich, pełnych patryotyzmu i wynurzeń braterskich.

Kraży nawet legenda, że rewolucyjna młodzież japońska wysłała w swoim czasie bokserom chińskim pomoc w ludziach i orężu, lecz że okręt w drodze zatonął. Obecnie już wielu Japończyków ze sfer rządowych—a w głębi ducha może już wszyscy—przyznają, że wielką omyłką z ich strony był udział w wojnie europejsko-chińskiej.

Aby dokonać bezkarnie rozbioru Chin, trzeba przedewszystkiem co rychlej zmiażdżyć Japonię. Stąd to płynie z jednej strony nieustanne szczucie jej na Rosyę, a z drugiej... płomienne mowy i malowanie znanych symbolicznych obrazów, gdzie „żółtego smoka“ mężnie zabija europejski „anioł“...

Dziedziczna polityka krzyżacka!

Spróbujmy jednak choć cośkolwiek odgadnąć z tego, co się dzieje w duszach Chińczyków.

W drodze z Pekinu do Szanghaju spotkałem na obrzydliwym parowcu chińskim „Tai-shun“ trzech austriackich marynarzy. Jeden był Morawianin i mówił po polsku, Chorwata rozumiał po polsku, trzeci był Niemiec z pod Wiednia. Wszyscy młodzi i dorodni. Morawianin miał zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwustu nas jest Austriaków w Pekinie. Nasz kapitan, Polak ze Lwowa, Radzikowski, dobry pan, Ritter Nikolaus Radzikowski, drugi kapitan też Polak z Krakowa, Bogumił Nowotny, i inżynier, co bu-

duje ministrowi dom, Polak Kownacki... i żołnierzy dużo Polaków... Dobrzy kamraci, weseli...

— A co wy tam robicie w Pekinie?

— A nie nie robimy. Jemy, pijemy, kurzymy, po dwadzieścia dolarów miesięcznie bieremy, a starsi po sześćdziesiąt, i nie nie robimy... Za wszystko płacą Cziezi... Li-chung-czang płaci... A my im za to jeszcze po karku, po karku dajemy... O jak!...

I opowiedział mi dla przykładu, jak dni temu ze „czterdzieści“ Chińczycy zrobili podkop pod poselstwo angielskie, jak na przekopie załamał się murek, po którym chodził szyldwach, i wszystko się wydało, gdyż ukryci w podziemiu ludzie zaczęli krzyczeć...

— Dwudziestu złapano!... Milczeli, choć im mówić kazano, broń przyłożywszy do głowy... milczeli... Dynamit znaleźli... Jeszcze dwa dni, a wysadziliby wszystkich w powietrze... Od cesarskiego pałacu szedł podkop!...

Nie miałem możności sprawdzić tej opowieści, ale dyszała prawdą. Młody chłopak opowiadał ze wzruszeniem, jak zbudzono go w nocy, jak schwycił „amunicję“ i „gwer“ i pobiegł z towarzyszami, jak w ciemnej ulicy do nich strzelano i jak kula przebiła mu rękaw.

— Bóg z nimi... z Czinezami!... Zabijają!... A ojciec umarł, matka sama została, prosiła cesarza, aby mnie wrócił, więc wracam... Co tu w Pekinie?!... Nic niema, ani muzyki, ani dziewczętów, ani potańczyć gdzie... Czinezki smerdiat i krzywo patrzają... Chodzić samemu nie spieczno!... Przecie precz lubią nas Austryaków... My im warkoczów nie obcinamy bez potrzeby, jak Niemcy, Francuzi, Taliany i inni ludzie... Ale matka sama została, więc jadę...

I wciąż wracał w rozmowie do kraju, do swoich, a ja myślałem o tych dwudziestu spiskowcach, którzy kopiąc wązki kanał podziemny pod obozowiskiem wrogów, szukali w tej bezrozumnej robocie ujęcia dla swych zbolałych uczuć.

— Co im zrobią?

— Komu?... Ach, Czinezom?... Hławy usiekut!

Żołnierz Niemiec, który słuchał uważnie naszej rozmowy, tłómaczonej mu po włosku przez Chorwatą, głową poważnie potakiwał.

— O tem pisano i w „Cajtungu“ i w „Nowinach“—rozsiewał me wątpliwości Morawianin.

Był to zresztą wypadek tak naturalny, że nawet nie bardzo wątpiłem ¹⁾. Przypomniałem sobie,

¹⁾ Później dowiedziałem się, że o tem istotnie było w gazetach.

jak w Mukdenie w odludnych uliczkach rzucano na mnie łupinami, błotem, piaskiem, no i... tak sobie... małemi napomknieniami na duże kamienie. Przypomniałem sobie następnie, z jaką skwapliwością żołnierze chińscy w Pekinie biegli ku mnie z nadstawionymi bagnetami, gdyś próbował zbliżyć się do wrót „Zakazanego Miasta“, z jaką przyjemnością potem mój umorusany ryksza ubolewał nade mną:

— A co? Chińscy żołnierze... Nie puszczają... Nie puszczają chińscy żołnierze!...

Tłum, który się natychmiast koło nas zgromadził, też bardzo był zadowolony z zachowania się żołnierzy. Ci przecie nazbyt się pośpieszyli, gdyż byłem jeszcze bardzo daleko od wzbronionego progu. W ich pośpiechu wyraźnie przebijała gwałtowna potrzeba wynagrodzenia sobie, choć w tak błahy sposób, za niedawne sponiewieranie świątyni narodowej. Zresztą ci sami żołnierze w chwilę potem prosili mnie dobrodusznie, abym pozwolił im spojrzeć przez moją lornetkę i, wzięwszy karabiny pod pachę, długo, uważnie patrzyli przez szkła. Żaden z nich pewnie nic nie widział, gdyż była nastawiona dla krótkiego wzroku, lecz każdy, zwracając ją, grzecznie podniósł wielki palec i powiedział:

— Chao! (dobrze).

W dalszym ciągu przypominałem sobie, jak poważny i przyzwoicie odziany Chińczyk odskoczył ode mnie i uciekł, oglądając się z dzikiem przerażeniem, gdy w wązkim przejściu podniósł z wolna rękę do czapki, prosząc o przepuszczenie. Przypominałem sobie następnie, jak na przystani w Szanghaju bili po twarzy wyrobników Europejczycy z „towarzystwa“, ludzie ukształceni, których miałem za gentelmenów.

Pekin, choć brudny, zakurzony, cuchnący, sprawił na mnie wielkie wrażenie. Patrząc na jego potężne mury, na świątynie, pałace, bramy i wieże o poważnych, potężnych liniach, zrozumiałem ów głęboki wpływ, jaki Chiny wywarły na cały Wschód. Były to pamiątki olbrzymiej i doskonale zorganizowanej energii zbiorowej, coś bodaj że większego od budowli Egiptu. Nie dziwiło mię już, że Korea została wierną i ślepą Chin naśladowniczką, a Japonia pilną uczennicą. Wpływy Chin z jednej strony sięgnęły wysp oceanu Spokojnego, z drugiej obłyły się aż o brzegi morza Kaspijskiego; starożytne chińskie wyroby widywałem aż, hen, nad oceanem Lodowatym.

Teraz olbrzym umiera. Jako starzec widzi jedynie w przeszłości piękno i dobro. Lecz nie chce umrzeć przed czasem i w rzutach przymusowego zgonu nieraz jeszcze wstrząśnie światem.

— Za lat kilka czekają nas tu krwawe niespodzianki! — słyszałem, jak mówił jeden z posłów europejskich.

Do odrodzenia się Wschodu Europa nie dopuści. Zbyt ona głęboko wierzy w jedno z przykazń ubiegłego stulecia: „nie będziesz czczył praw innych nad prawa handlowe!...“

Stałem oparty o kamienną balustradę kanału, otaczającego „Zakazane Miasto“, i patrzyłem na szereg żółtych, wygiętych dachów, wystających z poza wysokich ścian purpurowych, na śliczną, wielopiętrową pagodę narożną, przegładającą się w wodzie, na „Wzgórek Węglowy“, uwieńczony misternymi kioskami. Szczególniej jeden z nich, podobny do niebieskiego parasola chińskiego, ukryty wśród krzewów, cudnie grał barwnymi majolikami. Ale nawet zdawało się, że wszystkie budynki są już zaniedbane, że się chylą do upadku, umierają... Jesienne, bezlistne drzewa, żółte, spłowiałe stoki pagórka, poszczerbione mury, daleko uchodząca, nieskończenie długa perspektywa pałaców, których widać było stąd jedynie złocone okapy, zachodzące słońce—czerwone i bez blasku, wszystko owiane tumanami szarej, niesionej przez wichurę piaszczystej kurzawy, składało się na obraz pełen nieokreślonej, bolesnej tęsknoty... Było mi czegoś bardzo żal. Student po-

blizkiej, wyższej szkoły, który mię oprowadzał po dziedzińcu pałacowym, trącił mię nagle w ramię i wyciągnął rękę:

— Daj!

I natychmiast wyciągnęło się pokornie jeszcze dłoni kilkoro.

Pierwszy pociąg z Pekinu do Tientsinu wychodzi o 7 rano. Było nieźnośnie zimno, gdy wyjeżdżał i wiatr północno-zachodni dmuchał z żarciem.

Pociąg biegł środkiem miasta: teraz dopiero uprzytomniłem sobie ogrom Pekinu. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się szeroki, wielki, zębaty mur miejski i ginał we mgłach. Ponad nim strzelały krępe wieżycy bram, ale nie więcej. Nizki rój ulic i domków miejskich z ogrodami i świątyniami krył się bez śladu za potężną, ceglana ochroną. Z okien pociągu widać było jedynie przedmieścia, podobne zupełnie do śródmieścia, takie same szare, brudne, zakurzone, jeno mniej ludne i bogate. Zaraz za niemi zaczynały się rozległe cmentarze, podobne do wielkich kretowisk — nagie, smutne, bez drzewka i upiększenia. Oślawiona synowska miłość wyrażała się tylko w większych rozmiarach wzniesienia, usypanego na postawionych pośród pola trumnach ojców. Bardzo rzadko dostrzedz można gajk sosnowy na wzgórku z rodzinnymi

grobami, okopanymi zwykle z jednej strony półkolistym wałem. Cmentarze bezpośrednio mieszają się z polami i wioskami, gęsto rozszaniami po okolicy. Dużo samotnych mogił stoi wśród pól, jeżeli tam wróżbita wskazał im miejsca. Dokoła wsi i na miedzach pól ciągną się wszędzie gaje i szpalery drzew, przeważnie wierzbiny, którą rok rocznie strzygą tu na opał, jak owce. Wioski szare są zbudowane z mułu i mułem pokryte. Bardzo rzadko daje się spostrzedz dom z w wywiniętym, krytym dachówką dachem. Rzadziej jeszcze trafiają się świątynie z czerwonymi wrotami. Na polach zieleniła się posiana w brózdach ozimina i grzędy niezebranej jeszcze w wielu miejscach sałaty, którą Chińczycy kwaszą, jak my kapustę. W wielu miejscach nad zasiewami widziałem ukosnie pochylone tarcze trzeźnowe od wiatru. Uprawa gruntów wszędzie wyborna. Na drogach dużo przechodniów, kutających zmarzłe ręce w szerokie rękawy, dużo dwukołowych, krytych biedek, ciągniętych przez osły i muły. Na rolach oracze szli w kłębach kurzu i wichury, odwracając skiby. Na stacyach, pokrzykując, wciąż wsiadali i wysiadali zziębnięci Chińczycy. Tuż koło samego Tientsinu przyniesiono przed nasz wagon piękną lektkę; urzędnik, z kryształową galką na czapce, zrobił w niej siedzenie; inny przyczepił do jej boku

jakiś znak z piór, poczem ukazał się poważny Chińczyk w malinowej kurmie z koralowym, generalskim znaczkim. Wsiadł, tragarze podnieśli lektykę i ruszyli szybko; za stacją, na drodze, widziałem, że przyłączył się do nich orszak jezdnych i pieszych. Był to znaczny urzędnik, podobno główny inspektor szkół...

— Cywilny... Powiedziano mi, że cywilny!... — rzekł z pewnem zdziwieniem młody niemiecki oficer, który jechał w jednym ze mną przedziale.

W Tientsinie dowiedziałem się, że wszystkie statki do Szanghaju już odeszły i że nowa okazała będzie dopiero za dwa tygodnie. Pozostawał jedynie chiński parowiec, „Taishun“, należący do towarzystwa „China Merchant“. Agent towarzystwa upewniał mię, że tam czysto i dobrze:

— Zupełnie po europejsku!...

Wierzę nawet, że „China Merchant“ szczerze pragnęli, aby tak było, ale... między najczystszy Chińczykiem a przeciętnym Europejczykiem widocznie zachodzi taka sama różnica, jak między Anglikiem, który kąpie się codzień, a chłopem polskim, używającym kąpieli raz na parę lat. Nie radzę podróżnikom, wrażliwym na przykre zapachy i trochę „popielate“ sprzęty oraz pokarmy, zeglować na statkach chińskich. Bez względu na kołysanie się, można dostać morskiej choroby od

nieznośnego odoru, jaki przenika te parowce od palących opium pasażerów i załogi okrętu.

Wiedziałem o tem, ale wyboru nie miałem. Przed świtem wyruszyliśmy z Tientsinu, śpiesząc, aby w południe stanąć w ujściu rzeki i w czasie przypływu przebyć słynny „bar“. Pogłębiono go, ale zawsze zbyt mało i statki morskie przejść go mogą tylko w dużą wodę.

Nasz statek nie był wielki, ale na wąskiej Paj-ho wydawał się potworem. Fala biła odeń wysoko w oba brzegi, łamiąc namarzły w czasie nocy lód. Gwizdawka wciąż była czynna, strasząc łodzie i wielkie „dżonki“, płynące naprzelaj. Paj-ho strasznie się wije. Wodę ma żółtą i w żółtych, jesiennych brzegach, porośłych żółtymi wierzbami, usianych szaro-żółtymi wioskami w ten złoty dzień listopadowy, wydała mi się doprawdy podobną do lśniącego, żółtego smoka, skłębionego w fantastycznych skrętach na żółtym tle starej, chińskiej majoliki, jaką widziałem na pałacach w Mukdenie. Wokoło ściele się płaska równina, gęsto porośła gajami... Z poza drzew wysuwają się w rozmaitych częściach widnokregu ogromne, kończyste żagle „dzonek“, płynących po wtulonej w niskie brzegi rzece i zdaje się, że żagle te płyną lasem, roztrącając bezdźwięcznie drzewa.

O ile okolice linii kolejowej są puste, o tyle gęsto zaludnione są brzegi Paj-ho. Miejscami wioski zlewają się prawie w nieprzerwany szereg domów... Rzadko wieś od wsi leży dalej, jak na dwa stajania. Gdyśmy przepływali mimo nich, zawsze wylegał na brzeg tłum niebiesko odzianych wieśniaków, dzieci i kobiet. Mieli czas, była jesień, plony już zostały zebrane. Więc przysiadali na brzegu i gwarzyli pewnie o zamorskiem straszędzie. Statek nasz siedział zaledwie na 8 stóp w wodzie, mimo to parę razy zaczęliśmy o dno i wreszcie ugrzęźliśmy na mieliźnie. Siedzieliśmy tam kilka godzin, aż przypływ nas wyzwolił. Z obu stron naszej przymusowej stacyi na brzegach były wioski i łódź zbita z desek przewoziła podróżnych. Cały czas tłum nie znikał z wybrzeża; widziałem tam i niewiasty nawet młode, których obecność była zaprzeczeniem takiego już bezwzględnego zamknięcia chińskich kobiet, o jakiem piszą w książkach. Młodzi kawalerowie niedaleko od nich wygrywali na fletach dość przyjemne melodye; dzieci bawiły się w kregle i kamyki.

Do Taku dotarliśmy pod wieczór, ale przedtem przepłynęliśmy mimo ciekawego miasteczka, składającego się z ogromnych pagórków białej soli, usypanych wzdłuż brzegów i starannie pokrytych rogożami a z wierzchu obmazanych gliną. W ten

sposób można podobno przechowywać sól lata całe.

W Taku nad rzeką dużo jest przystani i składów europejskich, których nie widać wcale po drodze kolejną... O zmroku zarzuciliśmy kotwicę pośrodku limanu, gdyż wyjść na morze i udać się dalej do Szanhaju mogliśmy dopiero z porannym przypływem. Gdym się nazajutrz obudził, brzegi były już daleko i fale miały śliczny, przejrzysty, lazurowy kolor.

Ziemie zobaczyliśmy dopiero w połowie drogi koło Czifu; były to wyspy Miau-tau w cieśninie Peczilijskiej. Różowe, nagie, wznosiły się stromo wprost z morza, jak zręby ryfów koralowych. Na jednej biała morska latarnia, rozumie się zbudowana przez Anglików. Spienione fale, nawet przy stosunkowo spokojnem morzu, wysoko skakały na strome opoki.

I znówu ziemia znikła i śliczne, błękitne morze nakryte błękitnem niebem, objęło nas ze wszech stron.

Zmętniało ono i pożółkło dopiero w pobliżu Szanhaju. W dali zarysowały się niskie, ilaste brzegi. Wkrótce pojawiły się one i na drugiej stronie horyzontu i statek nasz wszedł w szeroką, mętną zatokę, po której dość gęsto snuły się chińskie żaglowe dżonki i krążyły europejskie pa-

rowce. Zwolniliśmy biegu, kapitan raz po raz kazał mierzyć głębokość. W ten sposób weszliśmy w ujście Jang-po, strzeżonej aż przez pięć dzonek wojennych i trzy pancerniki. Dżonki wyglądają bardzo malowniczo z czerwonymi dziobami w kształcie rybich głów, z wylupionemi strasznie rybiemi oczami i wielkimi żółtymi żaglami. Po bokach mają nieduże działa, przywiązane do burt, a z tyłu wysoki pomost dla sternika oraz kapitana—zupełnie staro-rzymskie galery.

Stąd już było widać Szanghaj z poza zadrzewionych, pięknie uprawnych brzegów. Szanghaj słynie jako Paryż Dalekiego Wschodu, stolica mód, zbytku i rozkoszy. Istotnie, wygląda on na miasto milionerów. Ma książęce hotele, oraz banki, kantory, biura i składy, wyglądające jak pałace. Wprawdzie wszystko to jest dość ciężkiej architektury, domy dla chłodu mają okna w głębi werand z wielkimi zwykle kolumnami, ale we wszystkim czuć potęgę i bogactwo ludzi, którzy je budowali. Strzegą ich na rogach ci sami wspaniali, wysmukli „sichowie“ z zaplecionemi krótko brodami, poważni, lecz uprzejmi. Wzdłuż brzegu rzeki wyciągnął się piękny ogród miejski. Widziałem tam na klombach moc pięknych złocieni i pokrewnych im astrów w pełnym kwiecie. Dużo pojazdów krąży po ulicach i dużo „ryksz“, a na chodni-

kach mieszanina ubiorów i ludów. Lektyk w europejskiem mieście nie widziałem. Bogaci Chińczycy także jeżdżą powozami.

Najświetniejsze suknie, brylanty, zaprzęgi i konie mają w Szanghaju amerykańskie kokoty, słynne z bogactwa, rozrzutności, wykształcenia i oryginalnej organizacyi swych stowarzyszeń. W sklepach tutejszych można wszystkiego dostać, co wschodnia i zachodnia dusza zamarzy, rozumie się, jeżeli może za to słono zapłacić. Stopa życia tutejszego angielska i pieniądź zaczyna się od... dolara. Miasto bardzo „business“.

Gdy jednego z wieloletnich mieszkańców Szanghaju zapytał, co warto w nim obejrzeć, powiedział mi, że z wyjątkiem „settlement'u“ niema co oglądać. Tymczasem dzielnica chińska wydała mi się bardzo ciekawą, pełną pięknych, starych domów o oryginalnej, innej niż na północy architekturze. Miałem mało czasu, ale kazałem się powieźć za miasto, aby obejrzeć okolice, zwiedzić świątynię buddyjską i śliczną pagodę „Lung-fo“. Okolice toną wśród ogrodów, pełnych roślin podzwrotnikowych; draceny w gruncie kwitły właśnie i ogromne stożkowate, białe kiście ich kwiatów pięknie rysowały się w bladym, jesiennym powietrzu... Banany, palmy, bambusy, moc nieznanych mi drzew owocowych, a obok... nasza wierzba zło-

ta. Na polach dużo krzaczków bawełnianych, już obranych z waty; w wioskach przydrożnych stały maszyny, oczyszczające ją z nasion, i gromadki robotników w otwartych szopach witały śmiechem i żartami moje pojawienie się przed ich oknami. Droga wszędzie wyborna — szosowana i utrzymana wzorowo. W pobliżu dużo fabryk, przędzalni oraz innych manufaktur. Wszystkie otoczone murami, z domami zarządzających w głębi wytwornych ogrodów. Wszędzie czystość, porządek, ład... Nawet Chińczycy wydali mi się lepiej wymyć i bardziej zważający na to, gdzie należy wyrzucać śmiecie... Anglicy nie żartują, a cholera każe im dbać i o Chińczyków.

Koło świątyni już czekali na mnie obdartusi, którzy łamaną angielszczyzną ofiarowali swoje usługi. Nie potrzebowałem ich, gdyż pojęcia o niczym nie mają, ale wiedziałem, że się od nich nie odcepie i pozwoliłem sobie brzęczeć nad uszami, podczas gdy wrokiem wprost pożerał przepiękne rzeźby na starożytnych gmachach i bramach. Wewnątrz świątynia, jak większość świątyń chińskich, była mniej ciekawą. Zawsze to samo: złożone figury Buddy w rozmaitych wcieleniach, gliniane i tekturowe posągi jego uczniów oraz geniusze Nieba i Ziemi. W świątyni właśnie odprawiano modlitwy. Rozumie się musiałem postawić świecz-

kę Buddzie, co zresztą kosztowało bardzo mało. Gorzej było z moimi przewodnikami; gdyż do pierwszego przyłączył się jakiś drugi jegomość, a do nich cała gromada dzieci, ale nie chciałem brać na swoje sumienie szczepienia tu włoskich obyczajów i odmówiłem im datku. Protestowali dość umiarkowanie, gdyż podróżnicy rzadko tu bywają i jeszcze nie zdołali ich zepsuć. Coby to było w Pekinie — doprawdy nie wiem! Tam w Żółtej Świątyni Lamajskiej gromada rumianych i dość dostatnio odzianych, małych urwisów o mało nie rozszarpała mego towarzysza, spostrzegłszy, że wyjął portmonetkę, a w Świątyni Nieba, którą zwiedziłem sam jeden wczesnym rankiem, zamknięto wrota i nie chciano mię wypuścić, dopóki się nie opłacę. Dopiero ruch w stronę rewolweru rozwarł wrzeczadze... Zresztą gdy już po wyjściu dał im 20 centów, zuchwali stróże z niskim ukłonem podnieśli w górę wielkie palce.

Nawet zbóje w Chinach poprzestają na małym!...

— Chao!



259271

